Tajemnica ukraińskiego nurka • Brzydka branża beauty • Ile trzymać gotówki
Reportaż z Palestyny • Chopin zaskoczeń • Nowy „Glina”

POLITYKA

POLITYKA.PL

Połowa kadencji
Rozliczamy koalicję

TYGODNIK, nr 42 (3536), 15.10–21.10.2025

Cena 13,90 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195

USA 4,60 USD; KANADA 4,69 CAD; WIELKA BRYTANIA 2,50 GBP; SZWECJA 30 SEK; CZECHY 75 CZK; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO

ILUSTRACJA **ARKADIUSZ CUDNY**

Co zostało z 15 X?

S. 4, 12, 15, 16, 20

ISSN 0032-3500
9 770032 350503 42

Wydanie w sprzedaży do 21.10.2025

PERSKI DYWAN DZIEJÓW

KUP TERAZ

W sprzedaży

132 strony

Wydanie papierowe – w punktach sprzedaży prasy i na **sklep.polityka.pl**
Wydanie cyfrowe – subskrypcja **polityka.pl/cyfrowa**
Wydanie audio – **sklep.polityka.pl** i **polityka.pl/cyfrowa**
Podkast POLITYKA o historii – **polityka.pl/podkasty**

Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny

eprasa.pl 9ebcecf7a9

© CAPITALPICTURES/FACETOFACE/REPORTER

26
Brzydkie sekrety branży beauty

Polityka

Dwa lata po 15 października

4 PRZYPISY Jerzy Baczyński, Mariusz Janicki **Co zostało z tamtego przełomu**
12 Rafał Kalukin **Gorzkie refleksje na półmetku**
15 Michał Danielewski **Rządowa depresja w sondażach**
16 **Aleksander Smolar**, publicysta, o dwóch latach rządów Tuska i o tym, czy da się odwrócić prawicową falę
20 Ewa Siedlecka **Jesienne porządki ministra Żurka**

Temat tygodnia

23 Violetta Krasnowska, Paweł Reszka **Sprawa Nord Stream: bohaterowie czy przestępcy?**

Społeczeństwo

26 Joanna Cieśla **Nieetycznie w medycynie estetycznej**
30 Ewa Wilk **Czy praca ma sens?**
33 ODCHODZIĆ PO LUDZKU Prof. **Jan Kazak** o tym, jak projektować miasta przyjazne seniorom
36 Agnieszka Gierczak-Cywińska **Męskie kręgi wsparcia**

Rynek

42 Adam Grzeszak **Ile gotówki na czarną godzinę**
45 Cezary Kowanda **Bitwa na paczkomaty**

Świat

48 Agnieszka Zagner **Jak daleko od odrodzonej Palestyny**
51 Łukasz Wójcik CHINY – USA **Państwo inżynierów kontra państwo prawników**
54 Marek Ostrowski FRANCJA **Wyrok na Sarkozy'ego**
56 Aleksander Kaczorowski CZECHY **Plan premiera Babiša**

Nauka/projektpulsar.pl

58 Marta Alicja Trzeciak **Czego Jane Goodall nauczyła nas o szympansach**
62 Agnieszka Krzemińska **Przewodnik po najnowszych średniowiecznych zamkach**

Historia

68 O Mateczce Kościoła mariawitów i jego skandalach seksualnych opowiada **Tomasz Terlikowski**
71 Andrzej Krajewski **Jak król Prus fałszował polskie pieniądze**

Kultura

78 Aneta Kyzioł **Powrót „Gliny"**
82 Justyna Sobolewska **Franz Kafka według Agnieszki Holland**
85 Rozmowa z potomkiem Henryka Sienkiewicza rysownikiem komiksowym **Billem Sienkiewiczem**
88 Dorota Szwarcman **Konkurs Chopinowski: zaskoczenia i zagadki**
91 Justyna Sobolewska **László Krasznahorkai – noblista pesymista**
96 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**

Sport

92 Marcin Piątek **Taktyka przetrwania prezesa Piesiewicza**

Pożegnanie

95 Ewa Siedlecka **Prof. Adam Strzembosz – kruchy mocarz**

Ludzie i style

102–105 • **Trwała znów modna** • **Kebab albo Chopin?** • **Niedobitki Nawrockiego** • **Korfu: wiekowe oliwki** • **Wina z Madery**

Stałe rubryki

• **8** Ludzie i wydarzenia • **4**, **19**, **100**, **106** Galeria POLITYKI • **74** Afisz • **97** Orliński • **98** Chutnik i Plebanek • **99** Sulej • **100** Mizerski • **101** Do i od redakcji • **106** To jeszcze nie koniec

© ZDJĘCIA NA OKŁADCE: BEATA ZAWRZEL/REPORTER, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 9ebcecf7a9

Połowiczny półmetek

Jerzy Baczyński, Mariusz Janicki

W szumie codziennych politycznych zmagań nadeszła znacząca rocznica. To już dwa lata od przełomowych wyborów 15 października 2023 r., połowa kadencji nowej koalicji. Wówczas, przy nadzwyczajnej, rekordowej do dzisiaj 75-procentowej frekwencji, obozowi demokratycznemu udało się odsunąć PiS od władzy. Wcale nie było to pewne, a nastroje przed tamtymi wyborami, co już się dzisiaj słabo pamięta, były dość minorowe, przewidywano raczej przedłużenie rządów Jarosława Kaczyńskiego i jego ekipy. Jednak wielkie tournée Donalda Tuska po kraju, Marsz Miliona Serc w Warszawie, niezwykła mobilizacja w dniu głosowania, ze słynną nocną kolejką do urn we wrocławskim Jagodnie, dobry wynik Trzeciej Drogi sprawiły, że „koalicja demokratyczna" zdobyła aż 248 mandatów, o 56 więcej niż PiS, który niby formalnie wygrał kolejne wybory. Ale nawet w sojuszu z 18-poselskim klubem Konfederacji nie miał szans na przejęcie władzy. Wydawało się, że dokonał się polityczny cud, epokowy przełom – oto w Polsce został zatrzymany pochód populistów; groźba autorytaryzmu skurczyła się do rozmiarów historycznego incydentu, złego wspomnienia; liberalna demokracja triumfalnie zajęła należne jej miejsce. A po ośmiu latach pisowskich nadużyć władzy „wreszcie wraca normalność".

GALERIA POLITYKI

BARTEK KIEŁBOWICZ

Wracała z opóźnieniem, bo dzięki prezydentowi Dudzie Mateusz Morawiecki zorganizował dwumiesięczny cyrk z tworzeniem rządu, który nie miał żadnych widoków na sejmową większość. Ale pozwoliło to prawicy poczyścić szuflady, popsuć wyborcom smak zwycięstwa, już na wstępie zmęczyć przyszłą koalicję. Z dziecinną złośliwością Andrzej Duda czekał z zaprzysiężeniem nowego gabinetu aż do symbolicznej daty 13 grudnia. Rząd Donalda Tuska faktycznie zaczął więc działać dopiero trzy miesiące po wyborach. Jednak początek był mocny: nowej władzy udało się wyjąć z rąk PiS media publiczne, także zwierzchnictwo nad prokuraturą. Od aresztowania Kamińskiego i Wąsika rozpoczęto rozliczenia, ruszyły komisje śledcze. PiS – ironicznie i twardo traktowany w Sejmie przez marszałka Szymona Hołownię – został zepchnięty do coraz bardziej desperackiej, czasem wręcz komicznej defensywy. Jeszcze z rozpędu koalicja wygrała wybory samorządowe i europejskie. A potem coś się zacięło.

Od tego czasu trwa dyskusja o naturę tego „zacięcia". Faktem jest, że sojusz 15 października objął władzę tylko w pewnym stopniu. Prezydentem był nadal Andrzej Duda. Trybunał Konstytucyjny, Trybunał Stanu, KRRiT, Krajowa Rada Sądownictwa, Rada Polityki Pieniężnej, Sąd Najwyższy, PKW, IPN i inne zabetonowane prawnymi trikami instytucje znajdowały się w sferze wpływów PiS – i w zasadzie takie pozostaną do końca obecnej kadencji. Ponadto prawica, po pierwszym szoku, szybko odnalazła się w opozycyjnej roli; już po kilku tygodniach zwołała 100-tysięczny protest, rozbudowała swoje – przez lata dokarmiane publicznymi pieniędzmi – media elektroniczne, które przejęły znaczną część widowni dawnej TVP Jacka Kurskiego. Wkrótce okazało się, że w rozmaitych środowiskach opiniotwórczych, ale także w prokuraturze, służbach specjalnych, ministerstwach, spółkach Skarbu Państwa poprzednia ekipa pozostawiła swoich „kretów". Koalicja spinana przez Tuska sprawowała zatem rządy na zaciągniętym hamulcu. Odwrócenie ustrojowych zmian z czasów „dobrej zmiany" było skrajnie trudne, a jeżeli mimo to próbowano je wprowadzać, spotykało się to z zarzutami o łamanie prawa. Tymczasem oczekiwania po ośmiu latach pisowskiej smuty były ogromne, wszak podczas kampanii Tusk i inni politycy koalicji zapewniali, że będą rozliczone afery, całe „złodziejstwo", że naprawi się wszystkie „krzywdy", przywróci demokratyczny porządek, zrealizuje „100 konkretów". To zderzenie nadmiernie rozbudzonych oczekiwań z realiami i ustrojowymi ograniczeniami było bolesne i legło u podstaw rosnącego rozczarowania.

Ale też same rządy nowej władzy mogły być lepsze. Ujawniły się wady koalicyjnego, złożonego z kilku partii konstruktu, od którego Polacy już przez dwie dekady odwykli: różnice programowe, ambicje liderów, rozbieżne interesy wyborcze, nieruchawość rozbudowanych personalnie ministerstw, zła polityka informacyjna, brak efektownych projektów popieranych przez wszystkich koalicjantów. Mimo zapowiedzi nie powstała żadna stała Rada Koalicji, liderzy, zajęci swoimi obowiązkami, spotykali się rzadko, brakło publicznych gestów koleżeństwa, sympatii. Już po kilku miesiącach koalicja weszła w dryf, upadł pomysł, aby Andrzeja Dudę zasypywać realizującymi wyborcze obietnice demokratów projektami ▶

eprasa.pl 9ebcecf7a9

Relaks na Mauritiusie

Plaże z palmami i białym piaskiem, relaks i wyśmienita kuchnia pośrodku Oceanu Indyjskiego. Tydzień pobytu w hotelu z pełnym wyżywieniem i opieką polskiego pilota.

Mauritius to idealne miejsce na plażowy wypoczynek – tropikalna wyspa na Oceanie Indyjskim otoczona rafą koralową, z białymi plażami i lazurową wodą. Jej burzliwa historia, kolonialne wpływy i różnorodna kultura tworzą wyjątkowy klimat. Zachwyca tu przyroda – od pól trzciny cukrowej i lasów namorzynowych po Park Narodowy Black River Gorges z endemicznymi gatunkami. Dla chętnych przygotowaliśmy pakiet 3 wycieczek fakultatywnych: rejs katamaranem, wycieczkę szlakiem herbaty czy wizytę w stolicy Port Luis i Ogrodzie Botanicznym.

Pełne wyżywienie

10 dni
Wylot z Warszawy
19/01 2026

8.998,-

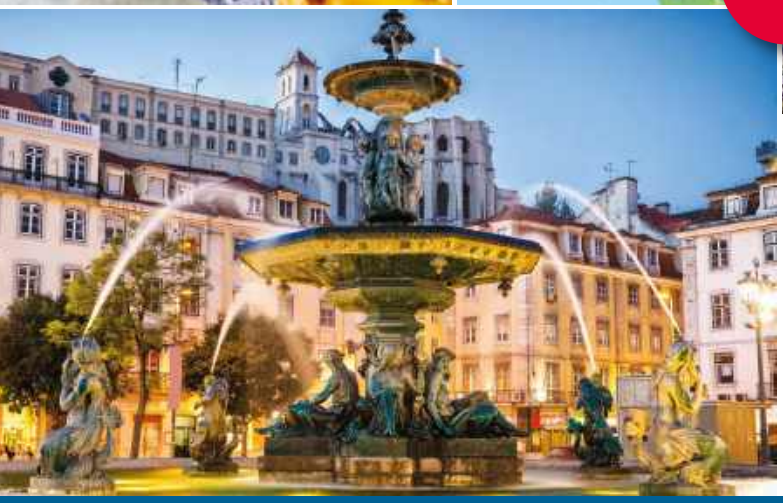

NOWOŚĆ

2 posiłki dziennie

Najpiękniejsze zakątki Portugalii

Zobacz największe atrakcje Portugalii: urokliwą Lizbonę, stylowe miasteczko Cascais, historyczne Óbidos, sanktuarium w Fatimie oraz klifowe wybrzeże Atlantyku.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Lizbony. Zakwaterowanie w hotelu w Cascais. **Dz. 2** Zwiedzanie Sintry wpisanej na listę Światowego Dziedzictwa UNESCO oraz przylądka Cabo da Roca. **Dz. 3** Zwiedzanie Lizbony. **Dz. 4** Dzień do własnej dyspozycji. **Dz. 5** Wyjazd do Fátimy. Klasztor Matki Boskiej Zwycięskiej w Batalha. Obiad w Nazaré. Zwiedzanie Óbidos. **Dz. 6** Degustacja wina w Azetão. Wizyta w miejscowości Sesimbra. Park Narodowy Arrabida. Miasto portowe Setúbal. **Dz. 7** Wylot z Lizbony do Warszawy.

7 dni | Wylot z Warszawy 24/03 2026 | 5.998,-

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **PL39**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty resjowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl 9ebcecf7a9

▶ ustaw. Wszystko zawisło – miało się zmienić, nabrać wigoru po wyborach prezydenckich 2025 r.

Zwycięstwo Rafała Trzaskowskiego dla wielu zdawało się pewne, choć nigdy takie nie było (o czym wielokrotnie pisaliśmy na naszych łamach). Ale polityczna logika kazała wierzyć, że prezydencka elekcja jest oczywistą dogrywką wyborów w 2023 r., że wyborcy znowu ustawią się w kolejkach i zagłosują na kandydata Koalicji Obywatelskiej, aby potwierdzić swoje decyzje i emocje z „rewolucji październikowej". Okazało się jednak, że to już były zupełnie inne wybory. W oczekiwaniu na nie, na ten drugi naturalny etap „sprzątania po PiS", władza Tuska zaniedbała etap pierwszy, co wykluczyło ten drugi. Po szokującej przegranej Rafała Trzaskowskiego z „wyciągniętym z kapelusza Kaczyńskiego" politycznym debiutantem Karolem Nawrockim stało się jasne, że wyborców za każdym razem trzeba pozyskiwać na nowo.

Oczywiście dużą rolę odegrała tu słaba, amatorska kampania Trzaskowskiego. Ale też spadające notowania rządu i samego premiera były dużym obciążeniem dla „wiceprzewodniczącego PO", jak z lubością powtarzali sztabowcy Nawrockiego. Uczciwie mówiąc, rząd miał sporo niewątpliwych osiągnięć, które jednak nie przebiły się wystarczająco do zbiorowej świadomości. Odblokowanie unijnych funduszy, zduszenie inflacji, powrót do głównego nurtu polityki europejskiej, ale też nowe, kosztowne dla państwowej kasy świadczenia, przywrócenie finansowania procedury in vitro, renta wdowia, zwiększenie nakładów na obronność, ułatwienia dla przedsiębiorców i inne projekty nie zostały jednak odpowiednio „sprzedane". Państwo się zadłużało, nadal było hojne, ale nie przynosiło to rządzącym sondażowych benefitów. W tym sensie to były chyba najmniej efektywne politycznie wydatki w dziejach III RP, tu nowa władza niczego nie nauczyła się od PiS.

Jeszcze raz ujawniła się znana prawda, że ważne jest nie to, jak jest, ale to, co się ludziom wydaje. A wizerunkowo koalicja 15 października gasła w oczach. Premier Tusk w sporej mierze skupił się na polityce zagranicznej, co było i jest uzasadnione trudną sytuacją międzynarodową, ale miało swoje koszty krajowe. Zwłaszcza że styl rządzenia, jaki Tusk zawsze preferował, był taki, że wszystko zależało od jego decyzji, a jeśli ich nie było, polityka krajowa leżała odłogiem, prace nad projektami się przeciągały, w resortach trwały wojenki podjazdowe między wiceministrami z różnych partii, energia szła w jakieś trzeciorzędne rozdania personalne w terenie.

Tusk zapewniał wcześniej, że będzie się spotykał regularnie z dziennikarzami, jeździł po Polsce i tłumaczył swoją politykę, ale nic z tego nie wyszło. Niedawne mianowanie rzecznika rządu spowodowało tylko to, że premier, który wcześniej czasami jeszcze występował po posiedzeniach gabinetu, zaprzestał nawet tego. Pozostało głównie śledzenie zdawkowych wpisów premiera na platformie X. Te rządy więc poza wszystkim zostały źle opowiedziane, rolę narratorów przejęli polityczni przeciwnicy, a wyborcy koalicji mogli się poczuć porzuceni.

Wbrew październikowym nadziejom rządzenie stało się nazbyt gabinetowe, zamknięte, techniczne, scentralizowane. Rozmaite środowiska społeczne, które przez osiem lat trwały w oporze wobec rządów PiS i pomogły demokratom wrócić do władzy, spodziewały się jakiegoś uwzględnienia w rządowych i parlamentarnych konsultacjach, może nawet symbolicznych gestów wdzięczności, uwagi. Niemal nic z tego nie wyszło. Cały tzw. demokratyczny ekosystem – organizacje pozarządowe, uczelnie, instytucje naukowe i kulturalne zostały wypchnięte poza sferę zainteresowania i budżetowych priorytetów. Zdziwienie budził, słabo tłumaczony, zwrot w prawo samego premiera i jego rządu: surowa polityka i retoryka antymigracyjna, pokazowy eurosceptycyzm, narzekania na brukselską biurokrację, porzucenie polityki klimatycznej, napięte stosunki z Niemcami, brak dostatecznej reakcji na rosnące nastroje antyukraińskie. Powstało wrażenie, że demokratyczna koalicja przestaje mówić własnym głosem, nie broni głoszonych w kampanii 2023 r. przekonań i wartości, zagubiła swoją „wizję lepszej Polski".

Po wyborczym triumfie kandydata PiS Karola Nawrockiego nie widać na razie w działaniach władzy planu B, wielu wyborców strony demokratycznej tkwi w stanie traumy i poczucia utraty sensu. A właśnie po czerwcowych wyborach był czas na polityczną psychoterapię, pokazanie nowych perspektyw, projektów na drugą połowę kadencji. Chodziło o uzmysłowienie, że ta przegrana, a właściwie polityczna katastrofa, to jednak nie jest koniec świata, że teraz tym bardziej trzeba zabiegać o obronę demokracji, miejsca Polski w Unii i w nowym, tworzącym się na naszych oczach geopolitycznym porządku świata. Autorytarni populiści, wzmocnieni prezydenturą Donalda Trumpa i sukcesami w kilku krajach europejskich (w tym na całym naszym południu – w Słowacji, Czechach, na Węgrzech) szybko nie znikną, jeśli w ogóle, wojna błyskawiczna z nimi nigdzie się nie powiodła. Tradycyjny ustrój demokratyczny wszedł zatem na giełdę ustrojowych rozwiązań, wygląda, że na równi – niestety – z innymi „demokracjami suwerennymi". I jeśli liberalny system i społeczeństwo otwarte mają na dobre powrócić, konieczny jest stały wysiłek polityków i wyborców, niepoddawanie się zniechęceniu, wrogim przekazom i intelektualnym „przejęciom".

Czy zatem te dwa lata od październikowego przełomu zostały przez nową władzę zmarnowane? Jeśli przypomnieć sobie tamten entuzjazm i wzruszenie, można odnieść takie wrażenie. Czy oznacza to, że wynik wyborów w 2027 r. jest przesądzony na korzyść opozycyjnej dzisiaj prawicy? Absolutnie nie. Niedawno ktoś zadał na X pytanie, czy uczestnicy marszów w 2023 r., wiedząc, co się stało potem, ponownie poszliby na te demonstracje: znaczna większość użytkowników tej platformy odpowiedziała, że tak, bo demokracji trzeba zawsze bronić. I to jest ten tak rzadki teraz kawałek optymizmu.

Pytanie, czy koalicja 15 października, po wielu przejściach i niepowodzeniach, będzie jeszcze umiała zagospodarować tę postawę dziś przegranego, sfrustrowanego, ale wciąż ponaddziesięciomilionowego elektoratu? Czy zdoła odbudować szersze poparcie? Przywrócić nadzieję zwycięstwa? Na razie na półmetku szklanka jest pełna (co najwyżej) do połowy. Ale są jeszcze dwa lata. W 2023 r. też trudno było uwierzyć w odwrócenie politycznego fatum. Jednak, jak mówi stare powiedzonko, w Polsce możliwa jest każda zmiana – nawet na lepsze.

Czytaj też podsumowanie Rafała Kalukina s. 12, rząd w sondażach s. 15, rozmowa z Aleksandrem Smolarem s. 16, o rozliczeniach ministra Żurka s. 20.

eprasa.pl 9ebcecf7a9

z nutą Chopina

ORLEN mecenasem XIX Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. Fryderyka Chopina. Organizator Stref Melomana.

Więcej szczegółów na **www.orlenstrefymelomana.pl**

eprasa.pl 9ebcecf7a9

PiS zaprotestował przeciwko wszystkiemu

Gdy Jarosław Kaczyński pod koniec lipca zapowiadał antyimigrancką **demonstrację 11 października** w Warszawie, wezwał na nią „wszystkie siły patriotyczne". Później kilka razy apelował o jak najliczniejszy udział, a posłowie PiS dostali zalecenie, by zorganizować transport dla uczestników. Miało to być mocne wejście w polityczną jesień. Jednak temat imigracji, który latem rozgrzewał prawicową publiczność, stracił na atrakcyjności, także z powodu deficytu imigrantów. PiS dołożył zatem do agendy demonstracji protest przeciwko umowie z Mercosur, co również okazało się umiarkowanie magnetyczne. I tak wiec stał się protestem uogólnionym, „przeciw polityce Tuska", a Kaczyński na placu Zamkowym zawołał po prostu: „Precz z Tuskiem, musimy odwołać jego rząd!", budząc entuzjazm niezbyt licznej publiczności.

Prezes PiS mówił o zapaści w oświacie, finansach publicznych, ochronie zdrowia, inwestycjach, rolnictwie oraz przestrzegł, by nie wierzyć Donaldowi Tuskowi, że relokacji imigrantów do Polski nie będzie, bo kiedyś na pewno będzie. To nie było udane wystąpienie, o wszystkim i o niczym, uszyte z dobrze znanych i zgranych kawałków. Po Kaczyńskim przemówili – by pokazać jedność partii – Beata Szydło, Mariusz Błaszczak, Mateusz Morawiecki i Przemysław Czarnek, a także lider quasi-bojówki Ruchu Obrony Granic Robert Bąkiewicz. Ten ostatni – w otoczeniu swych ludzi trzymających papierowe kosy – mówił bez sensu, ale za to groźnie: „Nie bójcie się tego, że oni próbują nas zastraszyć. Nie bójcie się prokuratur, sądów. Ci ludzie zapłacą za to cenę i ta droga na Grunwald musi być taka, że sprawiedliwość musi zapaść, że te chwasty trzeba z polskiej ziemi powyrywać i napalm na tą ziemię rzucać, żeby nigdy nie odrosły".

– Bąkiewicz to oczywiście nie moja estetyka, zresztą prezes usunął się z kadru na czas jego wystąpienia, ale dobrze, że tak Tuskowi powiedział – mówi poseł PiS.

Demonstranci byli zadowoleni – z rozmów z nimi w TV Republika wynikało, że ich największym marzeniem jest Tusk w więzieniu – ale jako wydarzenie polityczne sobotni marsz wypadł blado. Było 10, może 15 tys. osób – jak na szykowaną od miesięcy demonstrację największej partii opozycyjnej w połowie kadencji Sejmu to bardzo mało. Konfederaci wywiesili na placu Zamkowym wielki transparent wykpiwający PiS i jego politykę imigracyjną, z marszu żartował też Tusk, że lepiej szło PiS-owi sprowadzanie imigrantów niż demonstrantów. Może zresztą wiec nie mógł pójść lepiej? Opadł już pierwszy entuzjazm po wygranej Karola Nawrockiego, atmosfery przedwyborczej jeszcze nie czuć, a sondaże przynoszą PiS dość niepokojące wiadomości. Teraz przed Kaczyńskim druga faza jesiennej ofensywy, czyli konwencja programowa w Katowicach 24–25 października. (WBS)

Związkowe rozczarowanie

Lewica porozumiała się z PSL w sprawie ustawy o związkach partnerskich – ogłoszono w ubiegłym tygodniu, ale entuzjazm szybko opadł. Okazuje się bowiem, że projekt zaakceptowany przez wicepremiera **Władysława Kosiniaka-Kamysza** został okrojony nie tylko z konkretnych rozwiązań dla par homo- i heteroseksualnych, ale nawet symbolicznie. Nie będzie więc „związków partnerskich", będą za to „związki cywilnoprawne". Ustawa o statusie osoby najbliższej (bo tak będzie się ona nazywać) będzie projektem rządowym. A właściwie już jest, bo zespół w składzie: **Katarzyna Kotula**, Krzysztof Śmiszek i Urszula Pasławska (PSL) od sierpnia wprowadzał poprawki do gotowego już projektu ustawy o związkach, który przeszedł dwa czytania na posiedzeniu Stałego Komitetu Rady Ministrów w zeszłym roku.

– Takie rozwiązanie jest najłatwiejsze. Ten projekt jest kompletny, zawiera w sobie także wszystkie wyliczenia finansowe na przestrzeni najbliższych 10 lat, kluczowe dla resortu finansów – mówi Kotula. I przekonuje, że osiągnięte porozumienie daje bezpieczeństwo parom jednopłciowym i jednocześnie jest godnościowe – na poziomie minimum. W praktyce oznacza to rezygnację z ceremonii przed USC; związek cywilnoprawny będzie zawierany u notariusza, który następnie zgłosi taką umowę do urzędu, gdzie zostanie wpisana do rejestru. Samo przygotowanie rejestrów to być może praca nawet na rok, dlatego *vacatio legis* ustawy będzie długim ćwiczeniem z cierpliwości. Nie wiadomo też, czy zawarcie takiego związku będzie miało wpływ na stan cywilny.

Za burtą znalazły się tęczowe rodziny – status wychowywanych przez nie dzieci oraz status relacji dziecko–drugi rodzic. To, co ustawa Kotuli i Pasławskiej ma załatwić, to m.in. kwestie dziedziczenia po sobie i pochówku partnera lub partnerki, prawo do informacji medycznej, zwolnienie od podatku od spadku lub darowizny, uzyskanie renty po zmarłej osobie partnerskiej, rozliczanie się razem w urzędzie skarbowym. Według nieoficjalnych informacji tych udogodnień ma być nawet 20.

Społeczność LGBT+ oceniła te propozycje surowo. Stowarzyszenie Miłość Nie Wyklucza nazwało ustawę projektem „Współlokator+". *– Pracowaliśmy ze społecznością prawie dwa lata. Mniej więcej powinni wiedzieć, co będzie w ustawie* – mówi Kotula. I dodaje: *– Przez dwa lata mieliśmy w tej sprawie polityczny pat. Szukaliśmy kompromisu i go mamy. Musimy wyprowadzać z Sejmu takie projekty, które nie zamykają nas na rozmowy z prezydentem. W innym przypadku szłabym w wersję maksimum.* Ministra zapowiada, że do końca roku „temat" ma być zamknięty. I po raz pierwszy – po porażce wcześniejszych 16 podobnych projektów – jest na to realna szansa. (AGSZCZ)

eprasa.pl 9ebcecf7a9

Ziobro 20 lat później

Tomasz Nałęcz
Historyk, profesor UW, polityk; doradca prezydenta RP w latach 2010–15.

Zbigniew Ziobro wszedł do politycznej ekstraklasy w 2005 r. dzięki pracy w pierwszej komisji śledczej badającej korupcyjny skandal SLD zwany aferą Rywina. Po 20 latach sam stanął przed tym organem, teraz ścigającym aferę Pegasusa. Chodzi o program do cyfrowej inwigilacji, który służył ekipie PiS do niszczenia politycznych przeciwników. Godziło to w podstawy demokracji, a przy tym przekręt Rywina wydaje się drobnym szachrajstwem.

Zmieniając rolę ze śledczego na przesłuchiwanego, Ziobro przeobraził się nie do poznania. Co dawniej było dla niego białe, obecnie stało się czarne. Postępuje w sposób, który kiedyś surowo piętnował. Podkreślał wtedy wielokrotnie, że komisja śledcza to najwłaściwsze narzędzie do ścigania ludzi władzy. Inne organy, opanowane przez politycznych kolegów, nie wyjaśnią bowiem przekrętu, tylko zamiotą go pod dywan. Miał całkowitą rację. Jego kompani, sami zamieszani w tę aferę, m.in. z Trybunału Konstytucyjnego, stają dzisiaj na głowie, by zapewnić mu bezkarność. Lansują bezzasadną tezę o nielegalnym charakterze ścigającej go komisji. On też przez wiele miesięcy chwytał się tej brzytwy i nie zjawiał przed sejmowymi śledczymi. A przecież grzmiał 20 lat temu, że unikanie komisji to przyznanie się do przestępstwa, bo niewinny nie ma się czego obawiać.

Kiedy w końcu do Sejmu doprowadziła go policja, zaczął od starej śpiewki o nielegalności komisji. Po czym sam sobie zaprzeczył, bo złożył przyrzeczenie, odpowiadał wiele godzin na pytania, składał wnioski ustawowo przysługujące świadkowi, słowem: postępował jak przed normalnym organem władzy publicznej. Dobry prawnik tak nie działa. Ale najwyraźniej to nie jego przypadek. Złożył też wniosek o wyłączenie całego składu komisji, czego ustawa w ogóle nie dopuszcza. Po wytknięciu mu błędu chciał wykluczenia przewodniczącej. O ironio losu, posłużył się argumentacją, którą przed komisją Rywina skompromitowały się osoby uwikłane w aferę, chcące zamknąć usta dociekliwym śledczym!

Na pytania, które sam zadałby 20 lat wcześniej, odpowiadał jak podejrzany wyćwiczony w sztuce gmatwania kompromitujących faktów i wydarzeń. Użył całej gamy trików i wykrętów, których mogliby mu pozazdrościć członkowie „grupy trzymającej władzę" przesłuchiwani przez niego w pierwszej komisji. Zasłaniał się upływem czasu i niepamięcią. Robił tak przy pytaniach o jego zachowania i decyzje naruszające obowiązujące prawo. Jednocześnie dokładnie relacjonował fakty pasujące do jego linii obrony, choć też pochodziły z tamtego niepamiętanego jakoby okresu. Chował się za decyzje współpracowników, pomniejszając własną rolę. Kiedy cytowano obciążającą go dokumentację, twierdził, że jej sobie nie przypomina, i próbował szybko zmieniać temat.

Dla osób pamiętających dawną jego rolę komisyjnego szeryfa tropiącego grzechy rządzących był to żenujący spektakl. A i finał tej historii zapewne nie będzie budujący. Ziobro pozostanie bezkarny, tak jak mający się dzisiaj znakomicie członkowie „grupy trzymającej władzę", zarówno sprzed lat 20, jak i z okresu 2015–23.

Wirusowa ofensywa

Jak co rok wyczekujemy złotej polskiej jesieni, ale na prawdziwe złote żniwa szykują się przychodnie, apteki i firmy medyczne, bo **grypa, Covid-19 i RSV** przystąpią wkrótce do natarcia. Czy będzie to atak równie silny jak w poprzednim sezonie? Wtedy na grypę zachorowało ponad 2 mln Polaków – z tygodniowymi szczytami po 300 tys. przypadków, z czego hospitalizacji wymagało 25 tys., a ok. 1 tys. osób zmarło. Nie zapominajmy o RSV – syncytialnym wirusie oddechowym, który w sezonie 2024/25 wywołał 52 tys. zakażeń, o 20 tys. więcej niż rok wcześniej (u niemowląt i seniorów to zapalenie oskrzelików i płuc, z hospitalizacjami sięgającymi 270 tys. w całej Europie).

Covid-19 też pewnie nie odpuści, choć przełom lata i jesieni, w porównaniu z poprzednim, nie był tak zły. Ale od końca września lekarze raportowali 70 tys. zakażeń tygodniowo. Dominują nowe podtypy omikronu: nimbus (NB.1.8.1) i stratus (LP.8.1), z objawami u młodych podobnymi do anginy (ostry ból gardła, kaszel, osłabienie), u starszych – podobnymi do zapalenia płuc. Główny inspektor sanitarny dr Paweł Grzesiowski podkreśla: te warianty rozprzestrzeniają się szybciej, zwłaszcza w skupiskach, a krótszy okres inkubacji ułatwia transmisję bezobjawową.

A co na to system? Kolejki do lekarzy, przepełnione SOR-y, wysokie rachunki za leki – to scenariusz, który znamy aż za dobrze. Bez profilaktyki placówki medyczne utoną w morzu pacjentów, jak w szczycie poprzednich fal. Rozwiązaniem są oczywiście szczepienia. Mimo biurokratycznych zawirowań i kłopotów ze znalezieniem miejsca, gdzie można się zaszczepić – warto. Również przeciwko RSV – od 1 października seniorzy po 65 r.ż. oraz ciężarne mają je za darmo, tak jak przeciw grypie, a osoby w wieku 60–64 lata płacą połowę ceny (pełnopłatna szczepionka przeciwko grypie to wydatek ok. 60 zł, w przypadku RSV – aż 800 zł). Szczepionka przeciwko covid (firmy Moderna) jest nadal bezpłatna dla wszystkich, inne (np. Pfizera) są odpłatne.

Pandemia z 2020 r. powinna być lekcją. Pokazała, jak zapobiegliwość ratuje życie: dystans, maseczki, higiena. A jednak gdy ktoś kicha w tramwaju czy przychodzi z gorączką do biura, najczęściej to bagatelizujemy. „Zostań w domu, nie zakażaj" – te słowa brzmią jak echo z przeszłości, którą wypieramy. A lekceważenie może być zgubne w skutkach. Bo jesień bez lawiny infekcji zaczyna się od naszej rozwagi i odpowiedzialności. (PAW)

© BEATA ZAWRZEL/REPORTER, TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 9ebcecf7a9

Czas powrotów

Rozejm zapanował w Strefie Gazy. Na jak długo?

W poniedziałek, gdy Donald Trump wylądował w Izraelu, Hamas przekazał wszystkich żyjących zakładników, a Izrael rozpoczął uwalnianie ok. 2 tys. palestyńskich więźniów. W ten sposób strony toczonej od dwóch lat wojny wypełniły warunki zawieszenia broni w Strefie Gazy, co ma być pierwszym etapem na drodze do pokoju, do którego prowadzić ma tzw. plan Trumpa.

W natłoku emocji związanych z powrotem **20 zakładników** do Izraela i 1,5 mln palestyńskich uchodźców wewnętrznych do zrównanych z ziemią części Gazy, przy euforii towarzyszącej zaprzestaniu przez Izrael działań wojennych, rozpoczętych dwa lata temu po tym, jak Hamas zabił ponad 1200 obywateli Izraela – działań, w wyniku których zginęło co najmniej 67 tys. Palestyńczyków, łatwo zapomnieć, że to była ta najprostsza część planu Trumpa.

Nie wiadomo, co będzie dalej z trzema problemami. Po pierwsze: zarządzanie Strefą Gazy. Zgodnie z planem Trumpa powstanie Rada Pokoju, co już brzmi orwellowsko, a to jeszcze zanim weźmiemy pod uwagę fakt, że na jej czele ma stanąć sam Trump wspomagany przez byłego brytyjskiego premiera Tony'ego Blaira, który ma doświadczenie we współzarządzaniu Irakiem (aż do jego pełnej upadłości).

Po drugie: rozbrojenie Hamasu. Powstał już pomysł przekazania broni do Egiptu. Tylko której broni? Kierownictwo Hamasu ani myśli oddać broni ręcznej. Kto w takim razie miałby nadzorować rozbrojenie? To wymagałoby obecności silnego kontyngentu wojskowego (izraelskiego?) w Strefie Gazy. Swoją drogą, w jaki sposób izraelska armia, która przez dwa lata nie mogła odnaleźć tam zakładników, miałaby odszukać poukrywaną przez Hamas broń?

Poza tym, czy na pewno o broń chodzi? Przecież nawet gdyby Hamas oddał wszystko, to Izrael może stwierdzić, że jednak nie wszystko. I tu nawet nie chodzi o zaufanie, tylko o fakt, że większość punktów z planu Trumpa oparta jest o uznaniowość ze strony Izraela. Tak jak w przypadku kolejnych faz wycofania izraelskiego wojska z Gazy. To trzeci problem: są one obwarowane tak nieostrymi warunkami, jak np. „reforma palestyńskich władz", że nawet Trump może nie być w stanie ich wyegzekwować.

Jeśli z jakichś powodów Izrael będzie chciał zerwać zawieszenie broni, to będzie miał 20 pretekstów, aby to zrobić. Fundamentalna różnica polega na tym, że Hamas nie będzie już miał zakładników jako argumentu. A warto pamiętać, że poprzednie zawieszenie broni, też wynegocjowane przez Trumpa, zostało w marcu zerwane przez Izrael, mimo że Hamas wciąż przetrzymywał dziesiątki zakładników.

Obecne porozumienie tym różni się od niego, że po palestyńskiej stronie wypełnianie kolejnych jego postanowień jest nieodwracalne – w odróżnieniu od ruchów (ustępstw) Izraela. Dla przykładu, nawet jeśli Izrael uwolni ok. 2 tys. więzionych Palestyńczyków, jutro może aresztować kolejnych. Nawet jeśli w najbliższych dniach wycofa się ze Strefy Gazy, w najbliższych tygodniach może do niej wrócić. Hamas nie porwie znów tylu izraelskich obywateli. A jeśli odda broń, nawet w jakiś gwarantowany dyplomatycznie depozyt, już raczej jej nie odzyska.

Wszystko to łatwiej zrozumieć, jeśli odrzucimy założenie, że Trump jest w tym sporze arbitrem. Że wymusił coś na obu stronach, aby zaprowadzić pokój. Podobnie nietrafione są sugestie, że teraz „gwarantuje porozumienie swoim autorytetem". Naprawdę? Przecież gwarantował już kilka innych. Pierwsze zawieszenie broni, poparte autorytetem prezydenta USA, Izrael zerwał, gdy Trump ogłosił swój plan gazańskiej „riwiery", który w praktyce oznaczał czystkę etniczną. Izrael uznał więc, że ma zielone światło dla własnej czystki.

Przecież Trump w czerwcu kategorycznie przestrzegał Izrael przed atakiem na Iran, ponieważ sam próbował dogadać się z Irańczykami. A gdy Izrael zaatakował, Trump się przyłączył. Potem tłumaczył, że negocjacje z Irańczykami były tylko zasłoną dymną dla izraelskiego ataku… Podobnie zresztą było z wrześniowym atakiem Izraela na Katar. Zebrani tam liderzy Hamasu, którzy byli celem, analizowali amerykańską propozycję zawieszenia broni w Strefie Gazy. Trump miał czas, żeby ostrzec Katarczyków przed atakiem. Albo żeby powstrzymać izraelski atak. Ale tego nie zrobił.

Te i kilka innych okoliczności z ostatnich miesięcy skłaniają ku przekonaniu, że cały plan Trumpa, który przecież był głęboko modyfikowany podczas wizyty Beniamina Netanjahu w Białym Domu, jest polityczną „ustawką" na użytek opinii międzynarodowej. A w szczególności dla dotychczasowych patronów Hamasu, bogatych krajów z Zatoki Perskiej, którzy mają przełożenie na Trumpa jako jego partnerzy biznesowi (prywatni, a nie państwowi). Dziś jednak trudno nie cieszyć się z tego, że zakładnicy są już na wolności, a na Palestyńczyków nie spadają bomby.

ŁUKASZ WÓJCIK

Reportaż z Zachodniego Brzegu – s. 48

eprasa.pl 9ebcecf7a9

Noblistka z rozdroża

Postać Maríi Coriny Machado i Pokojowa Nagroda Nobla dla niej ważą inaczej pod różnymi szerokościami geograficznymi.

Łatwo klaskać pokojowej noblistce w Europie Wschodniej, mając w pamięci realny socjalizm i stare myślowe nawyki. Bo niby cóż tu dwuznacznego? Liderka opozycji sprzeciwiająca się dyktatorowi, który kradnie wybory i doprowadza do exodusu 8 mln obywateli. Liczne konteksty tej historii sprawiają jednak, że decyzja Norweskiego Komitetu Noblowskiego – jak i laureatka – nie skłaniają do reakcji „tak – tak, nie – nie"; tylko raczej „tak, ale…", względnie „nie, ale…".

Machado wchodzi na scenę w 2002 r. Oligarchowie wspierani przez grupkę wojskowych dokonują zamachu stanu przeciw Hugo Chávezowi. Prezydent, demokratycznie wybrany trzy lata wcześniej, prowadzi egalitarną politykę wspierającą aspiracje klas ludowych. Machado ma 35 lat i nie jest kluczową figurą puczu. Podpisuje jednak deklarację, na mocy której władzę ma objąć lider zamachowców, a parlament zostanie zawieszony. Po kilku dniach pucz załamuje się, masy domagają się powrotu Cháveza. To nie rewolta w imię demokracji przeciw dyktaturze – Chávez nie łamie prawa, dzieli sprawiedliwiej dochody z ropy naftowej. To klasyczny bunt elit zagrożonych utratą przywilejów, ich przedstawicielką jest też Machado, córka jednego z najbogatszych przemysłowców stalowych. Osiem lat później filia jednej z fabryk ojca zostanie znacjonalizowana.

Dziś dyktatorskie rządy następcy Cháveza, Nicolása Maduro, sytuują noblistkę w szeregach opozycji walczącej o demokrację, wolność słowa i zrzeszania. Opozycja wenezuelska jest ideologicznie zróżnicowana. Przeważają działacze o poglądach od centrum do prawicy, również skrajnej. Machado sytuuje się tuż przy prawej ścianie. Głosi peany na cześć Margaret Thatcher; opowiada się za szeroką prywatyzacją, w tym PDVSA – państwowego giganta naftowego.

Ta ostatnia zapowiedź szokuje o tyle, że ropa to główne dobro kraju, a bogata Północ traktuje Amerykę Łacińską jak zagłębie surowcowe. Nawet dyktator Chile gen. Augusto Pinochet, który prowadził ultraliberalną politykę prywatyzacji, zrobił wyjątek i nie sprywatyzował złóż miedzi, podstawowego surowca w tym kraju. To pokazuje, jak skrajne są poglądy noblistki. Podobnie jest z przywoływaniem przykładu Thatcher. W Wenezueli polityka skrajnej redukcji sfery publicznej doprowadziła do pauperyzacji i ludowego powstania w 1989 r. (*El Caracazo*). Powstanie było mitem założycielskim późniejszej o dekadę rewolucji boliwariańskiej Cháveza. Czy powrót do thatcheryzmu – gdyby Machado doszła do władzy – to naprawdę dobra recepta na pokój społeczny i nowe otwarcie „po Maduro"?

Podobną konfuzję budzi wiernopoddańczy stosunek Machado do Donalda Trumpa, któremu zadedykowała otrzymaną w piątek nagrodę. Wenezuelska „Iron Lady"? Czy raczej/także wenezuelska „Lady Trump", wpisująca się w globalny trend pączkowania mini-Trumpów?

Machado od lat nawoływała do użycia siły przeciw reżimowi w Caracas. Sugerowała, że lepsza byłaby interwencja sił międzynarodowych (w domyśle: nie tylko Stanów Zjednoczonych): „Demokracje zachodnie muszą zrozumieć, że przestępczy reżim ustąpi tylko pod nieustającą i poważną groźbą użycia siły". Dziś mówi językiem Trumpa: Maduro według niej to nawet nie dyktator, tylko narcotraficante, który „rozsiewa przestępczość zorganizowaną" zagrażającą bezpieczeństwu USA. Tak się urabia przychylność świata dla interwencji zbrojnej (tak samo Biały Dom mówił o Manuelu Noriedze, dyktatorze Panamy, którego w 1989 r. obalili amerykańscy marines; dokonał żywota w więzieniu w Stanach).

Noblistka – zanim została noblistką – sprzyjała ostatnio rozlokowaniu okrętów wojennych USA, które na wodach międzynarodowych graniczących z Wenezuelą ostrzelały kilka łódek transportujących ponoć narkotyki (co najmniej 21 zabitych). „Ponoć" – bo nie wiadomo, co przewożono. USA pogwałciły prawo międzynarodowe, a Machado biła brawo. I słała rodakom zapewnienia, że odzyskanie wolności to kwestia tygodni.

Nobel dla Machado to wiatr w żagle opozycji i zasłużony cios dla zamordysty. Jednak „odzyskiwanie wolności" z rąk gringos oznacza w Ameryce Łacińskiej przyjęcie roli podnóżka, marionetki. Ostrzegają przed tym bardziej umiarkowani opozycjoniści z Caracas. „Waszymi jankesami są Rosjanie i Niemcy" – tłumaczył mi stosunek Latynosów do USA pisarz Carlos Fuentes. Gringos zawsze mieli „swoich" Latynosów – Somozę, Pinocheta, Videlę (póki nie stali się kłopotem); dziś – szalonego Mileia w Argentynie czy skazanego w Brazylii Bolsonara; teraz także Machado. To nie zdejmuje z USA powszechnego w wyobraźni politycznej Latynosów piętna żandarma, który – jak sięgnąć pamięcią – wspierał wsteczników tłumiących ruchy emancypacyjne.

Machado wciąż ma wybór: może działać na rzecz pokojowej transformacji, a presję Trumpa wykorzystać jako oręż w negocjacjach z reżimem. Bo gdyby zamiast paktowania doszło do zbrojnej interwencji USA – a Machado stanęła po stronie najeźdźcy – historia mogłaby ją zapamiętać nie jako pokojową noblistkę, lecz wojenną podżegaczkę. Taki rozwój zdarzeń nie musiałby zresztą pogrzebać dyktatury, a nawet mógłby ją umocnić. I na długo związać agendę demokratów z obcą interwencją. Lepiej nie iść tą drogą.

ARTUR DOMOSŁAWSKI

© DIMA VAZINOVICH/GETTY IMAGES, PEDRO MATTEY/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 9ebcecf7a9

Rocznicowe rozrachunki

Miało być święto narodowe, a zamiast tego czeka nas skromny jubileusz przy słonych paluszkach i gorzkich refleksjach. Ale może nie warto grzebać symboliki 15 października, tylko zastanowić się, jak ją odnowić?

ILUSTRACJA ARKADIUSZ CUDNY

RAFAŁ KALUKIN

Już ubiegłoroczna rocznica była cierpka, chociaż można było oczekiwać, że na resztkach trendu przedstawiciel rządzącej większości zdoła jeszcze wygrać prezydenckie wybory. Tegoroczny 15 października wręcz zdaje się tonąć w goryczy i pewnie mało komu chce się wracać pamięcią do tamtych dni spod znaku uśmiechniętego serduszka i kolejki w Jagodnie. Powszechny jest defetyzm, poczucie schyłkowości tej władzy.

Ale czy nie za wcześnie na uleganie fatalizmowi? W końcu mamy raptem półmetek kadencji. Rządząca większość znajduje się w trudnym położeniu, chociaż nie jest ono tragiczne. Jeśli czegoś brakuje, to głównie wiary w siebie. Strona demokratyczna po chwilowym odrodzeniu znów dała się zepchnąć do roli ideologicznego uchodźcy we własnym kraju.

Ale żeby wydostać się ze ślepego zaułka, potrzebna jest najpierw rewizja tego, co było. Spróbujmy więc raz jeszcze spojrzeć na minione dwa lata i zastanowić się, co poszło nie tak.

Po pierwsze: diagnoza

Po 15 października wszyscy się trochę pomylili. Politycy, liderzy opinii. Był to błąd uogólnienia osobistej perspektywy. Już pod rządami PiS demokraci przeważnie próbowali się organizować pod hasłami obrony praworządności. Z rozczarowującym skutkiem. Coś się przełamało dopiero po masowych protestach przeciwko zakazowi aborcji, a zwieńczeniem tego procesu okazały się wybory w 2023 r. Przy rekordowej frekwencji oddano imponujące 11,5 mln głosów na idącą pod wspólnym sztandarem demokratyczną trójkę.

Kusiło więc, żeby potraktować to jako triumf liberalnej demokracji nad autorytarnym populizmem. Tak również odebrano to w europejskich stolicach. Powracający na białym koniu Donald Tusk stał się na krótko symbolem liberalnej restauracji. W trakcie długiej kampanii nie ograniczał się jednak do takich haseł, przedstawiając szerszą listę obietnic światopoglądowych i socjalno-ekonomicznych. Tyle że nigdy nie traktował ich równie poważnie, jak potraktowali to wyborcy.

Bo też elektorat koalicji 15 października nigdy nie był zwarty. Istotną jego część oczywiście stanowili świadomi obrońcy demokracji, ale dołączyło też młode pokolenie, bardziej już zorientowane na zmianę kulturową. Nadwyżkę zapewniły zaś

eprasa.pl 9ebcecf7a9

grupy, które w ogóle trudno już było jednoznacznie określić. Jedni oczekiwali socjalnych prezentów, inni – gospodarczej wolności. A nie brakowało też takich, którzy po prostu mieli dość moralnie obrzydliwej aury tamtej epoki: powszechnego cynizmu, systemowej korupcji, prymitywnej propagandy.

Poza odrzuceniem PiS brakowało jednak wspólnego mianownika. Dominowała zatem emocja negatywna, której demokraci okazali się mniej lub bardziej przypadkowym beneficjentem. Ich program odbudowy liberalnego ustroju nigdy nie był „programem narodu". Chociaż sami w to uwierzyli. W powyborczej euforii wydawało się, że to przełom na miarę 4 czerwca 1989 r. Ktoś nieopacznie nawet rzucił hasło, żeby ustanowić 15 października nowym świętem narodowym...

Po drugie: plan

Dziś wiemy, że agenda chybiona, chociaż wtedy wydawała się oczywista. A więc posprzątać ustrój po rządach PiS i rozliczyć winnych destrukcji. Niestety społeczny grunt pod takie działania od początku był wątpliwy. PiS pozostawił po sobie ustrojowe wydmuszki w postaci Trybunału Konstytucyjnego, Krajowej Rady Sądownictwa i w jakiejś części Sądu Najwyższego. Po zmianie władzy stały się one politycznym narzędziem w rękach opozycji. Problem w tym, że działały na podstawie pozorowanego legalizmu, co zdezorientowało większość Polaków, również popierających nową władzę. A co gorsza Donald Tusk popełnił przed wyborami zasadniczy błąd, kiedy mgliście anonsował program przywrócenia praworządności bez chodzenia na skróty.

Nie posiadał jednak cudownych recept, a jedynie plan prowizorycznych zmian i doczekania do wyborów prezydenckich. „Nasz prezydent" miał tę prowizorkę ostatecznie zalegalizować. Być może niczego sensowniejszego nie dało się zrobić, niemniej w okresie przejściowym można było popracować nad wzmocnieniem świadomości prawnej.

Zostało to jednak zaniedbane. Poszukujący legalistycznych ścieżek Adam Bodnar podlegał nieustannej presji politycznej, żeby działać śmielej i ostrzej. Wybuchały na tym tle gorszące awantury, swoje dokładały do pieca internetowe plemiona. Postronnym nietrudno było dojść do przekonania, że nie o odbudowę żadnych standardów tutaj chodzi, tylko jak najszybsze przejęcie ustrojowych zabawek. Tak jak wcześniej zrobił to PiS. Różnica zaczęła się zatem zacierać, teraz to poprzednicy stali się heroldami legalizmu i obrońcami ładu prawnego, chociaż ich dziełem był właśnie bezwład państwa.

Okropne wrażenie, że „jedni drugich warci", pogłębiły działania w publicznych mediach. Ich przejęcie było polityczną koniecznością, ogólnie zresztą aprobowaną. Ale chaotyczny sposób nie sprzyjał budowaniu wiarygodności, a kryzys zaufania pogłębiła już sama medialna oferta. Brak wyrazistości byłby pewnie akceptowalny, gdyby nie towarzyszyły temu zarzuty o stronniczość. Toporne często wsparcie udzielane przez publiczną telewizję Rafałowi Trzaskowskiemu wręcz poważnie mu zaszkodziło, gdyż wyszedł na grzesznego moralistę, angażując TVP do organizacji swojej imprezy w Końskich.

W podobnych koleinach osiadły rozliczenia. Tu też zawiodło zarządzanie oczekiwaniami. Polski wymiar sprawiedliwości jest po prostu za mało wydolny, żeby zmierzyć się z tak ogromną skalą przekrętów i nadużyć, którymi obrodziły rządy PiS. Ale nawet głośne śledztwa w najbardziej drażliwych sprawach kulały, popełniono wiele błędów politycznych i proceduralnych. Reszty dopełniły komisje śledcze, czyli krzykliwe, ale raczej puste spektakle.

Rozliczenia powinny być częścią projektu edukacyjnego. Stały się jednak głównie narzędziem mobilizacji, odwołującym się do silnych po 15 października nastrojów rewanżyzmu. Z czasem jednak coraz mniej skutecznym, gdyż nie udało się podtrzymać, utrwalić społecznego gniewu na rządy PiS. Im bardziej zaś on mijał, tym mniej przychylnym okiem Polacy oglądali kolejne nieskuteczne próby pociągania do odpowiedzialności prominentów PiS.

Połowę kadencji zmarnowano na gonienie króliczka, który ostatecznie czmychnął. Istotniejsze obszary rządzenia faktycznie z kolei zaniedbano. Bo z diagnozy nie wynikało, że są priorytetowe. Tymczasem takie właśnie były. Szczególnie przekładające się na poziom życia, ale też życiowe aspiracje Polaków, ich wspólnotowe wyobrażenia. Nie zawsze realistyczne, na co można się było zżymać przy okazji dyskusji o CPK. Bo tak naprawdę Polacy wcale nie odrzucili dwa lata temu populizmu, a jedynie populistyczną władzę, przenosząc rozbudzone przez nią oczekiwania na następców.

Po trzecie: metoda

Jeszcze w pierwszej fazie rządów PiS demokraci mieli przeczucie, że nie będzie prostego powrotu do stanu sprzed 2015 r. Zbyt wiele się po prostu zmieniło w społecznej świadomości, ale też w otoczeniu międzynarodowym. Liberalna hegemonia odchodziła w przeszłość, a prawicowy populizm wdzierał się coraz głębiej w zachodnie centra cywilizacyjne.

Wyzwanie, przed którym stanął po 15 października Tusk, pod każdym względem przewyższało wręcz tamto sprzed półtorej dekady, kiedy po raz pierwszy odbierał Kaczyńskiemu władzę. Dodatkowe utrudnienie stanowiła skomplikowana konstrukcja polityczna, na czele której teraz stanął. Obecny koalicyjny kwartet jest w końcu dużo bardziej wymagający od dawnej koalicji PO-PSL. Wymagało to nowego modelu zarządzania. Tymczasem premier sięgnął po ograne patenty z lat 2007–14. Raz jeszcze postanowił zostać samotnym władcą, który sprawuje osobiste rządy. Oddalonym od ministrów, partnerów koalicyjnych, nawet własnej partii. Jego plany owiane są tajemnicą, będąc przedmiotem niekończącej się spekulacji. Myślenie całego aparatu politycznego sprowadza się dziś do przewidywania, co wymyśli Tusk.

Ale na tym mu właśnie zależało. Koncentrując prawo podejmowania kluczowych decyzji, osłabił autonomię resortów, dzięki czemu wzmocnił polityczną kontrolę. Tyle że nie określił strategii, gdyż ograniczałoby to jego pole manewru. Szczątkowa umowa koalicyjna nie zawierała czytelnych priorytetów, wszystko stało się elementem bieżącej kalkulacji, jak za poprzednich rządów Tuska. Mniej lub bardziej udolne administrowanie państwem przerywane jest nagle ogłaszanymi zrywami. Nie zdążyła naprawdę ruszyć wielka modernizacja Polski za pieniądze z KPO, a już mieliśmy obiecaną „narodową doktrynę piastowską", która następnie płynnie przeszła w równie doniosłą deregulację. Zawsze jednak na pięć minut, bez odczuwalnych skutków.

Dawniej takie zarządzanie impresjami świetnie działało, gdyż Polacy nie mieli wobec polityki wielkich oczekiwań. Wystarczało im, że po okresie transformacyjnego zaciskania ▶

eprasa.pl 9ebcecf7a9

▶ pasa ogólnie im się poprawia. Nie było również silnej presji mediów społecznościowych, które codziennie stawiają dzisiaj rządzących przed koniecznością skonfrontowania się z własnym odbiciem w lustrze, najczęściej zdeformowanym.

Przede wszystkim jednak po zaaplikowaniu przez PiS serii populistycznych zastrzyków zmieniła się percepcja demokracji. Została wyzwolona z umowności, liczy się konkret. Bez ograniczeń, bo można niemal wszystko. Poza jednym: nie wolno rzucać słów na wiatr, tylko natychmiast „dowozić". Tyle że rządząca ekipa zignorowała populistyczny schemat, pożyczając sobie jedynie populistyczne treści. O które z braku lepszego pomysłu na rządzenie próbuje dzisiaj licytować z prawicą. Bez większych efektów, a jedynie krok po kroku zaprzedając własną duszę.

Dla wyborców koalicji to niezrozumiałe. Nieprzypadkowo jedynie KO trzyma się mocno w sondażach, gdyż jej zwolennicy zazwyczaj po prostu orientują się na najsilniejszą zaporę przed PiS. Ci lewicowi dostali jedynie namiastki kulturowej zmiany, też zresztą nieudane, jak teraz edukacja zdrowotna w szkołach. O brak dostępności aborcji trudno mieć do Tuska pretensje, bo nie było sposobu złamania PSL. Chociaż to nie z tego powodu tak wielu wyborców Lewicy zagłosowało ostatnio na Adriana Zandberga, który głównie zarzucał rządowi brak polityki rozwojowej.

Obiektem szczególnej troski od początku powinni być jednak wyborcy dawnej Trzeciej Drogi. Nie stanowili nigdy zwartej grupy. Jednymi kierowały potrzeby bytowe, innymi – etyczne. Wielu z nich nie trzymało się kurczowo linii demarkacyjnej w polskim konflikcie, co czyniło ich podatnymi na opozycyjne narracje. Nic dziwnego, że niezaopiekowani z czasem rozproszyli się po całej scenie. Dzisiaj szukaj wiatru w polu...

Po czwarte: współpraca

W modelu osobistych rządów Tuska układ władzy jest hierarchiczny, decyzje zapadają odgórnie. Teoretycznie odpowiedzialność powinien więc ponosić premier, ale tak nie jest. Tracą jedynie partie koalicyjne, które są przecież autonomiczne, mają własne ideowe potrzeby oraz interesy. Ich liderzy podlegają zatem oddolnej presji, żeby się stawiać Tuskowi i budować wyrazistość. To przepis na permanentny konflikt.

Tusk lubi narzekać na koalicjantów, chociaż w sumie nie mogli mu się trafić lepsi. Włodzimierz Czarzasty i Władysław Kosiniak-Kamysz po prostu zaciskają zęby, próbując się dopasować. Z kolei Szymon Hołownia najczęściej wierzgał, tyle że na oślep, szkodząc głównie sobie. Z powodu własnej nieudolności stał się w oczach wyborców koalicji 15 października głównym sprawcą chaosu, podczas gdy Tuska mało kto pyta o jego model zarządzania.

Tymczasem problem jest szerszy i dotyczy również relacji ze społeczeństwem obywatelskim. Organizacje pozarządowe stanowiły wcześniej istotny filar oporu przed autorytarnymi działaniami PiS. I to płacąc cenę bycia ofiarą ohydnych nagonek, stygmatyzowania jako „agentów zagranicy". Po zmianie władzy spotkała je zimna obojętność. Ich opinie są ignorowane, brakuje zachęt, koncepcji systemowego wsparcia.

Kolizji z częścią tych środowisk pewnie nie dało się uniknąć, zwłaszcza z ruchami pomagającymi uchodźcom na wschodniej granicy. Ale z aktywistami tak już jest, że czegoś wiecznie chcą, stawiają maksymalistyczne żądania, przywiązują się do swoich wąsko sprofilowanych idei. Na krótką metę same z nimi problemy, ale na dłuższą – bez społecznego fermentu nie ma dobrych rządów. Tym bardziej warto było pomyśleć o przyjaznym modelu współpracy. Po to, żeby nie stracić poparcia najaktywniejszej części społeczeństwa.

I co dalej?

Listę niedomagań można wydłużyć. Należałoby dodać kiepską komunikację, której zresztą poświęca się sporo uwagi. Można się oczywiście zadumać nad faktem, iż rząd Tuska podtrzymał wszystkie socjalne zobowiązania po poprzednikach, dokładając jeszcze trochę własnych i tym samym biorąc na siebie ryzyko budżetowego krachu, co nie przyniosło mu żadnych politycznych profitów. To przede wszystkim kwestia braku profesjonalizmu, polegania na „chłopskim rozumie", co w środowisku Platformy jest ugruntowane. Tyle że forma jest mimo wszystko wtórna wobec treści. PiS miał schematy narracyjne opanowane do perfekcji, ale z czasem przedawkował propagandę. Swoją drogą potoczny zarzut, iż „rząd nie umie pochwalić się swoimi sukcesami", to tak naprawdę jedynie środek znieczulający.

Można jednak odnieść wrażenie, że po prezydenckiej klęsce coś drgnęło. Komunikacja nieco się poprawiła, pojawiły się wreszcie zalążki myślenia strategicznego. Choć ustawienie ministra Macieja Berka w roli ekonoma rozliczającego resorty pokazuje trwałość feudalnej struktury rządu. Przydałby się więc też krok w stronę realnego partnerstwa. Inna sprawa, że ogólne uporządkowanie celów i skrócenie procesów decyzyjnych nie spowoduje zasadniczej zmiany. Bo jeśli ten układ ma przetrwać, powinien wymyślić się na nowo. Spróbować ponownie zarządzić społecznymi oczekiwaniami, przeformatować je na bardziej adekwatne i realistyczne. Na odbudowę liberalnych instytucji siłą rzeczy nie ma na razie poważnych szans, a rozliczenia chyba już czas pozostawić prokuratorom i sędziom, rezygnując z wywierania politycznej presji.

Co więc mogłoby stać się nowym „towarem"? Kluczowa wydaje się dzisiaj potrzeba stabilności, którą należałoby jednak po swojemu opowiedzieć. Sprzyjają niewątpliwie niezłe perspektywy ekonomiczne, chociaż trzeba pamiętać o przeciążonym budżecie. Na szczęście mało kto oczekuje rozdawnictwa. Polacy obawiają się przyszłości i niechętnie wydają pieniądze, co widać po rosnącym poziomie oszczędności. Umiejętną polityką można jednak takie obawy rozpraszać, pobudzając jeszcze bardziej gospodarkę.

I warto wykorzystywać napięcia po prawej stronie. Rywalizacja PiS z Konfederacją powinna spychać obie te formacje na jeszcze skrajniejsze pozycje w suwerennościowych i antyeuropejskich licytacjach. Co może być na dłuższą metę męczące w sytuacji pogłębiającego się zagrożenia wojną, która wymaga odpowiedzialnego przywództwa. Powrót Donalda Trumpa do tej pory sprzyjał prawicy, wzmacniając jej ideologiczne recepty. Tyle że amerykańska polityka stała się nieprzewidywalna, chaotyczna, raczej osłabiając ogólne poczucie bezpieczeństwa w regionie. Pragmatyzm demokratów może być tu atutem.

Ale do tego wszystkiego potrzeba konkretnych pomysłów, strategii, koordynacji, realnego partnerstwa, wreszcie poważnego podejścia do zobowiązań. Inaczej mówiąc, żeby druga połówka nie została zmarnowana, należy wyciągnąć wnioski z pierwszej.

RAFAŁ KALUKIN

eprasa.pl 9ebcecf7a9

Rządowa depresja

Koalicja 15 października rozpoczęła swoją misję ze sporym kredytem społecznego zaufania. Niespełna dwa lata później wydaje się on fantazją z innego świata.

MICHAŁ DANIELEWSKI

W styczniu 2024 r. 41 proc. badanych (dane CBOS) deklarowało, że rząd Donalda Tuska będzie lepszy od poprzedniego, co było wynikiem aż o 8 pkt proc. lepszym od początkowych notowań ekipy Beaty Szydło. Co więcej, miesiąc później notowania rządu wzrosły mimo gorących emocji politycznych. To był czas postawienia mediów publicznych w stan likwidacji oraz zatrzymania Macieja Wąsika i Mariusza Kamińskiego w Pałacu Prezydenckim. W lutym 2024 r. 41 proc. badanych określało się jako zwolennicy rządu, jako przeciwnicy – 34 proc. To były liczby porównywalne ze złotymi czasami PiS i najlepszy wynik od lata 2020 r.

Optymizm królował także w mierzonych przez CBOS społecznych oczekiwaniach dotyczących polityki gospodarczej: 49 proc. badanych deklarowało, że stwarza szansę na poprawę sytuacji, odmiennego zdania było 39 proc. Bilans 10 pkt proc. na plusie robił jeszcze większe wrażenie, gdy zestawiło się go z końcówką rządu PiS, który szedł do wyborów z 18 pkt proc. na minusie.

Dziś tamta hossa nastrojów jest tylko wspomnieniem. Oceny rządu Tuska we wrześniu 2025 r. były pod wodą na poziomie 17 pkt proc., dorównując niechlubnym rekordom gabinetu Morawieckiego ze szczytu kryzysu inflacyjnego. Natomiast ocena polityki gospodarczej jest dziś o 4 pkt proc. gorsza niż w końcówce rządów PiS w listopadzie 2023 r. Co takiego się stało, że wszystko się załamało?

Różnica między zwolennikami i przeciwnikami rządu (w pkt proc.)

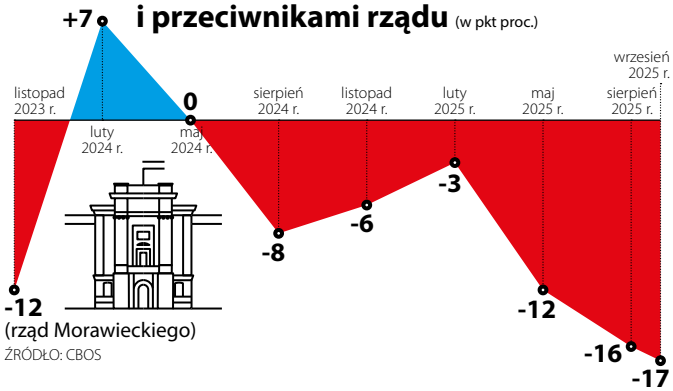

ŹRÓDŁO: CBOS

Bieżący wskaźnik ufności konsumenckiej

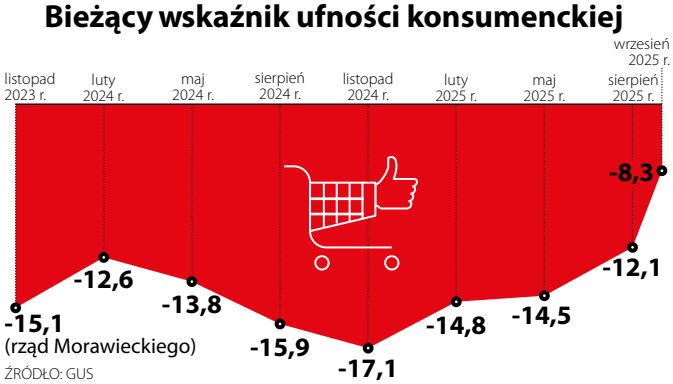

ŹRÓDŁO: GUS

INFOGRAFIKA **LECH MAZURCZYK**

Gwałtowne tąpnięcie nastrojów przyszło latem 2024 r. Trochę niespodziewanie, bo przecież ledwie chwilę wcześniej KO wygrała eurowybory, a mimo rozczarowujących wyników Lewicy i Trzeciej Drogi partie koalicji zdobyły w nich razem ponad 50 proc. poparcia. W okres wakacyjny rząd wchodził bez „długu nastrojów", z bilansem na zero, ale we wrześniu rozpoczął nowy sezon polityczny już na wyraźnym minusie, zarówno jeśli chodzi o bilans zwolenników i przeciwników (-3 pkt proc.), jak i ocenę polityki gospodarczej (-10 pkt proc.). Mimo krótkotrwałych korekt negatywny trend z czasem się pogłębiał.

Gabinet Tuska w oczach Polaków przestał dowozić. I w sferze bazy, i nadbudowy. Po miesiącach kojarzonej z PiS inflacji rząd korzystał na początku z powszechnego optymizmu i oczekiwania szybkiej poprawy sytuacji materialnej. Problem w tym, że w odczytach wzrost cen hamował, ale w kieszeniach Polaków – niekoniecznie. Dlatego po wyraźnej poprawie mierzonych przez GUS nastrojów konsumenckich (wskaźnik BWUK, rys. 2) z początku 2024 r. najpierw nastąpiła stagnacja, a od wakacji wyraźne pogorszenie, aż do poziomu z samego końca władzy PiS. Do tego doszła nieporadność komunikacyjna rządu, który dał sobie narzucić podbijaną przez media opowieść o „drożyźnie Tuska" symbolizowanej przez wysokie ceny masła.

Co gorsza, w tym samym momencie, gdy zabrakło chleba (a zwłaszcza chleba z masłem), odwołano również igrzyska. W lipcu 2024 r. koalicja przegrała sama ze sobą głosowanie w sprawie ustawy o depenalizacji aborcji, wymierzając siarczysty policzek tym wyborcom, którzy poszli do urn, żeby jednocześnie obalić PiS i jego drakońskie przepisy antyaborcyjne. Obozowi rządowemu udała się więc rzecz rzadka: w jednym momencie zraził do siebie zarówno głosujących według kryterium portfela wyborców środka, jak i część swoich najbardziej zaangażowanych ideowo zwolenników z października 2023 r. Jako mały cud można więc traktować fakt, że notowania sondażowe formacji tworzących koalicję rządową są w miarę stabilne i wciąż pozostawiają margines nadziei na zachowanie władzy po następnych wyborach.

KO w większości badań minimalnie wyprzedza PiS ze średnią sondażową wahającą się między 30 a 32 proc. Nowa Lewica mimo odejścia na swoje partii Razem utrzymuje się nad progiem wyborczym ze średnią na poziomie 6–7 proc., a PSL i Polska 2050 dzielą między siebie na pół 6 proc. poparcia z czasów Trzeciej Drogi. Dziś wybory wyraźnie wygrałaby prawicowa opozycja, ale małe wahnięcie nastrojów, mądra konsolidacja obozu rządowego i koalicja może jeszcze wrócić do gry.

Pierwszą jaskółką zmiany koniunktury politycznej może być (o ile okaże się trwała) poprawa nastrojów konsumenckich, które wg GUS we wrześniu 2025 r. osiągnęły najlepszy wynik od czasu pandemicznego tąpnięcia. ■

eprasa.pl 9ebcecf7a9

Aleksander Smolar (ur. 1940 r.) – publicysta, z wykształcenia ekonomista, w czasach PRL opozycjonista i więzień polityczny, od 1971 r. na emigracji, głównie we Francji. W latach 1991–2020 był prezesem Fundacji im. Stefana Batorego.

Zabrakło opowieści

Aleksander Smolar, publicysta, były prezes Fundacji Batorego, o dwóch latach rządów Donalda Tuska i koalicji 15 października – i o tym, czy da się odwrócić prawicową falę w Polsce i na świecie.

JAKUB MAJMUREK: **– Mijają dwa lata od wyborów wygranych przez obecną koalicję. Jak pan ocenia ten okres?**

ALEKSANDER SMOLAR: – Samo dojście do władzy koalicji demokratycznej było wielkim sukcesem. Jest on wielokrotnie przywoływany w światowej literaturze – często przez autorów nie do końca świadomych obecnej sytuacji politycznej w Polsce – jako przykład tego, że po okresie rządów autorytarno-populistycznych możliwy jest powrót demokracji. Dla osiągnięcia tego sukcesu kluczowe było porozumienie różnych sił demokratycznych i umiejętne wykorzystanie słabych punktów rządów Prawa i Sprawiedliwości. To wszystko jest bez wątpienia wielkim osobistym sukcesem Donalda Tuska. Niestety następne dwa lata po zwycięstwie z 15 października 2023 r. wyglądają już gorzej. Szybko utrwaliło się przekonanie, że nowe rządy mają bardzo ograniczone pole manewru i niewiele są w stanie zrobić, nawet jeżeli mają takie zamiary.

Jaki był tego powód?

Było ich kilka. Na płaszczyźnie ekonomicznej rząd ograniczało odziedziczone po PiS zadłużenie. W bardzo ważnym z moralnego i politycznego punktu widzenia obszarze praworządności blokowały go ograniczenia ustawowe. Adam Bodnar, powszechnie szanowany jako człowiek, był pod koniec swojej kadencji w Ministerstwie Sprawiedliwości coraz bardziej krytykowany za to, że kierując się literą prawa, nie jest w stanie odbudować niezależnego wymiaru sprawiedliwości, sparaliżowanego po rządach PiS. Nowy minister Waldemar Żurek przyszedł z odświeżoną

© FRANCISZEK MAZUR/AGENCJA WYBORCZA

eprasa.pl 9ebcecf7a9

legitymacją bojownika o niezawisłość sądów. Nawet jeśli uda się mu wprowadzić istotne zmiany przybliżające nas do odbudowy praworządności, to nie jest pewne, czy przełoży się to na istotną poprawę społecznej oceny rządu.

Rząd mógł przyjąć inną politykę w sprawie odbudowy praworządności?

Część prawników radziła, by podejść do tego tak, jak Bartłomiej Sienkiewicz podszedł do zmian w mediach publicznych, gdy przez krótki czas kierował resortem kultury. Czyli przeprowadzić błyskawiczne, radykalne zmiany w kluczowych opanowanych przez PiS miejscach systemu, takich jak Trybunał Konstytucyjny, Krajowa Rada Sądownictwa i Sąd Najwyższy, by cały aparat sądowniczy mógł ponownie zacząć działać zgodnie z regułami państwa prawa. Nigdy nie była to jednak oczywista recepta, można było znaleźć wiele bardzo mocnych argumentów przemawiających przeciw niej.

Jakie jeszcze błędy popełnił obóz rządzący?

Wielu kluczowych dla wyborców obietnic koalicja nie była w stanie zrealizować, bo obiecywała dość lekkomyślnie, bo była zbyt pogrążona w konfliktach wewnętrznych. Uosabiał je odchodzący właśnie marszałek Sejmu Szymon Hołownia, który swoimi działaniami wielokrotnie podważał powagę koalicji. Ale także Donald Tusk, który wcześniej doskonale potrafił radzić sobie z konfliktami personalnymi czy neutralizacją największych politycznych konkurentów we własnej partii, jednak w ostatnich dwóch latach wielokrotnie okazał słabość. Widać to było choćby przy okazji rekonstrukcji rządu, która ciągnęła się tygodniami po wyborach prezydenckich, i chyba jeszcze czeka nas jej kolejny etap w związku ze zmianą na stanowisku marszałka Sejmu. Mówiąc najkrócej: rząd wydawał się po prostu sparaliżowany. Wreszcie trzeba wspomnieć o kluczowym braku tej koalicji – ideowym.

W jakim sensie?

Takim, że obozowi rządowemu brakuje tego, co modnie nazywa się „opowieścią". Przez co nie potrafi pokazać społeczeństwu, jakie są jego cele i ku czemu zmierza, a nie tylko od czego chce odejść po latach rządów PiS. Konstruując taką opowieść, trzeba sięgać po argumenty, które są realnie, życiowo ważne dla społeczeństwa. Nie wystarczy więc ciągle mówić o bezpieczeństwie i zbrojeniach, choć oczywiście to ważny temat, zwłaszcza w kontekście wojny w Ukrainie. Widać, że rząd próbuje szukać takiej opowieści, np. uruchamiając ostatnio wielką polityczną inicjatywę wokół budowy kolei. To jest wyraźna próba dotarcia do wyborcy z prowincji, często wykluczonego komunikacyjnie.

Na koniec tego lakonicznego bilansu dodałbym też, że rząd zaczyna tracić swój istotny atut, jakim była jego mocna pozycja międzynarodowa. Jeżeli chodzi o stosunki ze Stanami Zjednoczonymi, to administracja Donalda Trumpa w oczywisty sposób sprzyja prezydentowi Karolowi Nawrockiemu. W Europie w pewnym momencie Polska doszlusowała do wielkiej trójki – Francji, Niemiec i Wielkiej Brytanii – z czasem zaczęła być jednak pomału wypychana z tej grupy. Co może wiązać się ze słabością rządu, ale też z tym, że rząd, próbując odebrać paliwo polityczne PiS, zaczął przejmować jego język, jeżeli chodzi o imigrację i Europę.

Te wszystkie problemy rządzącej koalicji przyczyniły się do porażki Rafała Trzaskowskiego w wyborach prezydenckich?

Przypomina mi się rozmowa z moim francuskim rektorem, wybitnym historykiem François Furetem. W 1968 r. był szefem gabinetu ówczesnego ministra edukacji, wcześniej premiera w czasie IV Republiki, Edgara Faure'a. Faure zapytał go, czy chciałby kandydować do Zgromadzenia Narodowego, Furet odpowiedział, że musi się zastanowić. Faure powiedział mu wtedy, że jak się ma zastanawiać, to lepiej niech nie kandyduje, bo praca polityka jest tak niewdzięczna, że trzeba być od początku zdeterminowanym, by się jej podjąć. I nie wiem, czy problemem Trzaskowskiego nie było to, że on do wyborów podchodził podobnie jak Furet, że choć robił wszystko, czego od niego oczekiwano, to brakowało mu determinacji.

Kluczowe były jednak inne czynniki. Trzaskowski ma podobny problem co kandydaci Demokratów w Stanach. Jest politykiem umiarkowanym, posługuje się raczej półcieniami niż radykalnymi przeciwieństwami czerni i bieli. Tymczasem współczesne środki komunikacji promują zupełnie przeciwną postawę: radykalizację i upraszczanie przekazu, grę na polaryzację.

To sprzyjało Nawrockiemu?

Oczywiście. Ciekawy był też inny mechanizm. W trakcie kampanii obciążano Nawrockiego licznymi grzechami z młodości, jak przypuszczam – nie bez racji. Nie miało to jednak większego znaczenia dla jego wyborców. Oni we wszystkich zarzutach wysuwanych wobec przyszłego prezydenta widzieli głównie język klasowej pogardy, jaki elita uruchamia wobec człowieka z zewnątrz, który do niej nie należy. Trzaskowski z kolei był od początku postrzegany jako ktoś, kto w naturalny sposób od zawsze należał do tego elitarnego świata. Nie wykluczam, że to mogło być jedną z przyczyn jego przegranej.

Bardzo interesujące w tym kontekście jest to, że w jednym ze swoich pierwszych publicznych wystąpień po przegranych wyborach Trzaskowski zaczął bronić Nawrockiego przed taką „klasową krytyką". Trzaskowski jest chyba jednym z niewielu polityków rządzącej koalicji, którzy zdają się mieć świadomość, że taki język niekoniecznie jej służy. Nie wiem jednak, czy to znak tego, że wróci do wielkiej polityki, bo ostatnio był upokarzany nawet w Warszawie.

Spodziewa się pan, że tak jak w Stanach albo Czechach rządy demokratów w Polsce okażą się stosunkowo krótką przerwą w ramach długiej populistycznej fali?

Niestety nie można tego wykluczyć. Wzrost znaczenia sił populistycznych jest zjawiskiem globalnym, pojawiającym się w wielu zachodnich demokracjach. W Wielkiej Brytanii lewicowy premier Keir Starmer dziś jako swojego głównego konkurenta nie traktuje już Partii Konserwatywnej, lecz Partię Reform Nigela Farage'a, populisty, głównego bohatera brexitu. Poparcie dla Partii Reform rośnie w imponującym tempie, mimo że obecnie większość Brytyjczyków krytycznie ocenia decyzję o wyjściu z Unii Europejskiej. Dlaczego? Bo partia stawia na najbardziej dotykające ludzi kwestie: koszty życia, bezpieczeństwo, wreszcie migrację, co stanowi wszędzie szczególnie nośny temat dla populistów. Dziś brytyjska polityka po prawej stronie zdominowana jest przez licytację między Farage'em a konserwatystami – czyj rząd szybciej usunie z kraju więcej imigrantów.

To samo w Niemczech, gdzie bardzo umacnia się Alternatywa dla Niemiec. Pikantną ilustracją tego procesu jest udział prof. Andrzeja Nowaka – jednego z najbliższych doradców prezydenta Nawrockiego – w konferencji organizowanej w Berlinie przez tę partię, co wcześniej byłoby dla środowiska PiS nie do pomyślenia. Jeśli będą wcześniejsze wybory ▶

eprasa.pl 9ebcecf7a9

▶ we Francji, to może dojść do powstania rządu kierowanego przez polityka Zjednoczenia Narodowego, być może wspólnie z umiarkowaną prawicą, Republikanami, która do tej pory odmawiała współpracy z partią Marine Le Pen.

Co polski rząd może jeszcze zrobić, by ustrzec się przed scenariuszem powrotu PiS w 2027 r.?

Po pierwsze, musi zacząć unikać gorszących scen podziału; po drugie, spełniać obietnice, jakie złożył takim grupom jak kobiety czy najmłodsi wyborcy, co wcześniej blokowało głównie Polskie Stronnictwo Ludowe. Wreszcie – musi jasno zarysować drogę na najbliższe lata, przedstawić zmiany, jakie chce w Polsce wprowadzić, i pokazać Polakom, jak powrót PiS do władzy je zablokuje. Tusk, naśladując kanclerza Helmuta Schmidta, lubił kiedyś powtarzać, że jak ktoś ma wizje, to powinien iść do lekarza; zamiast wizji oferował mały polityczny realizm „ciepłej wody w kranie". Teraz to nie wystarczy.

Kluczowa będzie też kwestia siły przywództwa obozu rządowego. Osłabienie w tej roli Tuska jest poważnym problemem dla koalicji, na tyle dużym, że dziś coraz częściej wraca temat zmiany premiera. Ale także nowy premier, kimkolwiek będzie, stanie przed tym samym wyzwaniem, z jakim mierzył się Tusk przez ostatnie dwa lata – jak zintegrować rządzący obóz i zarysować przed nim ambitny plan na przyszłość. Wiele też może zależeć od zmieniającego się kontekstu międzynarodowego. Dziś rządy Trumpa sprzyjają PiS, ale jeśli dojdzie do załamania jego polityki, może to uderzyć politycznie także w PiS. Jest to prawdopodobne wraz z dalszym jego odwracaniem się od Europy, ale też widać jego malejącą popularność w samych Stanach.

Nie grozi nam pęknięcie sceny politycznej na „partię europejską" i zapatrzoną w Trumpa oraz jego antyeuropejską politykę „partię amerykańską"?

Jak mówiłem wcześniej, widać, że także rząd Tuska, na czele z nim samym, przejął dużą część języka krytykującego UE. Z kolei widoczne słabości Unii delegitymizują ją w oczach obywateli wielu państw, w tym Polski. W połączeniu z załamaniem projektu Trumpa zjawiska te mogą radykalnie osłabić znaczenie podziału na „partię europejską" i „amerykańską" w naszej polityce. Istotne będą inne międzynarodowe czynniki, takie jak migracja czy przyszłość globalizacji. Naszym głównym partnerem gospodarczym przez lata były Niemcy, teraz pojawiają się pytania o przyszłość tej współpracy choćby w kontekście wzrostu gospodarczej potęgi Chin i problemów, jakie to stwarza niemieckiej gospodarce.

Czy powrót PiS do władzy może tym razem zupełnie już wywrócić porządek konstytucyjny III RP, co jednak nie udało się do końca w okresie 2015–18?

PiS ma też cały szereg własnych problemów, na czele z konkurencją ze strony Konfederacji. Konfederacja nie zastąpi dziś oczywiście PiS jako główna siła na prawicy, ale będzie formacją coraz istotniejszą, zwłaszcza w wymiarze ideologicznym. Więc w przypadku powrotu PiS do władzy spodziewałbym się raczej chaosu niż klarownej, ustrojowej transformacji, na którą obóz skupiony wokół Jarosława Kaczyńskiego może się okazać zbyt słaby. Oczywiście wszystko będzie zależało od siły obozu demokratycznego w Polsce i kontekstu międzynarodowego, np. tego, czy w momencie ewentualnego powrotu PiS do władzy nie rozsypie się polityczny projekt Trumpa.

Jak pan myśli, dlaczego w niemal wszystkich europejskich demokracjach partie reprezentujące szeroko rozumiane centrum słabną, a rośnie znaczenie sił autorytarno-populistycznych?

Współczesna Europa została po wojnie zbudowana na przekonaniu, że wszelkie źródła niebezpieczeństwa zostały zażegnane i można skupić się na budowie dobrobytu i sprawiedliwości. To przekonanie, budujące legitymację europejskich elit, gwałtownie zweryfikował z jednej strony prezydent Trump, z drugiej Władimir Putin.

Rosja zaatakowała Ukrainę i dla każdego obserwatora jest oczywiste, że to może być dopiero początek, że na jej liście są kolejne cele, np. Mołdawia, gdzie niedawno Rosja próbowała wpłynąć na wynik wyborów prezydenckich. Z drugiej strony Trump podważa art. 5 Traktatu atlantyckiego, zarzuca Europie, że w kwestii bezpieczeństwa zachowuje się jak pasażer na gapę. A teraz, w drugiej kadencji, prowadzi uderzającą w nasze interesy politykę celną. I do tego zachowuje się tak, jakby próbował wbrew woli Danii i mieszkańców wyspy przyłączyć do Stanów Grenlandię.

Europa znajduje się więc w dramatycznej sytuacji. Z jednej strony ciągle zależy od USA jako gwaranta bezpieczeństwa w obliczu agresywnej Rosji, z drugiej zdaje sobie sprawę, że na dłuższą metę nie może na Stany liczyć. Jednocześnie wiarę w globalizację i świat oparty na wolnym handlu i współpracy gospodarczej podkopuje wzrost znaczenia Chin i problem zależności europejskich gospodarek od gospodarki chińskiej. Do tego dochodzi cały szereg wewnętrznych problemów krajów europejskich, na czele z migracją i jej skutkami. Wszystko to sprzyja polityce skierowanej do wewnątrz, skupiającej się na twardo rozumianym bezpieczeństwie, na ochronie i zamykaniu granic. Liderzy umiarkowanych sił popełnili też cały szereg niewymuszonych błędów.

Na przykład?

Weźmy prezydenta Emmanuela Macrona we Francji. W 2017 r. jego zwycięstwo przyjęto z wielką nadzieją w całej Europie. Wydawało się, że po raz pierwszy od czasów Valéry'ego Giscarda d'Estaing wybory we Francji wygrał reformatorski prezydent, gotów zmierzyć się z problemami Francji niekiedy tkwiącymi korzeniami jeszcze w czasach monarchii absolutnej: etatyzmem, przerostami biurokracji, nadmierną redystrybucją. Macron, próbując reformować kraj, zderzył się z wyjątkowo silnymi we Francji przednowoczesnymi siłami, np. antyrynkowymi, z którymi nie byli sobie też w stanie poradzić jego poprzednicy. Ale jednocześnie wielokrotnie zachowywał się skrajnie arogancko – podejmując decyzje, nikogo nie słuchał.

Gdy w 2024 r. rozwiązał Zgromadzenie Narodowe, nie skonsultował tej decyzji nawet ze swoim premierem. W wyniku wcześniejszych wyborów powstał podzielony na trzy bloki parlament – zradykalizowana lewica, skrajna prawica i kurczące się centrum – niezdolny wyłonić stabilną większość. Francja od ponad roku trwa w stanie ciągłej niestabilności politycznej, mieliśmy w tym czasie już trzech premierów, a czwarty niedawno podał się do dymisji.

Jako klęskę Macrona przedstawia pan fakt, że nie ograniczył redystrybucji, ale jednocześnie lewicowi krytycy zarzucają mu, że jego rządy przyczyniły się do wzrostu nierówności w kraju. W ostatnich tygodniach we Francji jednym z głównym tematów debaty był projekt podatku od wielkich fortun. Może to problemy nierówności i słabnącej mobilności społecznej są tym, co podkopuje tradycyjne partie w Europie?

eprasa.pl 9ebcecf7a9

GALERIA POLITYKI

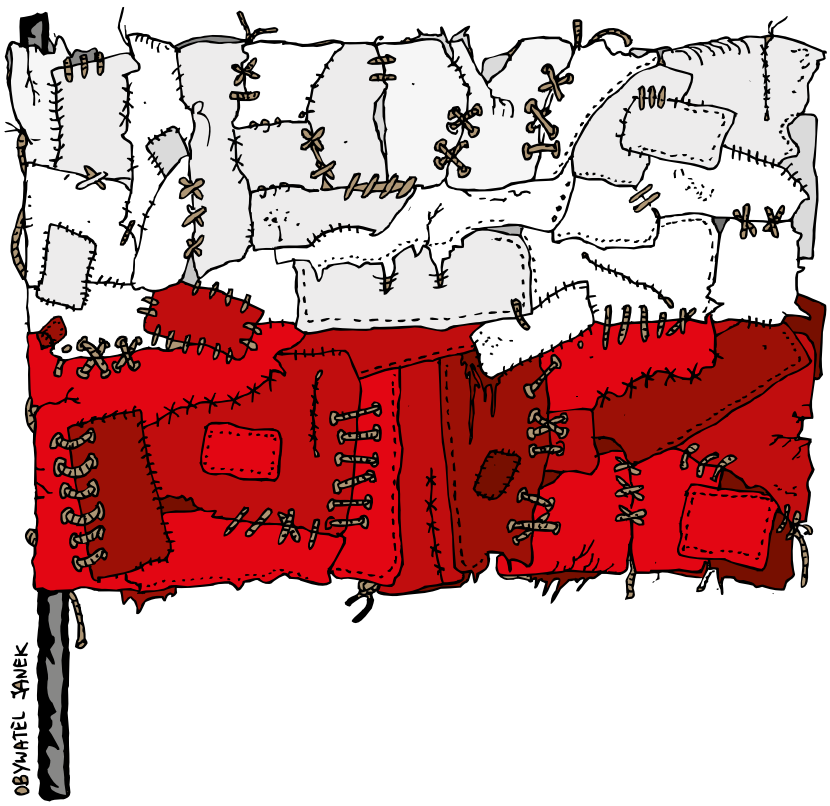

OBYWATEL JANEK

Na pewno to jest problem, ale jednocześnie francuska dyskusja nad tzw. podatkiem Zucmana była zupełnie nierealistyczna. Nie mam wątpliwości, że państwa europejskie muszą znaleźć pomysł na opodatkowanie największych dochodów i mądrą redystrybucję (która zresztą we Francji bardzo silnie koryguje zróżnicowanie dochodów pierwotnych), czyli taką, która inwestuje np. w edukację, a nie łata problemy, dając ludziom pieniądze do kieszeni. Pamiętajmy jednak, że duża część współczesnych nierówności wynika z przemian technologicznych, a problem ten jeszcze bardziej się zaostrzy za sprawą sztucznej inteligencji. I jest to niestety kolejny obszar, gdzie UE przegrywa zarówno ze Stanami, jak i z Chinami.

Możliwe jest, że populiści przejmą władzę w największych europejskich demokracjach?

Myślę, że prędzej czy później w Niemczech może być bardzo trudno zbudować rząd bez AfD, a we Francji następne wybory prezydenckie może jak najbardziej wygrać kandydat Zjednoczenia Narodowego, bo kandydat radykalnej lewicy i lider Francji Niepokornej Jean-Luc Mélenchon jest zbyt niepopularny, by liczyć na prezydenturę.

Co populiści w Berlinie albo Paryżu oznaczaliby dla Europy?

Skupię się na Francji, którą znam lepiej, choć też przewidzenie tego, jak mogłaby wyglądać prezydentura Jordana Bardelli (obecnego przewodniczącego Zjednoczenia Narodowego – przyp. red.) jest bardzo trudne. Marine Le Pen wykonała wielką pracę na rzecz „dediabolizacji" swojej partii, tkwiącej korzeniami jeszcze we Francji Vichy. Partia zmieniła nazwę z Frontu Narodowego na Zjednoczenie Narodowe, przestała być antysemicka, choć jest dziś bardzo antymuzułmańska, co zresztą charakteryzuje całą europejską skrajną prawicę. Ale gdybyśmy porównali jej program z PiS, to partia Le Pen okazałaby się bardziej umiarkowana.

Więc nie wykluczam, że prezydentura kandydata Zjednoczenia Narodowego mogłaby bardzo niewiele zmienić we francuskiej polityce. Zwłaszcza że w takiej sytuacji Francuzi, ciągle mający kompleks Vichy, mogliby wybrać Zgromadzenie Narodowe zdominowane przez partie centrowe i lewicę. Co wymusiłoby szukanie kompromisu między parlamentem a Pałacem Elizejskim, który mógłby doprowadzić do zupełnie nowej polityki Francji. Ten proces przebudowy mapy politycznej wydaje się zresztą nieunikniony we wszystkich zachodnich demokracjach. Słabnie element liberalno-demokratyczny i pojawia się konieczność nowej syntezy między elementami demokratycznymi, liberalnymi a – powiedzmy – „narodowymi". Konieczność ta pojawia się też w innym planie – kryzys przechodzą tradycyjne partie polityczne. Będzie zapewne wzrastać rola innych form demokratycznej ekspresji opinii publicznej.

Jak taka nowa synteza mogłaby wyglądać w Polsce?

W Polsce widać pokusę, by budować „prawdziwą" partię liberalną czy konserwatywną, która nie byłaby populistyczna jak PiS. I może klęska obozu demokratycznego – choć mam nadzieję, że jednak nie nastąpi – da przestrzeń dla nowej mapy politycznej, opartej na bardziej tradycyjnych politycznych tożsamościach. Także lewicowych, bo lewica na całym świecie zmaga się z problemami wynikającymi z przyjęcia polityki tożsamości, stawiania na klasę średnią i porzucenia tradycyjnych wyborców z klas ludowych. Jednocześnie sytuujący się na tej nowej mapie aktorzy będą musieli dokonać jakiejś syntezy, a przynajmniej wejść w dialog z elementem „narodowym", z problemami tworzonymi przez odwrót od globalizacji.

Czy ta nowa synteza dokonująca się w kolejnych państwach nie wywróci projektu europejskiego?

Od długiego czasu jest on zamrożony. Nie ma dziś znaczących sił, które chciałyby go pogłębiać i posuwać do przodu. A jednocześnie głębszą integrację wymuszają konkretne wyzwania, jak wojna w Ukrainie narzucająca Europie konieczność pogłębienia współpracy w dziedzinie obronności. Nie wiadomo na razie, dokąd nas to zaprowadzi, czy możliwa będzie synteza między nową, bardziej narodową polityką a koniecznością wspólnego działania Europy. Przy wszystkich swoich problemach projekt europejski wciąż pozostaje atrakcyjny i ekspansywny. Kolejne państwa, jak Ukraina czy Mołdawia, chcą w nim uczestniczyć. Podczas gdy do Ameryki Trumpa nie chce się przyłączyć, przy całym jej dystansie do Danii, nawet Grenlandia, nie mówiąc o Kanadzie, z której Trump chciałby uczynić kolejny stan USA. To wiele mówi.

ROZMAWIAŁ JAKUB MAJMUREK

eprasa.pl 9ebcecf7a9

Jesienne porządki

Minister Waldemar Żurek miał przyspieszyć – i przyspieszenie widać. Co z niego wyniknie?

EWA SIEDLECKA

W ostatnich tygodniach prokuratura wystąpiła o uchylenie immunitetu pierwszej prezesce SN Małgorzacie Manowskiej i prezesowi TK Bogdanowi Święczkowskiemu, bo chce im stawiać zarzuty karne. Minister sprawiedliwości Waldemar Żurek odwołał resztkę „ziobrowych" prezesów i wiceprezesów sądów i rozporządzeniem umożliwił odsuwanie neosędziów od sądzenia. Czy rozliczenia i naprawa praworządności rzeczywiście przyspieszyły? To zależy od efektów tych decyzji. A te nie muszą być spektakularne. Co nie znaczy, że nie warto próbować. Przeciwnie: widoczne starania o rozliczenie funkcjonariuszy, którzy niszczyli praworządność za PiS, a niektórzy robią to nadal, są potrzebne ze względu na społeczne poczucie sprawiedliwości. I z powodów politycznych – dla poprawy wizerunku rządu. I to niezależnie od tego, czy konkretne sprawy zakończą się sukcesem, np. czy uda się uchylić immunitety Manowskiej i Święczkowskiemu.

Na przeszkodzie stoi wrogość skutecznie przejętych przez PiS instytucji państwa. W przypadku sędziów i prokuratorów to przede wszystkim Izba Odpowiedzialności Zawodowej SN wybrana przez prezydenta Andrzeja Dudę na podstawie wydanego przez niego rozporządzenia i złożona w większości z neosędziów. Izba ta skutecznie odwleka rozpatrzenie wysłanych do niej przez prokuraturę blisko półtora roku temu wniosków dotyczących uchylenia immunitetów czterem sędziom ściganym za aferę hejterską. Do tego dochodzi kwestionowanie

eprasa.pl 9ebcecf7a9

przed tą Izbą legalności rzeczników dyscyplinarnych, wyznaczonych na miejsce odwołanych przez ministra Adama Bodnara i ministra Waldemara Żurka. To daje powód do odraczania rozpoznania spraw.

8 października prokurator generalny Żurek zwrócił się do prezesa Izby Odpowiedzialności Zawodowej Wiesława Kozielewicza z apelem, żeby odsunął od orzekania w niej neosędziów – w sumie sześciu. Uzasadnił to orzeczeniami Trybunałów: Sprawiedliwości UE i Praw Człowieka. W tym kosztami, które Skarb Państwa już poniósł w związku z orzecznictwem sędziów, o których wyłączenie się zwraca (orzekają także w innych Izbach SN). Trzeba przyznać, że to wyliczenie (na podstawie spraw przegranych przez Polskę w Trybunale w Strasburgu, wypłaconych odszkodowań i zadośćuczynień) wygląda imponująco: sędzia Tomasz Demendecki, 1 sprawa, 42 700 zł; sędzia Marek Dobrowolski, 1 sprawa, 42 700 zł; sędzia Marek Motuk, 12 spraw, 512 400 zł; sędzia Marek Siwek, 11 spraw, 580 720 zł; sędzia Maria Szczepaniec, 4 sprawy, 224 175 zł; sędzia Paweł Wojciechowski, 1 sprawa, 96 075 zł. A to nie koniec, bo w Europejskim Trybunale Praw Człowieka czeka jeszcze około tysiąca takich spraw. Mało prawdopodobne, by prezes Kozielewicz zadośćuczynił prośbie PG Waldemara Żurka, ponieważ, choć sam nie jest neosędzią, znany jest z tego, że nie uznaje argumentów prawnych za odsuwaniem ich od sądzenia.

Długie ręce Manowskiej

Można by sprawy dyscyplinarne przekazywać do Izby Karnej SN, ale na przeszkodzie stoi pierwsza prezeska SN Małgorzata Manowska. Ma w tym własny interes: Izba Odpowiedzialności Zawodowej zajmuje się także sprawą o uchylenie jej immunitetu. Jak ustaliło OKO.press, dostał ją neosędzia Marek Motuk, który na początku grudnia tego roku odchodzi w stan spoczynku. W jego referacie sprawa Małgorzaty Manowskiej już spoczęła.

Manowską chronią dwa immunitety: sędzi SN i sędzi Trybunału Stanu. Żeby mogła dostać zarzuty karne, obie te instytucje muszą jej uchylić immunitety. Prokuratura chce jej postawić zarzuty niedopełnienia obowiązków za trzy czyny. Pierwszy: za niezwołanie na wniosek sześciu sędziów posiedzenia pełnego składu Trybunału Stanu w celu uchwalenia nowego regulaminu TS, żeby mógł się rozpocząć m.in. proces szefa NBP Adama Glapińskiego, który Manowska blokuje. Drugi zarzut: o manipulacje przy głosowaniu obiegowym Kolegium SN, gdzie po to, żeby uzyskać kworum, głosy niebiorących w nim udziału sędziów uznała za wstrzymujące się. I trzeci zarzut: za niewykonanie wyroku sądu w sprawie z powództwa sędziego Pawła Juszczyszyna.

W SN sprawa immunitetu Małgorzaty Manowskiej utknęła. Natomiast w Trybunale Stanu już zdążyła zostać umorzona. Miała być rozpatrzona przez pełen skład Trybunału, ale decyzją wiceprezesa TS Piotra Andrzejewskiego (były senator PiS) przeniesiono ją na skład trójkowy (Andrzejewski, Piotr Sak, były poseł PiS, i Józef Zych, były marszałek Sejmu, PSL), by rozpatrzyć wniosek pełnomocnika Manowskiej Bartosza Lewandowskiego o wyłączenie – na podstawie art. 40 Kodeksu postępowania karnego – ośmiu sędziów, bo wcześniej prokuratura przesłuchała ich w sprawie niezwołania posiedzenia pełnego składu TS. Skład sędziowski z własnej inicjatywy wyłączył kolejnych czterech, bo wspomniany art. 40 kpk mówi nie tylko o wyłączeniu z mocy prawa sędziów przesłuchanych w danej sprawie, ale też takich, którzy byli jej „świadkami". A po wyłączeniu 12 z 18 sędziów w TS nie było już kworum do rozpatrzenia wniosku o uchylenie immunitetu. Więc trójkowy skład sędziowski sprawę Manowskiej umorzył. Towarzyszyła temu widowiskowa awantura wywołana przez sędziego Andrzejewskiego: najpierw krzyczał, waląc pięścią w stół sędziowski: „Obowiązuje kultura na tej sali, do cholery!", a potem zerwał się z miejsca i dążąc do wyjścia, omal nie wywrócił z krzesłem jednego z sędziów siedzących za stołem. Ale to nie koniec widowiska. Posiedzenia Trybunału Stanu odbywają się w Sądzie Najwyższym, a podległe prezes Manowskiej służby SN najpierw nie chciały wpuścić do budynku wyłączonych ze sprawy immunitetu pani prezes sędziów, a gdy się przedostali i – po wyjściu sędziego Andrzejewskiego i reszty składu – usiłowali obradować dalej, wyłączono im mikrofony i światło, i próbowano usunąć z sali media.

Pretekst do wyłączenia sędziów i zablokowania sprawy immunitetu Manowskiej dała sama prokuratura, przesłuchując ośmiu sędziów, którzy podpisali się pod listem otwartym o blokowaniu działalności Trybunału przez jego przewodniczącą Małgorzatę Manowską.

Ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, bo dzięki umorzeniu wniosku prokuratury mogła ona naprawić jeszcze jeden swój błąd: to, że w jednym wniosku o uchylenie immunitetu zawarła zarówno delikt dotyczący Manowskiej jako przewodniczącej Trybunału Stanu, jak i sprawę związaną z głosowaniem Kolegium Sądu Najwyższego i z niewykonaniem wyroku sądu w sprawie sędziego Juszczyszyna. Gdyby rozdzieliła te sprawy, TS umorzyłby tylko zarzut dotyczący niezwoływania posiedzenia TS. A pozostałe byłyby dalej procedowane. Teraz prokuratura błąd naprawiła i wniosła do TS wnioski oddzielnie.

W sprawie wniosku dotyczącego TS będzie się pewnie długo toczyła wewnątrz Trybunału batalia prawna, ale w sprawie dwóch pozostałych zarzutów jest bardzo prawdopodobne, że immunitet Manowskiej zostanie uchylony.

Oczywiście Izba Odpowiedzialności Zawodowej SN może immunitetu Manowskiej nie uchylić. Ale będzie jej bardzo trudno to uzasadnić. Musiałaby obalić nie tylko argumenty prawne prokuratury, ale też Trybunału Stanu. Choć może też robić ze sprawą to co dotychczas, czyli nic.

Sprawa inwigilowania Giertycha

Wniosek prokuratury o uchylenie immunitetu prezesowi Trybunału nieKonstytucyjnego Bogdanowi Święczkowskiemu jest naprawdę sensacyjny. A do tego dobrze wpisuje się w potrzebę przyspieszenia rozliczeń. Jeśli jednak oceniać szanse jego skuteczności – jest przedwczesny.

Sensacyjność polega nie tylko na tym, że wniosek o uchylenie immunitetu, by prokuratura mogła postawić zarzut karny, dotyczy prezesa Trybunału Konstytucyjnego, co jest pierwszym takim wydarzeniem w polskiej historii. Sensacyjne jest to, że prokuratura – także po raz pierwszy w historii – zebrała dowody pozwalające postawić prokuratorom zarzut gromadzenia haków przy użyciu inwigilacji.

Prokurator generalny Waldemar Żurek złożył wniosek o uchylenie immunitetu prezesa TnK Bogdana Święczkowskiego do Trybunału nieKonstytucyjnego 30 września. Chce postawić mu zarzut nadużycia inwigilacji wobec Romana Giertycha w czasie, gdy był prokuratorem krajowym i zastępcą Ziobry. We wniosku czytamy, że Święczkowski wydał ustne ▶

© FILIP NAUMIENKO/REPORTER

eprasa.pl 9ebcecf7a9

▶ polecenie swojemu podwładnemu, prokuratorowi Pawłowi Wilkoszewskiemu, „przeprowadzenia kontroli" nad inwigilacją Giertycha. W ramach tej „kontroli" Wilkoszewski zgrał na 15 (!) płytach DVD materiał z inwigilacji, który dotyczył życia prywatnego Giertycha i jego kontaktów z klientami jako adwokata, co jest objęte tajemnicą adwokacką i obrończą. I czego nie wolno służbom i prokuraturze gromadzić. Zarzut najcięższego kalibru dla kogoś, kto ma stać na straży praworządności i konstytucji.

I dobrze, że opinia publiczna tą drogą dowiedziała się o tym zarzucie. Nawet jeśli sprawa nie będzie miała dalszego ciągu. A nie będzie miała, bo wniosek, który – z mocy ustawy o TK – wpłynął do prezesa TK Bogdana Święczkowskiego, zostanie niebawem przekazany do rozpoznania przez Zgromadzenie Ogólne Sędziów TK. A ono odrzuci wniosek prokuratora Żurka. I tyle z tego będzie. Gdyby koalicja rządząca zechciała obsadzić wakaty w Trybunale, a prokurator generalny poczekał z wnioskiem w sprawie immunitetu Święczkowskiego do września przyszłego roku, to stosunek głosów w Zgromadzeniu Ogólnym byłby: osiem za uchyleniem immunitetu i sześć przeciw.

Dlaczego tak się pospieszył? Pytany o to przez POLITYKĘ Waldemar Żurek robi tajemniczą minę i mówi, że ma „plan B". Zobaczymy.

Mniej sądolotka

Z drugiej strony nie wygląda, żeby rządząca koalicja miała zamiar w najbliższym czasie obsadzić wakaty w Trybunale. Raczej stawia na to, że sparaliżuje go brakiem sędziów. Tyle że do sądzenia wystarczy pięciu sędziów, a teraz jest 11. Nie będzie można sądzić spraw pełnoskładowych, ale one zdarzają się rzadko. A jeśli koalicja będzie zwlekała do ostatniej chwili przed wyborami, kiedy obsadzi hurtem wszystkie zwolnione dziewięć miejsc, to prezydent Karol Nawrocki, powołując się na standardy Komisji Weneckiej, że sądy konstytucyjne nie powinny być zdominowane przez jedną opcję polityczną, odmówi odebrania od nich przysięgi. I nie przekona go argument, że przez lata TK był zdominowany przez ludzi wybranych przez opcję pisowsko-ziobrową.

Minister Żurek przedstawił w zeszłym tygodniu nową wersję ustawy „porządkującej" problem neosędziów. Różni się drugorzędnymi szczegółami od tego, który w kwietniu przedstawił minister Adam Bodnar. Ale może tym razem uda się go posłać do prac sejmowych.

Ponieważ nie ma co liczyć, że prezydent Nawrocki zechce podpisać ustawę kwestionującą status neosędziów, a Komisja Europejska za chwilę rozliczy Polskę z wykonania praworządnościowego „kamienia milowego", od czego uzależnione są kolejne transze pieniędzy z KPO, minister Żurek próbuje rozwiązać tymczasowo problem neosędziów za pomocą rozporządzenia. 29 września opublikował w Dzienniku Ustaw nowelizację rozporządzenia „w sprawie regulaminu wewnętrznego urzędowania sądów powszechnych". Wprowadził w nim zmiany, które umożliwiają bardziej elastyczne zarządzanie przydziałem spraw w sądzie.

Jedną z takich zmian ma być ograniczenie przydzielania spraw sędziom za pomocą tzw. sądolotka, czyli wprowadzonego za ministra Ziobry centralnie zarządzanego algorytmu, nazwanego Systemem Losowego Przydziału Spraw (SLAPS). Zanim go wprowadzono, sprawy także przydzielano losowo: według alfabetu i kolejności ich wpływu.

Po nowelizacji rozporządzenia, jeśli będzie tego wymagał wzgląd na sprawność rozpatrywania spraw, przewodniczący wydziału w sądzie będzie mógł zdecydować, że SLAPS wylosuje tylko sędziego referenta, a pozostałych dwóch wyznaczy przewodniczący na zasadach wcześniej ustalonych przez prezesa sądu po konsultacji z kolegium sądu. Jak tłumaczył minister Żurek, przedstawiając zmiany, na SLAPS były liczne skargi, ponieważ przydzielając sędziów do składów sądzących, nie brał pod uwagę, że są też w innych składach, i terminy wokand mogą im się nakładać.

Jakby mimochodem minister Żurek wspomniał, że na sprawność rozpatrywania spraw ma też wpływ kwestia neosędziów, bo jeśli w składzie jest choć jeden, to strony składają wnioski o jego wyłączenie. Wnioski te trzeba rozpatrywać, w co zaangażowani są inni sędziowie i sprawy się przewlekają. A więc jeśli do składów trójkowych nie będzie się dobierać neosędziów, będzie to korzystnie wpływać na sprawność sądzenia.

Ale i bez tej wypowiedzi politycy PiS wyczuli, co się święci, i podnieśli krzyk o łamaniu konstytucji, bo „ustawę zmienia się rozporządzeniem" (i kto to mówi?!). Prezydent Nawrocki na portalu X napisał: „Projektowane reguły ustalania składu sądu mają stać się nieweryfikowalne po to, by umożliwić ręczne sterowanie doborem sędziów pod polityczne potrzeby i oczekiwania rządzących. To prosta droga do zniszczenia zaufania obywateli do wymiaru sprawiedliwości i do zniesienia gwarancji bezstronności". A neoKRS już zdążyła zaskarżyć rozporządzenie do Trybunału nieKonstytucyjnego.

Rozporządzenie zostało wydane na podstawie ustawy, która w sprawie szczegółowych zasad przydziału spraw, w tym: sposobu dokonywania losowania spraw, zasad ustalania składów wieloosobowych czy warunków uczestniczenia w przydziale tylko niektórych kategorii spraw rozpoznawanych w wydziale, odsyła do rozporządzenia, które ma wydać minister sprawiedliwości. Tak więc nie wydaje się, żeby minister Żurek wyszedł poza te ustawowe kryteria. Ale w przyszłości, po ewentualnej zmianie władzy, na podstawie tej nowelizacji to neosędziowie mogą od orzekania odsuwać sędziów. Ten kij ma dwa końce.

Neo kontra paleo

Już latem przewodnicząca neo-Krajowej Rady Sądownictwa Dagmara Pawełczyk-Woicka mówiła (zachęcającym tonem) o spontanicznym robieniu list sędziów, którzy przyczyniają się do odsuwania neosędziów od orzekania. A prezydent Nawrocki w swoim oświadczeniu na X nie po raz pierwszy informuje, że będzie badał działalność każdego sędziego, w sprawie którego dostanie od KRS wniosek o awans: (...) mówię jasno: ten, kto ulegnie bezprawiu i złamie złożoną przysięgę, sam podważy swój mandat do orzekania w imieniu Rzeczypospolitej – moralny i wynikający z zaufania publicznego – a podejmowane w takich warunkach rozstrzygnięcia będą kwestionowane".

Widać z tego, że wojna sędziów „neo" z „paleo" i odwrotnie rozkręca się na dobre, a nowelizacja ministra Żurka ją jeszcze podkręciła. Podobnie jak inne opisane tu działania w ramach rozliczania funkcjonariuszy PiS. Z drugiej strony byłoby demoralizujące i niemoralne, a politycznie przeciwskuteczne, gdyby rozliczeń zaniechać albo prowadzić je metodą, która rozwlecze się na wiele lat. A trzeciej drogi przy wrogiej postawie prezydenta nikt jeszcze nie wymyślił.

EWA SIEDLECKA

eprasa.pl 9ebcecf7a9

Ukrainiec siedzi w polskim areszcie, podejrzewany o wysadzenie gazociągu Nord Stream. Czy **Wołodymyr Ż.** naprawdę był na jachcie Andromeda, z którego pokładu dokonano zamachu? A jeśli był, to czy powinien dostać za to wyrok, czy medal?

Nurek z Andromedy

VIOLETTA KRASNOWSKA, PAWEŁ RESZKA Z KIJOWA

W Niemczech, które domagają się ekstradycji Ż., za „akt terroryzmu" grozi mu nawet 15 lat więzienia. Sam podejrzewany zaprzecza, że popełnił jakiekolwiek przestępstwo. A Ukraina unika na razie oficjalnego zaangażowania w spór.

Z polskiej perspektywy sprawa jest delikatna. Z jednej strony prawo to prawo. Ale z drugiej trwa przecież krwawa wojna, którą Rosja finansuje ze sprzedaży surowców energetycznych. Co robić?

W tej historii pewne jest tylko jedno: 26 września 2022 r. w pobliżu wyspy Bornholm doszło do serii podwodnych eksplozji. W ich wyniku zniszczone zostały trzy z czterech nitek gazociągu Nord Stream.

Podwodni przyjaciele

Zacznijmy od tego, kim jest Wołodymyr Ż. W Kijowie umawiamy się na rozmowę ze Svitłaną Uspenską. – *Z Wołodymyrem Ż. znamy się już ponad 10 lat* – mówi. Połączyła ich pasja nurkowania. Svitłana z mężem Jewhenem to instruktorzy divingu. Do czasu rosyjskiej inwazji prowadzili szkołę nurkowania, Wołodymyr zaś z nimi współpracował. Byli znanymi i ważnymi postaciami w społeczności nurków. Uchodzili za fachowców. Współpracowali z filmowcami przy podwodnych zdjęciach. Przyjaźnili się też prywatnie, i to całymi rodzinami. Ż. jest ojcem chrzestnym dziecka Uspenskich.

– *Wołodymyr i jego żona to pracowici, uroczy ludzie* – mówi Svitłana. Ale czy Wołodymyr wysadził gazociąg? – pytamy. – *Jestem przekonana, że nie.* Uspenska nie jest przypadkową adresatką tego pytania. Niemieckie media twierdziły, że Svitłana i jej mąż Jewhen także mogli być zamieszani w atak na gazociąg. – *Mąż od początku inwazji służy w ukraińskiej armii. Na pewno nie był za granicą. Niemożliwe, by brał w czymś takim udział.* A pani? Była pani na pokładzie Andromedy. – *Nie byłam tam i nie zrobiłam tego. Jestem nurkiem rekreacyjnym. Nie miałabym kwalifikacji, by wykonać takie zadanie.* A gdyby pani miała kwalifikacje? – *Na pewno wysadziłabym Nord Stream.*

Ukraina jest w stanie wojny z Rosją. Z tego punktu widzenia biegnący po dnie Bałtyku gazociąg był w pełni uprawnionym celem. – *Proszę mi wierzyć, że nikt w Ukrainie nie ma w tej sprawie wątpliwości* – dodaje Uspenska.

Państwo Ż. wyjechali z Ukrainy jeszcze przed rosyjską inwazją. Juliana pracuje w dużej zachodniej firmie jako informatyk. Przed inwazją firma załatwiła swoim pracownikom wyjazd, ▶

© WOJCIECH RADWAŃSKI/PAP

eprasa.pl 9ebcecf7a9

▶ przewidując, że Rosja może zaatakować. Wołodymyr i Julia skorzystali. Przyjechali do Warszawy. Od tego czasu żyją w Polsce. – *Zwyczajna rodzina, bardzo pracowici. Mądre dzieciaki. Ich średni syn dostawał nagrody z matematyki. To, co się dzieje wokół tej rodziny, to jakiś nonsens* – przekonuje Uspenska.

– *Jestem przekonana, że mąż jest niewinny. Nurkowanie to jego wielka pasja, ale przede wszystkim to inżynier. Całe życie zajmuje się montowaniem klimatyzacji. Robił to w Kijowie i w Polsce. Wynajęliśmy dom pod Warszawą. Żyliśmy jak normalni ludzie, chodziliśmy do pracy, wychowywaliśmy dzieci* – opowiada Juliana POLITYCE.

Normalne życie zachwiało się we wrześniu 2024 r. ABW wraz z niemieckimi policjantami (jako obserwatorami, zaznacza prokuratura) weszli do domu państwa Ż. w Pruszkowie. – *Zabrali m.in. jego sprzęt do nurkowania. W sumie do Niemiec wywieźli dwa busy rzeczy, ale nie zostawili żadnego wezwania dla męża, który akurat był w pracy* – mówi dziś Juliana. Dodaje, że o rzekomych związkach męża z atakiem na Nord Stream wiedzieli tylko z artykułów prasowych.

Operacja

Kijów, kawiarnia w centrum. Wpływowy ukraiński polityk, który dobrze zna sprawę wysadzenia Nord Stream. Rozmawiamy o początkach operacji. – *To była tzw. inicjatywa oddolna. Takie rzeczy działy się na początku wielkiej wojny* – słyszymy.

Według naszego rozmówcy w 2022 r. do służb zgłosiła się grupa osób z gotowym pomysłem spektakularnego „sabotażu za niewielkie pieniądze". – *W akcji miał nie brać udziału żaden aktywny współpracownik służb. Wybierano po prostu fachowców. To, że ktoś był kiedyś bliżej SBU czy wywiadu wojskowego, nie miało znaczenia.*

Kto to sfinansował? – *Inicjatorzy sami zapewnili środki. Zrzucili się biznesmeni, co nie było wcale takie dziwne na początku inwazji. Każdy chciał pomóc, przedsiębiorcy sami się zgłaszali. Tym bardziej że wszystko miało kosztować kilkaset tysięcy euro. To grosze jak na taki wyczyn. Gotówkę wykorzystano na logistykę i łapówki.*

Najwyższe władze wiedziały? – *Prezydentowi Zełenskiemu nawet spodobała się idea i dał zielone światło. Jednak potem przestraszył się i cofnął zgodę.* Dlaczego? – *Nie wiem, ale z tego, co słyszałem, kazał nawet wstrzymać operację, ale było już było zbyt późno. Machina ruszyła. Ludzie wyjechali.*

Mówi się, że wszystko nadzorował osobiście generał Walery Załużny (wówczas głównodowodzący, teraz ambasador Ukrainy w Londynie). – *Moim zdaniem tak nie było. Generał wiedział o operacji, bo musiał jako głównodowodzący, ale nic więcej.*

W podobny sposób – co nasz rozmówca – genezę ataku na Nord Stream opisał w 2024 r. „Wall Street Journal", w najgłośniejszym tekście śledczym dotyczącym tej sprawy: „W maju 2022 r. garstka wysokich rangą ukraińskich oficerów wojskowych i biznesmenów zebrała się, aby wznieść toast za niezwykły sukces swojego kraju w powstrzymaniu rosyjskiej inwazji. Pod wpływem alkoholu i patriotycznego zapału ktoś zaproponował radykalny kolejny krok: zniszczenie Nord Stream. (...) Zawsze śmieję się, gdy czytam spekulacje mediów na temat jakiejś wielkiej operacji z udziałem służb specjalnych, łodzi podwodnych, dronów i satelitów – powiedział jeden z oficerów zaangażowanych w spisek".

Podobno kłopoty zaczęły się właśnie od przecieków do prasy. – *Akcja zakończyła się sukcesem, ale potem ktoś nie potrafił utrzymać języka za zębami* – mówi nasze źródło. – *Cieszyli się i chcieli się polansować. Przecieki na pewno pomogły Niemcom w śledztwie.*

Dochodzenie

Śledztwa w sprawie sabotażu rozpoczęły się w trzech krajach. Dania i Szwecja zamknęły swoje po półtora roku. Niemcy nie zamierzali odpuszczać. Podwodne wybuchy nastąpiły 26 września 2022 r. Śledczym udało się ustalić, że cztery dni wcześniej na tym akwenie pływał jacht Andromeda. Odtworzono marszrutę łodzi – z portu w Rostocku (8 września), aż do powrotu do portu Wieck na Rugii. Zdaniem śledczych wśród załogi Andromedy – wynajętej w Niemczech na zwykły kilkunastodniowy turystyczny rejs po Bałtyku – byli doświadczeni nurkowie. Po przypłynięciu nad gazociąg pracowali na głębokości ponad 70 m. Założyli 4 ładunki wybuchowe (ważyły od 14 do 27 kg) z zapalnikami czasowymi.

Wpaść na trop Ż. miało pomóc zdjęcie z fotoradaru. Krótko po północy 8 września 2022 r. biały van marki Citroën został sfotografowany niedaleko Rostocku. Furgonetka doprowadziła ich do ukraińskiej firmy kurierskiej. Niemcy przesłuchali jej kierowcę. Zeznał, że otrzymał zlecenie przewiezienia grupy osób z Ukrainy do Niemiec, a następnie ich odebrania. Kiedy Niemcy pokazali mu zdjęcia, wskazał na Ż.

Ważny szczegół ustalił portal śledczy Frontstory. Okazało się, że jacht zawinął na chwilę do Kołobrzegu i obecni na pokładzie zostali wylegitymowani przez polską Straż Graniczną. Trzy lata temu zastępca koordynatora ds. służb specjalnych Jan Żaryn potwierdził fakt wylegitymowania załogi. Według urzędnika obecni na jachcie mieli bułgarskie paszporty, a na łodzi nie było niczego podejrzanego.

„Z tego, co wiem, byli to ludzie, którzy szukali rozrywki, ten rejs miał charakter typowo turystyczny. Tam nie było nikogo, kto miałby chociażby przeszkolenie wojskowe czy związane z działaniami o charakterze sabotażowym. To był jacht, który nie wzbudził żadnego alarmu wśród naszych pograniczników, którzy go kontrolowali, i nie był to jacht, który miałby jakieś możliwości działań militarnych" – przekonywał Żaryn w niemieckiej telewizji ARD.

Ślady

Jednak w rzeczywistości na Andromedzie – którą potem dokładnie sprawdzono – niemieckie służby znalazły ślady materiałów wybuchowych i podobno zabezpieczyły materiał DNA. Czy polskie służby wiedziały o operacji? – *Tak. Polska była ważna logistycznie. Wasze służby, nieoficjalnie, zgodziły się przymykać oczy na wszystko, o ile nie narazi to interesów Polski* – twierdzi nasz ukraiński rozmówca. Niepisana umowa przestała więc obowiązywać, gdy sprawa się wysypała i Niemcy zaczęli docierać do personaliów uczestników operacji.

Na pokładzie miało być siedem osób – kapitan, saper i nurkowie. Grupą miał dowodzić Sierhij Kuzniecow, wówczas żołnierz Sił Zbrojnych Ukrainy. W lipcu 2025 r. został aresztowany w Rimini i czeka na ekstradycję do Niemiec. Bezpośrednio ładunki mieli podkładać m.in. Wołodymyr Ż. i Sierhij Uspenski. – *Obaj są nurkami technicznymi, tzn. że nie zanurzają się pod wodą, żeby podziwiać rybki. Są dużej klasy profesjonalistami. Nurkują w jaskiniach i we wrakach statków* – przyznaje Svitłana Uspenska.

Można dodać, że nurek techniczny to specjalista od długich i głębokich zanurzeń. Nurek rekreacyjny schodzi najwyżej na 40 m. Techniczny nie ma takich ograniczeń. Wykorzystuje mieszanki gazów oddechowych, potrafi planować przystanki dekompresyjne – mówiąc krótko, wykonuje zadania na dużych głębokościach.

eprasa.pl 9ebcecf7a9

Wyciek gazu z rozerwanego gazociągu Nord Stream 2, sfotografowany z samolotu duńskiej armii, 27 września 2022 r.

W załodze miała być też kobieta. Na początku śledczy stawiali na Svitłanę Uspenską, ale podejrzenie padło na specjalistkę do nurkowania na dużych głębokościach Ukrainkę Valerię C.

Służby

Pod koniec czerwca 2024 r. Niemcy zwróciły się do Polski z prośbą o pomoc prawną i europejski nakaz aresztowania – ale nie wpisały swojego nakazu do SIS (system informatyczny Schengen). Według naszej wiedzy Wołodymyr Ż. wyjechał wtedy na Ukrainę. Potwierdzają to słowa jego kijowskiego adwokata. Mykoła Katerynczuk, szef kancelarii Katerynczuk, Moor & Partnerzy, był zdziwiony, że jego klient zdecydował się wrócić do Polski. „Wiedział przecież, że obowiązuje europejski nakaz aresztowania i mogą go zatrzymać wszędzie w UE" – stwierdził Katerynczuk w rozmowie z telewizją Suspilne.

Dlaczego Ż. wrócił do Polski, mimo że wiedział o nakazie aresztowania? Czy na Ukrainie nie czuł się bezpiecznie? To możliwe – wystarczy przypomnieć, że 10 lipca 2025 r. w Kijowie zastrzelono pułkownika SBU Iwana Woronycza. Zamachu mieli dokonać rosyjscy agenci, których zabito podczas próby zatrzymania.

Natomiast Juliana, żona Wołodymyra, przekonuje, że jej małżonek mieszkał w Polsce i nigdy się nie ukrywał. Złożyli zażalenie na przeszukanie, jakiego ABW dokonała w 2024 r. – *Składał je mój klient, więc prokuratura wiedziała, w jakim miejscu i gdzie przebywa* – dodaje polski obrońca Wołodymyra Ż., mec. Tymoteusz Paprocki.

Policja zapukała ponownie do państwa Ż. 30 września 2025 r. Policjanci zatrzymali Wołodymyra Ż. na podstawie europejskiego nakazu aresztowania wydanego przez niemiecki Trybunał Sprawiedliwości w Karlsruhe.

Milczenie

Na początku zatrzymanie Wołodymyra Ż. nie wywołało żadnej reakcji Kijowa. Wołodymyr Ż. siedzi w Polsce, Sierhij Kuzniecow, który brał w tym udział, wpadł we Włoszech. Dlaczego nie bronicie swoich ludzi? – pytamy naszego ukraińskiego rozmówcę. – *Będziemy tu bardzo ostrożni. Gdybyśmy zaczęli się za nim wstawiać, pośrednio przyznalibyśmy się, że atak na gazociąg to nasza sprawka. To naraziłoby nas na konfrontację z Niemcami, a tego nie chcemy.*

A służby, nie wstawią się za „swoimi"? – *Kryło Budanow, szef wywiadu wojskowego, chciał, byśmy jakoś zareagowali, ale został zablokowany przez otoczenie prezydenta. Generał Budanow ma w ostatnim czasie fatalne stosunki z Zełenskim.*

Ukraińska ambasada w Warszawie, jak ustaliliśmy, miała pretensje do polskich władz, że o zatrzymaniu dowiedziała się z mediów. Od razu uzyskała widzenie w areszcie, była zainteresowana dowodami, jakie przedstawiła strona niemiecka we wniosku ekstradycyjnym. Jednak nie odpowiedziała na nasze prośby o komentarz w całej sprawie. A nie było tajemnicą, że mec. Paprocki zabiegał, by instytucje cieszące się autorytetem ręczyły za jego klienta, co mogłoby pomóc w wyciągnięciu go z aresztu.

Ambasador Ukrainy publicznie zabrał głos dopiero po rozprawie aresztowej. Wypowiedź Wasyla Bodnara, który rozmawiał z RMF, była powściągliwa: „Nie wtrącamy się, bo po prostu to jest sprawa sądowa. Wszystko zależy od wymiaru sprawiedliwości. Oczywiście, że sąd jest sądem i musi podjąć odpowiednią decyzję".

Areszt

Sąd orzekł, że Wołodymyr Ż. ma pozostać w areszcie do 9 listopada. Do tego czasu ma też zakończyć się procedura ekstradycyjna. W każdym razie jej pierwsza instancja. – *Mój klient powiedział, że nie przyznaje się do winy, bo żadnego przestępstwa nie popełnił* – mówi mec. Paprocki. – *Ten proces nie dotyczy tylko Wołodymyra Ż. On dotyczy obywateli Ukrainy i państwa ukraińskiego i tego, jak należy traktować szeroko pojętą obronę tego kraju. To jest poniekąd opowiedzenie się, po której stronie jako Polska jesteśmy. Czy po stronie Rosji, czy po stronie Ukrainy.*

Juliana była w sądzie: – *Od 30 lat byliśmy zawsze razem. A teraz widzę męża skutego kajdankami, prowadzonego przez zamaskowanych policjantów. Zostałam sama z trójką dzieci i nie wiem, jak dalej funkcjonować. Nie wiem, jak wytłumaczyć wszystko dzieciom. Nie życzyłabym nikomu takich przeżyć.*

Svitłana Uspenska zamieściła w sieci dramatyczny apel, pod którym można się podpisać: „Szanowni Państwo, sprzeciwiam się aresztowaniu Wołodymyra Ż., obywatela Ukrainy. To uczciwy i pracowity człowiek. Nigdy wcześniej nie był karany".

Co dalej?

Czy wydamy Wołodymyra Ż. Niemcom, gdzie może go czekać 15 lat więzienia? Niekoniecznie. Kluczowe dla tej decyzji może okazać się polskie śledztwo prowadzone przez pomorski wydział Prokuratury Krajowej w Gdańsku. Zostało wszczęte 30 września 2022 r. i także dotyczy zamachu na Nord Stream. – *Nie informujemy, jakie dowody zostały wykonane. Nie informujemy, jakie ustalenia zostały poczynione. Mogę jedynie powiedzieć, że zgromadzony dotychczas materiał dowodowy nie dał podstaw do postawienia komukolwiek zarzutów. Tak więc w sprawie nie ma podejrzanych. Współpracujemy ze stroną niemiecką poprzez wymianę informacji i dowodów* – mówi rzecznik Prokuratury Krajowej Przemysław Nowak.

Według „Rzeczpospolitej" postępowanie utknęło na etapie pomocy prawnej z Bułgarii w sprawie weryfikacji danych z paszportów załogi jachtu Andromeda spisanych podczas postoju w Kołobrzegu. A skoro w Polsce ciągle toczy się śledztwo, to polski sąd miałby podstawy, by Wołodymyra Ż. nie wydawać Niemcom. Gdyby jednak orzekł, że ekstradycja jest dopuszczalna, musiałby ją jeszcze potwierdzić minister sprawiedliwości.

Premier Donald Tusk, a więc szef ministra, już zajął w tej sprawie stanowisko: „Ten obywatel Ukrainy został zatrzymany, bo taka jest procedura. Jednak stanowisko polskiego rządu się nie zmieniło. W interesie Polski i w interesie zwykłego poczucia przyzwoitości i sprawiedliwości na pewno nie jest oskarżanie ani wydawanie tego człowieka w ręce innego państwa". A po spotkaniu z premier litwy Ingą Ruginiene podsumował: „Problemem nie jest to, że gazociąg został wysadzony, ale że został zbudowany przeciw żywotnym interesom Europy".

VIOLETTA KRASNOWSKA, PAWEŁ RESZKA Z KIJOWA

© AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 9ebcecf7a9

Brazylijczyk Rodrigo Alves przeszedł ponad 150 zabiegów, aby upodobnić się do lalki Ken. Z czasem, po odkryciu swojej niezgodności płciowej, zdecydował się na „kobiece transformacje".

Zmiennokształtni

JOANNA CIEŚLA

Kto chce być piękny, w Polsce musi mieć mocne nerwy. I być gotowy na ryzyko.

Z daniem Magdy twarz trochę świadczy o człowieku. A o specjalistce od zabiegów estetycznych na pewno. Ta, która 40-letniej Magdalenie wyciągnęła brodę w szpic, wyglądała jak bliźniaczka jednej z celebrytek, słynnych za sprawą przetworzonego w sektorze beauty wyglądu.

Ale prace – czyli zdjęcia klientek przed interwencją i po niej – specjalistka miała ładne. Dlatego Magdalena się do niej zapisała. – *Chciałam, żeby moja twarz stała się smuklejsza. Po wcześniejszych nieudanych zabiegach policzki zrobiły mi się kwadratowe.*

eprasa.pl 9ebcecf7a9

Pani zabiegowiec powiedziała, że jak podamy kwas hialuronowy w brodę, to uda się ją delikatnie wydłużyć i buzia odzyska subtelność.

Kosmetyczka posmarowała Magdę żelem znieczulającym, ostrzyknęła i zaczęła modelować. Masowała, kształtowała, a w końcu podała klientce lusterko. – *Zapytałam: „Co to jest!?". A kosmetyczka: „Trójkąt! No, taka teraz moda. Kilka dni i się pani przyzwyczai".* Magdalena nie przyzwyczaiła się mimo upływu tygodni.

Podobne odczucia relacjonują liczne amatorki wolumetrii, czyli chemicznego przekształcania twarzy. – *Żałuję, że dałam sobie wepchnąć ten kwas, bo wyglądam 10 lat starzej niż wcześniej. Skóra zwiotczała, a jeśli ona jest jak pergamin, to wolumetria nic nie da* – denerwuje się Eliza.

Poza kontrolą

Na forach kosmetycznych uczestniczki skarżą się a to, że broda „spłynęła w inne miejsce", a to, że złe podanie w policzek mililitra kwasu trzeba było niwelować „naprawami" za kilkanaście tysięcy złotych. Bardziej doświadczone przestrzegają, że kwas rozpycha tkanki, trwale zmieniając rysy twarzy, a po rozpuszczeniu substancji nawet chirurgiczny lifting może być trudny do wykonania.

Kilka tygodni temu prezes Urzędu Rejestracji Produktów Leczniczych, Wyrobów Medycznych i Produktów Biobójczych wydał oficjalny komunikat w sprawie bezpieczeństwa i zasad używania wyrobów medycznych do wypełniania skóry twarzy w drodze wstrzykiwania. Przypominał, że do takich zabiegów uprawnione są tylko osoby z wykształceniem medycznym. I że wyroby takie jak kwas hialuronowy lub np. nici liftingujące muszą być odpowiednio oznakowane. W komunikacie zalecono też, żeby osoby, które poddają się upiększającym zastrzykom, same przypilnowały, czy ampułki są im podawane zgodnie z instrukcją producenta. I czy zgadzają się kwalifikacje osoby, która będzie to robić.

Kilka dni wcześniej podobny, wspólny komunikat wydali także główny inspektor sanitarny i główny inspektor farmaceutyczny, w odniesieniu do zabiegów z toksyną botulinową, które może wykonać tylko lekarz. Kosmetyczki ani kosmetolodzy nie mają do tego uprawnień. Bezpośrednim powodem urzędniczego wzmożenia były wydarzenia w Wielkiej Brytanii. Ok. 40 osób doznało tam botulizmu jatrogennego, czyli zatrucia preparatem botoksu, który nie miał rejestracji. Botoks, inaczej jad kiełbasiany, jest jedną z najsilniejszych neurotoksyn, uniemożliwiającą skurcz mięśni. Jej podanie skutkuje tym, że nie marszczy się na przykład czoło. Ale może to też doprowadzić do zaburzeń mowy, trudności w przełykaniu, oddychaniu, wreszcie – do śmierci.

Ryzyko botulizmu wzrasta zwłaszcza wtedy, gdy preparat jest nieznanego pochodzenia i nie ma pewności, ile jego jednostek faktycznie jest w ampułce. List do polskich urzędów, zwracający uwagę na sytuację, napisała dr Ewa Kaniowska, honorowa prezes Stowarzyszenia Lekarzy Dermatologów Estetycznych, od lat alarmująca, że przez nasz rynek przelewają się hektolitry substancji poza jakąkolwiek kontrolą.

Masą w twarz

Dr Waldemar Jankowiak, przewodniczący Polskiego Towarzystwa Lekarzy Medycyny Estetycznej i Anti-Aging, szacuje, że tama przed zalewem preparatów wprowadzanych w tkanki puściła niecałe 20 lat temu. Pewien wielki koncern przejął wtedy technologie produkcji tzw. wypełniaczy wstrzykiwanych dla efektu wygładzania zmarszczek i kształtowania rysów. – *Jakość tych produktów była dobra, ale ponieważ firmie zależało na jak największej sprzedaży, produkty stały się tańsze, a zatem łatwiejsze do stosowania w dużej ilości u jednego pacjenta.* Na jednym z dużych międzynarodowych kongresów najsłynniejszy szkoleniowiec firmy przeprowadził na żywo zabieg na twarzy 40-letniej modelki. – *To była piękna kobieta z dojrzałą urodą* – wspomina dr Jankowiak. Szkoleniowiec podał jej preparat w policzki, usta, żuchwę, brodę. Z wykorzystaniem kaniuli użył do zabiegu ok. 6–8 ml preparatu, kilka razy więcej niż dotychczasowe dawki. – *Efekt był spektakularny, ale modelka wcale nie wyglądała lepiej niż wcześniej. Wyglądała po prostu jak zupełnie inna osoba* – konkluduje doktor. Przyznaje jednak, że wielu jego kolegów tamten rezultat zachwycił i przejęli metodę „na ilość". Z czasem ich śladem poszli adepci nowo powstałego zawodu kosmetologa, co wzbudziło spore kontrowersje.

Liftingi i inne chirurgiczne metody korekty wyglądu w tamtym okresie dostępne były dla wąskiego grona klientek i klientów. Do dr. Marka Szczyta, dziś jednego z najbardziej doświadczonych polskich chirurgów plastycznych, w sprawie liftingu zgłaszały się niemal wyłącznie pacjentki z najzamożniejszej grupy, po 50. albo i 60. roku życia. Wyobraźnię masową w odniesieniu do operacji plastycznych rozbudzały doniesienia o amerykańskiej piosenkarce Cher, jakoby poddającej się wycinaniu żeber dla wysmuklenia talii, czy później o Brazylijczyku Rodrigo Alvesie, który przeszedł ponad 150 zabiegów, aby upodobnić się do lalki Ken. A z czasem, po odkryciu swojej niezgodności płciowej zdecydował się na kolejne transformacje zbliżające jego wygląd do lalki Barbie.

Na rodzimym gruncie popularną usługą podobno miały się stać operacje odstających uszu fundowane dzieciom w ramach prezentu komunijnego. Ale dr Szczyt o tej rzekomej modzie mówi z dystansem. – *Nie wiem, czy rzeczywiście istniał taki trend prezentowy, czy za tymi opowieściami stoi raczej zbieg okoliczności. Faktycznie uszy najlepiej operować od 8. do 10. roku życia, co nakłada się na czas komunijny. Mogło być tak, że w jakiejś rodzinie otrzymane z tej okazji pieniądze przeznaczono na taką operację, ale nie wydaje mi się, żeby na szerszą skalę w ten sposób obdarowywano dzieci.*

W odniesieniu do dorosłych podarunki z kategorii beauty mają jednak swoich entuzjastów. Na przykład Ewa, 35-latka z Gorzowa, pierwszy zabieg – liposukcji podbródka – wykonała cztery lata temu wraz z mężem, zaraz po ślubie. Taki sobie zrobili wzajemny prezent na początek wspólnej drogi.

Ruletka na fotelu

Aż prosi się, żeby korzystać, gdy już nie tylko przedłużona młodość, lecz także idealny owal twarzy wydaje się marzeniem do spełnienia. Kłopot w tym, że procedury kosmetyczno-estetyczne dość często przypominają raczej rozrywki hazardzistów.

Często wygląda to tak jak w salonie w warszawskim Ursusie. Kosmetyczka zachwala: – *Pani to ma piękną skórę jak na swoje lata! Ja bym tu nic nie robiła. No, chyba żeby wypełnić kwasem bruzdy nosowo-policzkowe i linię marionetki, od ust do brody. Ale najlepiej zacząć od botoksu, wtedy kwas po podaniu nie będzie się przemieszczał.* Na czoło specjalistka o twarzy karcianej damy kier również podałaby botoks. – *A bruksizm pani ma? Jest zgrzytanie zębami? No właśnie, też przyda się ostrzyknąć. Tylko że wtedy mogą się pani zrobić jeszcze bardziej obwisłe te chomiki. Ale zrobimy znów po strzale kwasu w kości policzkowe i wszystko się* ▶

© EAST NEWS (2)

eprasa.pl 9ebcecf7a9

▶ *podniesie*. Wspólnie przed lustrem podciągamy skórę – oczy od razu stają się większe, a cała twarz nabiera lekkości. Jednak bezwzględnie konieczna będzie też mezoterapia dla wzmocnienia kondycji skóry – cykl przynajmniej trzech zabiegów. – *No, sporo tej pracy, sporo* – kosmetyczka koryguje własną wyjściową diagnozę. Za wypełnienie bruzd zapłacę 1,2 tys. zł, za botoks *full face* – 800 zł po zniżce, za kwas w kości policzkowe ok. 1 tys. zł, a potrójna mezoterapia to ok. 1,5 tys. zł. Kosmetyczka uczciwie dodaje: – *Jak pani zacznie, to już trzeba będzie przychodzić. I musi się pani liczyć, że pewnie wyjdzie to inaczej, niż pani myśli.*

Magda, z wyciągniętą w szpic brodą, przyznaje, że u niej każdy zabieg wychodził inaczej, niż myślała. Może poza pierwszym ostrzyknięciem ust. – *Dlaczego chciałam je zrobić? Bo wszyscy robią. Obok mojego bloku są trzy salony do wyboru. Poszłam tam, gdzie akurat była promocja dla modelek na szkolenia, 250 zł zamiast tysiąca.* Od kolejnego zabiegu, „odświeżania" ust, zaczęły się schody. – *Przez cały czas czułam, że coś cieknie mi po brodzie. Zerknęłam na kosmetyczkę – trzymała w ręku chusteczkę – bordową, całą w mojej krwi.* Usta miała Magda po tym wszystkim na pół twarzy. – *Więc znajoma namówiła mnie na podanie hialuronidazy. To enzym, który rozkłada kwas hialuronowy.*

Po zastrzyku usta Magdaleny faktycznie zmalały, ale razem z nimi opadły policzki. Kobieta wyrzuca sobie, że „tematu hialuronidazy" nie zgłębiła, bo dowiedziałaby się, że efekty podania bywają różne. U Magdy był taki, że rozpuścił się naturalny kwas hialuronowy w jej tkankach i twarz stała się płaska jak dmuchana poduszka po spuszczeniu powietrza. Dlatego zgłosiła się na wolumetrię, z opisanym na początku skutkiem.

Dr Waldemar Jankowiak pytany, skąd moda na brody w szpic, wyznaje, że jej nie rozumie. – *Taki kształt jest sprzeczny z kanonami piękna w naszej kulturze. Ale zaczął się pojawiać u influencerek na TikToku, a jak ktoś coś 100 razy obejrzy na TikToku, to uznaje, że jest normą.*

Szkolenie z kurczakiem

Pomimo teoretycznie działających regulacji, że zabiegi ostrzykiwań powinni wykonywać wyłącznie obeznani w anatomii lekarze, kwitnie amatorski rynek usług nie tylko beauty, lecz także szkoleń. Od 2003 r. działa np. Ogólnopolska Akademia Kosmetologii reklamująca się jako „placówka kształcąca w 100 proc. online" i „podlegająca pod Ministerstwo Edukacji Narodowej" (faktycznie zarejestrowana w stosownych ewidencjach). Placówka kształciła m.in. na kierunku medycyna estetyczna – za kilka tysięcy złotych – w zakresie „wypełniania zmarszczek kwasem hialuronowym usieciowanym" czy „zastosowania wypełniaczy w zabiegach wolumetrycznych". Kto zaliczy (w formule testu online), dostanie liczne certyfikaty, a za dodatkowe 230 zł zaświadczenie z MEN (bez adnotacji, że szkolenie było online). I – według reklamy Akademii – będzie mógł legalnie wykonywać wspomniane zabiegi. Kurs jest szeroko dostępny – otwarty dla osób pełnoletnich posiadających dostęp do komputera.

Po rozmowie dziennikarki POLITYKI z przedstawicielką szkoły oferta kierunku medycyna estetyczna zniknęła ze strony. Ale prowadząca ją Violeta Czerwonka z Katowic przez 20 lat zdążyła wykształcić tłumy – ponad 56 tys. osób. Część z nich na 20-minutowych lekcjach wideo uczyło się m.in. technik iniekcji na korpusie kurczaka.

Michał Gajda, adwokat specjalizujący się w prawie medycznym, mówi, że nie ma tygodnia bez kilku, kilkunastu pytań

Coraz większą popularność zdobywa broda w szpic. Do tego koniecznie usta na pół twarzy. Zabiegi drogie, a coraz częściej niebezpieczne.

o prawne wsparcie od ludzi, którzy ucierpieli z powodu źle przeprowadzonych zabiegów. – *Nie zawsze są to drastyczne przypadki zagrożenia życia, ale takie osoby przeżywają dramaty, spada im samoocena, sypią się związki, rujnują plany.* Mecenas dostrzega też, że zmienia się podejście organów ścigania i sądów do takich spraw. Na drodze cywilnej przyznawane odszkodowania sięgają kilkunastu–kilkudziesięciu tysięcy złotych.

Na ścieżkę karną do warszawskich prokuratur od początku 2024 r. wpłynęło 17 zawiadomień o podejrzeniu popełnienia przestępstwa udzielania świadczeń zdrowotnych bez uprawnień. Formalnie grozi za to do roku więzienia. Cztery z tych spraw są w toku, w dwóch sformułowano akty oskarżenia, większość pozostałych umorzono. Nie wszystkie dotyczą medycyny estetycznej. Jest to pewien postęp, bo jeszcze dwa lata temu takich postępowań nie było prawie wcale.

53 razy informowano też prokuratury w Warszawie, że ktoś wprowadza do obrotu produkt leczniczy bez zezwoleń (zagrożenie karą więzienia do lat dwóch). Znów nie wszystkie to preparaty medycyny estetycznej. W toku jest 10 ze zgłoszonych spraw, umorzono 38, aktów oskarżenia nie ma. Chodzi o to, że substancje takie jak botoks legalnie można kupić tylko na receptę lub będąc lekarzem. Jednak kto lekarzem nie jest i recepty nie ma,

eprasa.pl 9ebcecf7a9

i tak je zdobywa. Autorka tego tekstu półtora roku temu w jeden dzień kupiła przez internet niedopuszczony w Polsce do użytku koreański preparat Meditoxin. W 2024 r. Krajowa Administracja Skarbowa (KAS) zatrzymała przy próbie nielegalnego wwozu do Polski w sumie ponad tysiąc ampułek z toksyną botulinową i ponad 10,5 tys. preparatów z kwasem hialuronowym, głównie z Azji. Oferta rynku wciąż jest nabrzmiała jak źle ostrzyknięta tkanka, a polskie klientki i klienci nie mogą czuć się bezpieczni.

Kilka lat temu do dr Ewy Kaniowskiej trafiła pacjentka z pękającymi ropnymi owrzodzeniami na ustach. Leczenie przyniosło częściową poprawę, ale z czasem problem ponownie się nasilił. I nie ustępuje mimo stosowania różnych metod leczenia, także przez innych lekarzy. – *Pacjentka, w wyniku zabiegu przeprowadzonego w gabinecie kosmetycznym z użyciem preparatu niewiadomego pochodzenia (bez rejestracji), doznała reakcji immunologicznej. Przeżywa dramat – nie może jeść, nie może pić, nie może nikogo pocałować.*

Mec. Gajda potwierdza, że podobne sytuacje są dla ofiar bardzo trudne, także dlatego, że nie mogą liczyć na wsparcie rzecznika praw pacjenta (ponieważ te osoby nie są pacjentami). Salony kosmetyczne, w przeciwieństwie do klinik i gabinetów lekarskich, nie mają też obowiązku ubezpieczenia OC. Dlatego kosztowna ścieżka sądowa jest faktycznie jedyną dającą szansę na jakiekolwiek zadośćuczynienie przy szkodach.

Dr Kaniowska zwraca uwagę, że komplikacje mogą mieć dużo większy ciężar. – *Na przykład eksperymentalne, nowoczesne immunoterapie, stosowane w chorobach nowotworowych, dają nadzieję wielu pacjentom. Ale jeśli występuje jakakolwiek nieoczekiwana reakcja, powiedzmy, opuchlizna, leczenie trzeba przerwać i dokładnie opisać objawy. Pojawia się wtedy pytanie, czy organizm pacjenta źle reaguje na całe immunologiczne leczenie, czy jest to reakcja organizmu na preparat, który kiedyś został wstrzyknięty podczas jakiegoś zabiegu „estetycznego". I czy leczenie nowotworowe można kontynuować, czy trzeba je przerwać. A konieczność przerwania leczenia może być dla chorego wyrokiem* – podkreśla lekarka. Jak dodaje, masowe korzystanie z usług wykonywanych przez osoby bez uprawnień nie wiadomo czym może mieć poważne konsekwencje zdrowotne dla bardzo wielu osób.

Uczciwie trzeba jednak przyznać, że wiele szkoleń dla kosmetyczek i kosmetologów, m.in. z iniekcji, przez lata prowadzonych było również przez medyków.

Szyć każdy może

Zabiegami sektora premium rządzą podobne prawidłowości, co tymi szeroko dostępnymi. Ktoś znany robi coś widowiskowego – np. celebrytka Małgorzata Rozenek ogłasza, że poddała się liftingowi, i w klinikach plastycznych rozdzwaniają się telefony. Mimo że koszt pełnego zabiegu przekracza 100 tys. zł. Gdy, także celebryta i lekarz, Krzysztof Gójdź zapowiadał remont swojego oblicza i go zrealizował, wśród zainteresowanych zabiegami wyraźnie przybyło panów. Z miniankiety na potrzeby tego tekstu wynika, że najstarszy pacjent polskiej chirurgii plastycznej – tak, mężczyzna – miał ukończone 82 lata. Operacyjne podniesienie policzków dało spektakularny „efekt wow".

Ukrywanie interwencji ostatnio nie jest zresztą w trendzie. Dr Marek Szczyt relacjonuje, że jeszcze kilkanaście lat temu młode, szczupłe pacjentki z drobnymi piersiami oczekiwały delikatnych działań, „żeby nikt się nie zorientował". Dziś, gdy lekarze proponują implanty anatomiczne dające naturalny efekt, nieraz słyszą: „Panie doktorze, ma być widać. Ja nie chcę naturalnie".

Sęk w tym, że jak wyznają pacjentki, nawet zaawansowany *deep plane lift* z uniesieniem nie tylko skóry, lecz także mięśni i powięzi, może dawać efekty na chwilę. – *Po pół roku, gdy na dobre zeszła mi opuchlizna, zaczęły rozchodzić się blizny, a wstrzyknięte wypełniacze widać gołym okiem. Gdybym wiedziała, że tak się to skończy, w życiu nie wydałabym tej kasy; oszczędziła sobie bólu i stresu* – relacjonuje 52-letnia Monika po zabiegu w klinice w Wielkopolsce.

Dr Marek Szczyt, który jest też rzecznikiem prasowym Towarzystwa Chirurgii Plastycznej, przyznaje, że zabiegi wykonywane przez niefrasobliwych medyków tworzą osobną kategorię sytuacji patowych. – *Według polskich przepisów, jeżeli ktoś jest lekarzem i uznaje, że potrafi wykonać jakiś zabieg, nawet spoza swojej specjalizacji, może go wykonać. Nie może się przedstawiać np. jako chirurg plastyczny, jeśli nim nie jest. Dopóki pacjentowi nie stanie się krzywda, nie ma jednak podstaw, by pociągać do odpowiedzialności lekarza internistę lub ginekologa wykonującego operacje plastyczne* – podkreśla.

Przyznaje, że to, czy ginekolog potrafi „zrobić nos", ostatecznie weryfikują dopiero pacjenci. – *Często ci nieuczciwi, czy to chirurdzy, czy dentyści, mówią, że są chirurgami estetycznymi. A takiej specjalności nie ma. Przy tym, gdy się okazuje, że taki lekarz jednak nie umiał wykonać zabiegu, my jako Towarzystwo niewiele możemy zrobić.* Dr Szczyt wspomina, że jakiś czas temu przyszła do niego 50-letnia pacjentka z okropnie zniszczonym brzuchem. – *Mówi: doktorze, miałam odsysanie wykonane przez stomatolog. Zabieg został wykonany w dentystycznym gabinecie, a pacjentka w trakcie stała.* Oprócz nierówności na brzuchu kobieta miała siniaki po próbach ostrzyknięć. – *Dodatkowo tkanki brzucha zostały podciągnięte od żeber aż do spojenia łonowego. Jak się okazało w czasie operacji, wykorzystane do tego zostały zwyczajne nici chirurgiczne, użyte niczym fastryga. W życiu nie widziałem czegoś podobnego.*

Kosztowny trend na look

Biuro Rzecznika Praw Pacjenta informuje, że w ub.r. wpłynęło do niego 110 sygnałów i zgłoszeń dotyczących nieprawidłowo przeprowadzonych zabiegów medycyny estetycznej. W 2023 i w 2022 r. takich spraw było trzy–cztery razy mniej.

Ruch w tej dziedzinie napędza fakt, że przybywa mniej lub bardziej autentycznych specjalistów, oraz presja związana z medialnymi trendami, by mieć właściwy *look*. Można zżymać się na próżność świata, ale fakty są takie, że wspólnie ten świat tworzymy. I nie jest fair, gdy klient, czy nawet pacjent, w razie szkód zbyt często zdany jest na szukanie ratunku na własną rękę i koszt.

Zwłaszcza gdy chodzi o jeden z najprężniej rozwijających się obecnie sektorów. Szacunki wartości rynku beauty są bardzo rozstrzelone – sięgają kilku miliardów. W każdym ujęciu widać jednak, że ta wartość rośnie.

Narzuca się skojarzenie z rynkiem kredytów walutowych i piramidami finansowymi, gdy państwo przerzucało odpowiedzialność za skorzystanie z mętnych usług na obywateli, choć ci mieli prawo zakładać, że oficjalnie dostępne na rynku produkty i oferty nie okażą się pułapką. Polskie władze i służby powinny zintegrować przepisy i praktyki (jak próbuje się to uczynić w obszarze psychoterapii), żeby klienci rynku beauty mogli czuć się bezpiecznie. Apele, aby sami pilnowali, czy – z założenia specjalistyczne – zabiegi przeprowadzane są zgodnie z instrukcją, tego nie załatwią.

JOANNA CIEŚLA

© SHUTTERSTOCK, EAST NEWS

eprasa.pl 9ebcecf7a9

Czy praca ma sens

Coraz więcej osób w Polsce, ale i w całym zachodnim świecie zadaje sobie pytania: co właściwie wynika z mojej pracy, czy daje ona coś sensownego światu? Prawie połowa odpowiada: nic nie daje.

EWA WILK

Pewien politolog wzbudził sensację na zjeździe absolwentów swego kierunku, ponieważ okazało się, że jest obecnie – ku swej niekłamanej satysfakcji – maszynistą szybkich kolei. Zapytany, jak się nim zostaje, odpowiedział: – *Pierwszy krok już zrobiliście, ukończyliście politologię*. Ten rodzaj życiowej elastyczności staje się koniecznością czasów.

Znany onegdaj redaktor poczytnej gazety, obecnie właściciel prosperującej

ILUSTRACJA **MARCIN BONDAROWICZ**

agencji piarowej, nie bez autoironii powiada, że zarobkowo zajmuje się perswazją, manipulacją, niekiedy przekupstwem, a nawet szantażem moralnym. W czasie wolnym od zajęć zawodowych pisuje felietony i wydaje je w książkach (własnym sumptem). Taka dwoistość istnienia daje się zauważyć w naszej rzeczywistości coraz częściej.

Osoby te łączy jedno: na zwątpienie w sens swojej pracy znalazły sposób. Rzeczywistość ujmowana statystycznie wygląda jednak zgoła inaczej. Human Resource Management Institute (firma doradztwa biznesowego) podaje, że ponad połowa uczestników ich badań nie widzi ani celowości, ani wkładu ich roboty w dobrostan ludzkości.

Podobnie jest w całym kapitalistycznym świecie i wiele wskazuje na to, że ten kryzys sensu się pogłębia. David Graeber, antropolog, autor światowego bestselleru sprzed niemal dekady „Praca bez sensu", zainspirował badania w Holandii i Wielkiej Brytanii: „Czy twoja praca daje światu coś sensownego?". Już 10 lat temu 37 proc. Brytyjczyków i 40 proc. Holendrów odpowiedziało: nie.

W Polsce większość z tych, którzy „nie czują się zbyt dobrze" w swoim zawodzie, jednak w nim tkwi, racjonalizując to (całkowicie zrozumiale) koniecznością zarabiania na życie. Do czasu. Gabinety psychoterapeutyczne okupowane są dziś przez tysiące ludzi, których pokonała praca. Wypalonych, zawiedzionych sobą, zmagających się z niszczącymi symptomami depresji: wiecznym zmęczeniem, wszechogarniającą niemocą, bezprzedmiotowym lękiem, z poczuciem bezsensu swego życia. W 2024 r. Polacy dostali 1,6 mln zwolnień L4 od psychiatrów, o prawie 14 proc. więcej niż rok wcześniej. Dr hab. Sławomir Murawiec, psychiatra i psychoterapeuta, powiada, że leczy dziś niemal już wyłącznie osoby wymiecione z korporacyjnej niewoli przy okazji kolejnej optymalizacji zatrudnienia.

W ich przypadku owo psychiczne załamanie ma namacalną przyczynę. Podobnie rzecz wygląda w odniesieniu do tych, którzy padli ofiarą galopady technologicznej, rozjeżdżającej niczym walec wiele profesji.

Często zwątpienie dopada osoby na stabilnych etatach, z pozoru nieźle zakotwiczone w korpokapitalizmie, bez patologicznych objawów psychosomatycznych (jeszcze?). Zadają sobie pytanie, co wynika z ich codziennej harówy – dla nich samych, dla bliskich, dla świata. Zwątpienie w iluzoryczne kariery dotyka executive office managerów, executive assistantów, client experience managerów, customer success managerów i dziesiątki ich kolegów, których finezyjnie w narzeczu korpo utytułowała nasza ponowoczesność.

Praca sobie, życie sobie

Tylko w ciągu ostatnich kilku lat nagromadziło się mnóstwo zdarzeń i zjawisk, które nie tyle odebrały sens ludzkiej pracy, ile przeorały jej treść i formę. W społecznej pamięci powoli blaknie pandemia, która przegnała z biur, szkół miliony firm usługowych i produkcyjnych. Zgoda, epizodycznie, ale ów epizod przyspieszył wiele widocznych wcześniej trendów. Wedle GUS w 2024 r. liczba Polaków wykonujących swoją pracę w domu „zwykle lub czasami" wyniosła 2,7 mln osób (prawie 16 proc. wszystkich pracujących). Sporo pracuje w *coworking space* (w Warszawie jest ich już 104). Tradycyjne biura w wielu profesjach (choćby dziennikarskiej) zieją ponurą, popandemiczną pustką. Jeszcze niedawno toczyła się zażarta dyskusja, czy lepiej dla atmosfery i wydajności, żeby ludzie pracowali w odosobnieniu, czy też w biurach *open space* bez ścian, drzwi i pokoi. Życie samo rozwiązało ten dylemat już w odniesieniu do co najmniej jednej czwartej pracujących w Europie Zachodniej.

Przy okazji przyspieszył trend kiełkujący od lat: dla coraz większej liczby osób – im młodszych, tym bardziej – praca staje się sferą odseparowaną od innych obszarów życia. Hasło *work-life balance* nie wydaje się już tylko modnym komunałem z poradników psychologicznych. Jeszcze dwie, trzy dekady temu biuro, zakład pracy uchodziły słusznie za konstrukcję nie tylko fizyczną, ale i społeczną: ludzie stamtąd wychodzili na piwo, stamtąd wynosili przyjaźnie na całe życie, stamtąd rekrutowali jeśli nie żony czy mężów, to przynajmniej świadków na śluby i chrzestnych dla dzieci. Badacze społeczni utrzymywali wtedy, że zmienia się definicja „najbliższych" – tradycyjne więzi rodzinne, definiujące życie towarzyskie Polaków, w wielkich miastach zastępowane są przez więzi przyjacielskie i zawodowe. Dziś coraz częściej przyjaciół, a także życiowych partnerów, ma się nie z pracy, lecz z sieci.

Znaczenie ma tu formalny charakter pracy. Jakże niedawno darliśmy szaty nad śmieciówkami; dziś temat jakby zamarł, bo tzw. praca bezetatowa – np. realizacja limitowanych czasowo grantów czy praca projektami – stała się nie tylko akceptowalną, ale wręcz poszukiwaną formą zatrudnienia. W starszym pokoleniu CV 30-letniego pracownika nafaszerowane już sześcioma „miejscami" zatrudnienia budzi pewne wątpliwości; w młodszym wydaje się niezaprzeczalnym atutem.

Gdzieś w okolicach 2005 r. pękł dogmat, że dyplom magistra daje wyższe zarobki. W przekonaniu rosnącej liczby młodych ludzi nie daje on nic, skoro 40 proc. studentów porzuca kierunek albo i studiowanie w ogóle (pisał o tym dopiero co Adam Grzeszak „Studenci chwilowi", POLITYKA 40). Oczywistością stało się, że studiowanie w zasadzie nie daje zawodu; raczej ustały czynione przez lata wysiłki, by pożenić uczelnie z biznesem, a poszczególne kierunki – by tak rzec – uzawodowić. Nawet medycyna, prawo czy psychologia stanowią tylko bazę, którą trzeba nabudować latami staży, aplikacji, specjalizacji, a nawet samodzielnie finansowanym zdobywaniem uprawnień (np. psycholog, który chce być psychoterapeutą).

Korponieład

I wreszcie: potężna fala krytyki, jaka zalała korpoład. Dwie, trzy dekady temu wydawało się w krajach wygrzebujących się z realnego socjalizmu, że globalne korporacje ze swoją tzw. kulturą organizacyjną ucywilizują i nadadzą sens pracy na nowo.

Dziś, jeśli słowo „misja" pojawia się w kontekście korporacji, to niechybnie oznacza ono jakąś kolejną ściemę. Sztuczny zabieg, mający sprawić, że w przekonaniu korporacyjnego pionka jego firma nie tylko zażarcie walczy o zysk, ale też dokarmia głodujące dzieci w Afryce, dba o środowisko, „jest odpowiedzialna społecznie", również wobec pionka, którego ciąga po imprezach integracyjnych i wolontariatach, czym zaskarbia sobie jego lojalność i buduje psychiczny dobrostan.

Marlena Wieteska, menedżerka w biznesie cyfrowym, specjalistka marketingu, wykładowczyni w Akademii Leona Koźmińskiego, autorka właśnie wydanej książki „Jak zabić kulturę pracy", obnaża do spodu ową „kulturę", syntetyzując ▶

eprasa.pl 9ebcecf7a9

▶ to w podtytule „Codzienna walka na e-maile i pozory". Używa słowa „transformacja" bynajmniej nie na określenie tego, co zaszło w Polsce z górą 30 lat temu, ale co dzieje się dziś. W biznesie zapanowała gorączka AI. – *Każdy ją wprowadza. Tyle że chaotycznie* – mówi. – *Jakby nikt nie wiedział, jak i po co to robi. Menedżerowie działają w pośpiechu, nie mają czasu na przygotowanie ludzi. Pracownicy nagminnie odnoszą wrażenie zmian organizacyjnych dla samych zmian. Mnożą się konflikty wynikające z niedopowiedzeń, z niejasności co do pozycji i zadań w zreorganizowanej firmie. Niezażegnane w zarodku rozrastają się do mobbingowych dramatów.*

Pracownicy, zwłaszcza młodsi wyedukowani psychologicznie, sprawiają na swych szefach wrażenie ekstremalnie czułych na własnym punkcie. Szefowie – często weterani tej poprzedniej transformacji – wyznają, jak powiada Marlena Wieteska – kulturę poświęcenia, nielimitowanego czasowo oddania się pracy. Takiej identyfikacji z robotą i firmą, by stała się ona głównym elementem tożsamości człowieka.

A lojalność nie jest dziś w cenie. Prezes prestiżowego przedsiębiorstwa niedawno zaproponował pracownikom jednego z oddziałów rodzaj akcjonariatu pracowniczego; nie spotkało się to z zainteresowaniem; gorzej – zostało odebrane jako podstęp, by przykuć ludzi do firmy.

Wspomniany Human Resource Management Institute zapytał, co człowiekowi jest potrzebne, by uważał swoją pracę za sensowną? Najwięcej – 74 proc. ankietowanych odpowiedziało: gwarancja rozwoju zawodowego. Pod tym modnym pojęciem, oznaczającym wedle definicji możliwość zdobywania nowych doświadczeń i uzupełniania kompetencji kryje się oczekiwanie pracowników, że pracodawca da im sposobność nauczenia się takich rzeczy, które okażą się przydatne zupełnie innemu pracodawcy i otworzą furtkę do atrakcyjniejszej i lepiej płatnej posady.

Mielarki sensu

Przy tym sens swoich posad rozumie ledwie 47 proc. pracowników – tak wynika z aktualnego raportu Asany „State of Work Innovation Report" – to badanie wśród ponad 13 tys. pracowników z sześciu krajów zapytanych, jak ich codzienna harówka przekłada się na realizację celów biznesowych firmy. 65 proc. przyznaje, że udaje zapracowanie, żeby wyjść na produktywnych. Oceniają, że od 2019 r. do 2024 r. czas spędzany na zbędnych spotkaniach i naradach online się podwoił, obecnie wynosi średnio pięć godzin tygodniowo. 38 proc. nie czuje się nijak odpowiedzialna za jakość dostarczanej przez siebie roboty.

Wieteska w swej książce konstruuje modelowe typy współczesnych liderów i szeregowców. To np. maratończyk zadaniowy: „Można go rozpoznać z daleka, dosłownie i w przenośni. Zmęczone, ale pełne determinacji spojrzenie, jakby zawsze był gotowy na kolejny sprint, nawet jeśli nie wie, dokąd biegnie. Koszula nieco wygnieciona, bo nie ma czasu na prasowanie. Biurko przypomina pole bitwy: sterty dokumentów, notatki, które nigdy nie zostały przeczytane. Przykład pracownika, który biega bez celu, ale zawsze jest zajęty".

Teoretycy zarządzania postulują lifting korpokapitalizmu. Powstają w tym celu nowe stanowiska (zawody), np. facylitator-mediator (to ktoś od duszenia konfliktów w zarodku). Albo specjalista od *job craftingu* (w dosłownym tłumaczeniu byłoby to trochę masło maślane, więc zacytujmy stronę jednego z nich: „Pomagamy odzyskać sens i rozpalić wewnętrzny ogień – odzyskać poczucie autonomii, sprawić, że czujemy się ważni").

Na tego typu wynalazki ostrą alergię miał wspomniany David Graeber, antropolog – wywrotowiec, dziś klasyk. Podporządkował swe wywody tezie, że nie tylko komunizm ze swą polityką pełnego zatrudnienia doprowadził do powszechnej bumelki i symulki; kapitalizm, zwłaszcza ten korporacyjny, idzie z nim wręcz w zawody. Doszedł do tego wniosku, otworzywszy na wiele miesięcy stronę, gdzie każdy mógł się poskarżyć, jak beznadziejnie bezsensowną robotę wykonuje. W tysiącach relacji najbardziej zdumiało go to, że korespondenci w większości zdawali się akceptować ten stan.

Antropolog usystematyzował pracę bez sensu w kilka typów, m.in. lokajów, którymi otaczają się korporacyjni liderzy, by świadczyli o wielkości szefa. Recepcjoniści, ochroniarze (w Polsce pracuje dziś 300 tys. ochroniarzy, dwie trzecie bez żadnego przeszkolenia, więc tylko siedzą i patrzą w monitory), asystenci, zastępcy asystentów itd. Inny typ nazwał pracą zbirów, bo ich robota polega na manipulacji, psychologicznych podstępach i agresywnej perswazji. Co ważne, skłonność do tych zachowań bynajmniej nie musi leżeć w osobowości pracownika.

Tę typologię można dziś bez końca uzupełniać. Ileż osób zajmuje się wypełnianiem formularzy, kwitów, tabel, raportów w instytucjach państwowych, firmach prywatnych, nawet w przychodniach lekarskich, gdzie (sfrustrowani) lekarze i ich asystentki tak są zajęci klepaniną w komputery na potrzeby NFZ, że nie mają czasu nawet spojrzeć na (sfrustrowanego) pacjenta.

Społeczna kipiel

Wszystko to byłoby nawet absurdalnie zabawne, gdyby nie wspomniane skutki psychologiczne. A nawet polityczne. „Taka organizacja pracy kształtuje pejzaż polityczny, w którym kipi od nienawiści i resentymentu" – pisał Graeber, niestety proroczo.

Napięcia i linie podziału, które dziś kroją naszą zbiorowość, nie są bynajmniej wyłącznie światopoglądowe czy polityczne – mają swój wymiar społeczny. I nie sprowadza się to wyłącznie do pozycji finansowej na drabinie społecznej. Ludzi dzieli nie tylko to, za ile pracują, ale też po co. Sprowadzenie sensu pracy do karmienia zyskiem firmy, akceptacja, że praca to żadna pasja, misja, przygoda, lecz pewien dyskomfort dla zdobycia środków do życia, kształtuje samoocenę i ocenę rzeczywistości dokonywaną przez pojedynczych ludzi. To wielka społeczna zmiana, której skutki dopiero poznajemy. Za wieloma z pozoru irracjonalnymi sympatiami politycznymi i decyzjami wyborczymi często kryją się bardzo osobiste, subiektywne emocje: poczucie nieważności i bezcelowości własnego życia.

Ewentualny bunt społeczny jest dziś neutralizowany przez coś, co nazywane jest konsumpcjonizmem kompensacyjnym. Wyprawa do galerii handlowej po nowy gadżet elektroniczny, siłownia albo joga o 11 wieczorem, przyswojenie w bezsenną noc sześciu odcinków serialu. Cotygodniowa godzina u psychoterapeuty za jedyne 350 zł. Powszechne wypełniacze niewielkich skrawków czasu, jakie ludziom pozostają po pracy. Nagradzają się oni w ten sposób – robią wreszcie coś dobrego. Dla siebie. A może i dla drugiego człowieka? Wszak dostarczają poczucia sensu wytwórcom smartfonów czy trenerom personalnym. Oraz psychoterapeutom, rzecz jasna.

EWA WILK

eprasa.pl 9ebcecf7a9

Miasto jak sklep z cukierkami

Rozmowa z prof. Janem Kazakiem o tym, jak projektować współczesne miasta, aby mogli w nich dobrze żyć i funkcjonować starsi ludzie.

© TOMASZ STERNICKI/FORUM

AGNIESZKA SOWA: **– Zespół pana profesora opracował raport z rekomendacjami dla miast, co powinny zrobić, żeby być miejscem przyjaznym dla seniorów. Państwa „Manifest" Światowa Organizacja Zdrowia publikuje na swojej stronie.**

JAN KAZAK: – Po polsku nazywaliśmy go apelem, ale po angielsku funkcjonuje jako „Manifest". Apel jest dokumentem programowym, który może być wykorzystany do stworzenia przyjaznych dla osób starszych środowisk miejskich, w których starsze osoby czują się mile widziane i cieszą się lepszą jakością życia. Obejmuje 10 kluczowych punktów, które przedstawiają poglądy osób starszych i przedstawicieli władz miasta na temat idei miast i społeczności przyjaznych osobom starszym, zgodnie z wytycznymi Światowej Organizacji Zdrowia.

WHO już w 2007 r. opracowała wytyczne, jak tworzyć miasta przyjazne seniorom. Wskazano kluczowe obszary, w których trzeba działać, np. transport, mieszkalnictwo czy przestrzenie publiczne, natomiast nie dostarczono żadnego instrumentu, jak zmierzyć, na ile jest dobrze, a na ile źle. I stąd nasz pomysł, że trzeba opracować instrumenty pomiarowe.

Zaczęliśmy od badań ankietowych, ponad 800 osób w Polsce: seniorzy z Wrocławia i Krakowa, a za granicą z Hagi i Bukaresztu. Potem, trochę na przekór utartemu poglądowi, że ludzie starsi nie radzą sobie ze światem cyfrowym, zaprosiliśmy ich do procesu tworzenia narzędzia cyfrowego wzorowanego na popularnej w niektórych miastach aplikacji „Napraw miasto" – czyli np. zrób zdjęcie połamanej ławki, napisz krótki komentarz i wyślij, żeby miasto wiedziało, że trzeba ją naprawić. Nasi seniorzy przez kilka miesięcy funkcjonowali z tą aplikacją, w trakcie swojej codziennej aktywności, spacerów czy zakupów. Robili zdjęcia, zarówno tego, co działa dobrze i powinno być częściej stosowane, jak i tego, co nie działa i jest dla nich problemem.

Były też warsztaty seniorów z przedstawicielami samorządów?

W trakcie realizacji projektu zorientowaliśmy się, że problem bardzo często polega na tym, że ludzie ze sobą nie rozmawiają. Urzędnicy nie wiedzą, czego oczekują mieszkańcy, a mieszkańcom wydaje się, że jak zgłosili problem, to w krótkim ▶

eprasa.pl 9ebcecf7a9

▶ czasie powinien zostać rozwiązany. Dlatego nasz projekt skupił się na usprawnieniu procesu zarządzania miastem, włączenia do niego samych seniorów.

Wrocław i Kraków dołączyły do sieci „age friendly cities". Co to za sieć?

To sieć miast pod egidą WHO. Kraków dołączył dwa lata temu, a Wrocław już w 2018 r. „Age friendly" oznacza, że miasta powinny być przyjazne ludziom w każdym wieku. W architekturze jest takie pojęcie: projektowanie uniwersalne. Ja to zawsze tłumaczę na przykładzie dostosowywania miast dla rowerów. Gdy dla rowerzystów zaczęto obniżać krawężniki, żeby przejazdy były wygodniejsze, to okazało się, że chętnie korzystają z nich również młodzi rodzice z wózkiem i osoby na wózku inwalidzkim. Ale także ludzie w pełni sił, ciągnący walizkę. Rozwiązanie stworzone z myślą o jednej grupie później w funkcjonowaniu okazuje się być wygodne dla wielu różnych grup. Seniorzy są swego rodzaju papierkiem lakmusowym – to, co tworzone jest z myślą o nich, przy okazji jest wygodne także dla innych mieszkańców. Np. miejsca odpoczynku zacienione przez drzewa. Kiedy mamy falę upałów powyżej 30 stopni, dla mnie to będzie komfortowe, że mogę sobie usiąść na ławce w cieniu. Ale gdyby nawet tej ławeczki nie było, też bym pewnie wyszedł z domu. Natomiast dla seniora, który ma problemy zdrowotne, dla którego zmęczenie i upał mogą oznaczać zawał serca, to może być czynnik zerojedynkowy, przesądzający o tym, czy pozostanie w domu.

Czy we Wrocławiu widać tę przynależność do sieci?

Moim zdaniem tak. W zeszłym roku przyjechał do nas dziennikarz z „The Guardian" i napisał o polskim podejściu do seniorów, innym niż na Zachodzie, gdzie częściej traktuje się ich jako grupę wymagającą pomocy. Akurat kiedy przyleciał, była we Wrocławiu inauguracja Wrocławskich Dni Seniora. Na naszym rynku stanęła ogromna scena, odbył się wielki marsz seniorów. Dziennikarz był wyraźnie zaskoczony, że w przestrzeni miejskiej można seniorów pokazać jako odważną, śmiałą grupę, która jest ważna w mieście. A nie tylko, że po cichu wyślemy im bony finansowe. To jest właśnie „Respect and social inclusion", czyli szacunek i tzw. włączenie społeczne, jeden z ośmiu obszarów niezbędnych według WHO, aby stworzyć „age friendly city".

Jakie to obszary?

Tylko trzy dotyczą infrastruktury, likwidacji barier architektonicznych w budynkach i środkach transportu. Więcej jest obszarów „miękkich", społecznych. Są też komunikacja i informacja. Miasto musi dotrzeć do wszystkich. I nie wystarczy fanpage na Facebooku. We Wrocławiu popularne są papierowe biuletyny cotygodniowe z informacjami o remontach, awariach, ale też z kalendarium imprez miejskich. Kolejne obszary to wsparcie społeczności lokalnej, usługi zdrowotne, włączenie obywatelskie i aktywność zawodowa, bo nie każda osoba w wieku emerytalnym przestaje pracować.

Przykładem najbliższym mojemu sercu jest mama, która też pracuje na uczelni. Od dziesięciu lat jest na emeryturze, ale cały czas mówi, że jest jeszcze za młoda, żeby na Uniwersytecie Trzeciego Wieku być słuchaczką, więc jest nauczycielką. Pamiętam, że mój dziadek wychodził głównie do ogródka, a babcia sporadycznie na zakupy do pobliskich sklepów. Teraz naprawdę dużo starszych osób uczestniczy w życiu swojej firmy, społeczności, miasta. A miasto przyjazne dla osób starszych jest trochę jak sklep z cukierkami. Wchodzi się i jest bardzo duża oferta, ale to ode mnie zależy, po który produkt będę chciał sięgnąć. Wrocław przypomina już taki sklep z cukierkami.

Pamiętam jednak rozmowę z seniorką, która prowadziła we Wrocławiu warsztaty dla osób starszych o tematyce bankowej i finansowej. Pochodzi z okolic Kłodzka i porównuje sytuację seniorów wrocławskich do tych z Kotliny Kłodzkiej – według niej ci we Wrocławiu są wręcz przebodźcowani. Oferta jest tak duża, że już nie wiadomo, co wybrać. Tylko że większość Polaków w starszym wieku nie mieszka w dużych miastach, nie ma zatem tak dużej możliwości wyboru.

A na wsiach nie tylko nie ma takiej oferty, ale najczęściej nie ma nawet chodników. Ale z tego, co pan mówi, wynika, że ważniejsze są obszary społeczne niż dostosowywanie przestrzeni publicznych.

Taki też wniosek płynie z naszych badań ilościowych. Mieszkalnictwo nie było wskazywane jako największe wyzwanie. Jeśli mam ograniczony budżet i muszę zdecydować, na co go wydać, to nie na budowanie wszędzie wind. Oczywiście, są tzw. więźniowie czwartego piętra, którym te windy trzeba montować – albo, jeśli to możliwe, zmienić ich miejsce zamieszkania. Pamiętam badanie przeprowadzone w Wielkiej Brytanii, gdzie seniorów z wiktoriańskich piętrowych domków przeniesiono do parterowych bungalowów. Jeden z uczestników tego badania, który po kilku latach mieszkania na parterze musiał gdzieś wejść po schodach, napisał: „Przeprowadzka do domu parterowego to najgorsza rzecz, którą można było mi zrobić, bo odcięła mnie od tej regularnej aktywności i pozbawiła umiejętności chodzenia po schodach". Rozwiązania architektoniczne trzeba dostosowywać do potrzeb.

Ale „starzejące się" miasta będą musiały się zmieniać?

Mówiąc o miastach dla seniorów, warto spojrzeć szerzej. To nie tylko podjazdy zamiast schodów, dodatkowe windy czy poręcze. Uważam, że jedną z najistotniejszych kwestii jest tworzenie osiedli międzypokoleniowych. Przemieszanie osób młodych, rodzin wychowujących dzieci i seniorów sprawia, że łatwiej im nawiązywać relacje społeczne. Przy takich rozwiązaniach międzypokoleniowych z większą uwagą projektuje się przestrzenie do integracji, zarówno w samych budynkach, jak i w ich otoczeniu. Innym rozwiązaniem, także pomagającym radzić sobie z samotnością wśród osób starszych, jest tzw. *co-housing* [od ang. *community housing*, czyli „wspólnota zamieszkania" – przyp. red.]. W Polsce pierwszy taki projekt ruszył w Rybniku. Seniorzy mogą zamieszkać razem i jako współlokatorzy dzielą się obowiązkami wspólnego mieszkania, wspierając się

Dr hab. inż. **Jan Kazak** – profesor Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu, z Wydziału Gospodarki Przestrzennej i Architektury Krajobrazu, specjalizujący się w dziedzinie zrównoważonego rozwoju, rozwoju miast oraz zarządzania środowiskiem. Wraz ze swoim zespołem cztery lata temu otrzymał grant w ramach Urban Europe, konkursu, który wspiera innowacyjne badania oraz projekty dotyczące wyzwań i szans związanych z rozwojem miast w Europie. Zespół prof. Kazaka skupił się na problemie starzejących się miast – przygotował projekt pozwalający na włączenie seniorów w proces zarządzania miastem. Dzięki temu powstał specjalny raport z rekomendacjami dla miast.

© UNIWERSYTET PRZYRODNICZY WE WROCŁAWIU, TOMASZ KACZOR/MUZEUM WARSZAWY 2025 (2)

eprasa.pl 9ebcecf7a9

i towarzysząc sobie. To dobre rozwiązanie, nie wiem jednak, czy przyjmie się u nas, bo Polacy są bardzo przywiązani do posiadania własnego domu, a rozwiązania wspólnotowe nie są u nas tak popularne jak w innych krajach.

A poza domem? Co jest potrzebne na ulicach, placach czy w parkach, żeby seniorzy czuli się tam dobrze?

W zakresie przestrzeni publicznych najważniejszym elementem, o którym mówią uczestnicy naszych badań, jest zieleń. I mam na myśli tutaj nie tylko parki, które są miejscem spacerów i odpoczynku. Chodzi też o zieleń wzdłuż drogi, która da cień i ułatwi poruszanie się w upalny dzień – dzięki czemu starsi ludzie nie będą więźniami własnego domu. To szersze zagadnienie tzw. biofilii w architekturze, która wiąże się z tym, że człowiek chce obcować z naturą, również ze względu na jej działanie terapeutyczne. Nie wszędzie da się zasadzić drzewa, alternatywnym rozwiązaniem są chodniki w podcieniach budynków. Dają nie tylko cień, ale też chronią przed deszczem.

Poza ułatwieniami architektonicznymi na świecie stosuje się także innowacyjne rozwiązania informatyczne. Problemem dla seniora jest np. zbyt krótki czas, w którym świeci się światło zielone na przejściach dla pieszych, więc np. w Singapurze starsi ludzie mogą skorzystać z kart zbliżeniowych, które ten czas wydłużają.

W wieku senioralnym oprócz ewentualnych ograniczeń fizycznych dochodzi także kwestia zdolności poznawczych. Jest sporo prac w zakresie projektowania przyjaznego osobom z demencją. Takie rozwiązania mają ułatwiać nawigację w przestrzeni i rozpoznawanie drogi. Ważne tu jest np. uwzględnianie charakterystycznych punktów orientacyjnych, spójnej kolorystyki oraz odpowiedniego oświetlenia. Badania nad projektowaniem przyjaznym osobom z demencją dotyczą zarówno przestrzeni publicznych, jak i układów wewnątrz budynków.

Co sprawiło, że młody człowiek zajmuje się problematyką senioralną?

Takie samo pytanie zadała mi uczestniczka grupy fokusowej podczas mojego pierwszego wywiadu z seniorami w 2018 r. w Australii. Zażartowałem, że w moim kraju jest tak dużo do zrobienia, że muszę zacząć już teraz, żeby do mojej emerytury udało się zdążyć chociaż trochę zdziałać.

ROZMAWIAŁA AGNIESZKA SOWA

SENIOR W WIELKIM MIEŚCIE

Jedna z prac pokazywanych w ramach wystawy: trening bokserski dla osób z chorobą Parkinsona. Poniżej: **kadr z filmu Franciszka Orłowskiego „I raz, i dwa", poświęconego kreatywnym działaniom osób starszych, oraz stół z obrusem do wspólnego haftowania.**

Czy Warszawa jest miastem dla osób w każdym wieku? Czy potrafimy wyobrazić sobie starość, która nie jest problemem, ale naturalnym i ważnym etapem życia? Jakie jest miejsce osób starszych w życiu miasta? To pytania, na które odpowiadają twórcy wystawy „Starsze miasto" w Muzeum Woli w Warszawie. POLITYKA, która od blisko roku prowadzi cykl „Odchodzić po ludzku", objęła patronatem to wydarzenie. Wystawa odbywająca się w ramach 17. edycji festiwalu Warszawa w budowie otworzyła się 26 września i będzie ją można zobaczyć do 29 marca 2026 r. Przez temat starości prowadzą nas prace m.in. Władysława Hasiora, Zbigniewa Libery, Moniki Mamzety, Romana Opałki czy Agaty Zbylut. Specjalnie na wystawę powstały prace Janusza Byszewskiego i Mariusza Libla, związanego z Grupą Twożywo, Ewy Cieniak, Magdy Mosiewicz, Franciszka Orłowskiego i Liliany Zeic. Część wystawy została przygotowana we współpracy z osobami starszymi. A konkretnie – z grupami seniorskimi, członkiniami i członkami klubu działającego przy Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie. Muzeum zależy, aby pokazać autentyczną i wielowarstwową opowieść o tym, jak seniorzy widzą zarówno siebie, jak i przestrzeń miejską, w której żyją.

ODCHODZIĆ PO LUDZKU

Wszystkie materiały, które ukazały się dotychczas w ramach cyklu „Odchodzić po ludzku", znajdą Państwo w zakładce na naszej stronie: **www.polityka.pl/odchodzicpoludzku**
Zachęcamy też do dzielenia się z nami swoimi opiniami i doświadczeniami: **akcja@polityka.pl**

eprasa.pl 9ebcecf7a9

Kręgi męskich lęków

W męskim kręgu możesz zostać wysłuchany i otrzymać wsparcie. Takich inicjatyw jest już kilkaset w Polsce. I szybko ich przybywa.

AGNIESZKA GIERCZAK-CYWIŃSKA

ILUSTRACJA MARTA FREJ

Tczew, Pabianice, Białystok, Koszalin, Radom, Olsztyn, Kłodzko. Warszawa – co najmniej kilkanaście, do wyboru. W największych miastach – krąg co tydzień. Tylko Fundacja Masculinum, która zaczęła organizować męskie kręgi kilka lat temu, dziś prowadzi ich ponad 300 dla ok. 4 tys. mężczyzn. Ponieważ zainteresowanie wciąż rosło, od kwietnia 2024 r. fundacja organizuje szkolenia dla mężczyzn, którzy chcieliby zostać moderatorami kręgów. Po roku absolwentów kursu było już 90, do końca 2025 r. będzie ponad dwa razy tyle.

Nazwa „krąg" bierze się od formuły spotkania. Bo jest najzwyczajniej, jak to tylko możliwe: w jednym wspólnym kręgu, wprost na podłodze. Ale sednem jest sposób, w jaki się rozmawia – bądź słucha. W tym sensie krąg to coś pomiędzy psychoterapią grupową a formułą sięgającą korzeniami do spotkań starszyzn w wielu kulturach. Zaczyna się tzw. rundką początkową, czyli każdy krótko mówi, z czym przychodzi. Wybierane są tematy zgłoszone przez uczestników lub zaproponowane przez prowadzącego, i stają się przewodnimi motywami danego spotkania.

Kręgi mogą być zamknięte (nikt nowy nie może dołączyć) lub otwarte; mogą też spotykać się regularnie lub jednorazowo. Choć organizatorzy są różni, obowiązują te same zasady: poufność, brak oceniania i dawania rad, mówienie w pierwszej osobie, uważne słuchanie, równość, trzeźwość podczas spotkania, nieporuszanie tematów związanych ze światopoglądem, religią czy polityką. Uczestnikami kręgów zwykle są dojrzali mężczyźni około czterdziestki, którzy – jak podkreśla Maciej Franczuk, od półtora roku prowadzący kręgi Masculinum w Poznaniu i Bydgoszczy – już dostali „kopa" od życia, poznali smak jakiejś porażki. Ale ograniczeń wiekowych nie ma, zdarzają się zarówno 20-, jak i przeszło 60-latkowie. – *Wśród nas są pisarze, dziennikarze, biznesmeni, mechanicy, budowlańcy, bezrobotni, chudzi, grubi,*

eprasa.pl 9ebcecf7a9

wielcy kolesie przerzucający tony żelastwa na siłowni i drobni, cisi, spokojni i przebojowi – dodaje 49-letni Witold, uczestnik kręgów. – *I każdy z nas ma jakieś 60 proc. tych samych problemów co reszta. Nie było kręgu, z którego wyszedłbym z poczuciem, że nie przeżyłem czegoś podobnego co ci goście, różnice były najwyżej w szczegółach.*

Na samotność

Idea kręgów narodziła się w latach 80. i 90. XX w. w USA, gdy gwałtownie zmieniły się wzorce kobiecości, co pośrednio wymusiło przedefiniowanie pojęcia męskości. Przypominające psychoterapię grupową, ale i nawiązujące np. do kultur rdzennych Amerykanów, spotkania mężczyzn stawały się coraz popularniejsze. Miały różne formy i tematy przewodnie, np. ojcostwo, związki, duchowość, emocje. Początki w Polsce były spontaniczne i oddolne. Inspirowane literaturą i zagranicznymi warsztatami rozwojowymi.

Ale to nie tyle zmiany ról płciowych spowodowały zadziwiającą karierę kręgów, ile efekt tego zjawiska – charakterystyczna dla współczesności, nie tylko w Polsce, ogromna męska samotność. Gdy jedna z użytkowniczek serwisu Reddit zadała pytanie: „Czy wasi ojcowie mają jakichkolwiek przyjaciół?", przytłaczająca większość komentujących odpisała, że nie, ojcowie nie utrzymują kontaktów z nikim poza najbliższą rodziną. Niektórzy kiedyś mieli przyjaciół, ale ci gdzieś się rozpłynęli. Mają co najwyżej znajomych, głównie z pracy, z którymi rozmawiają o pracy. Część ojców wżeniła się nie tylko w rodzinę, ale i w przyjaciół żony, i to ona organizuje im wspólne życie towarzyskie, dba o relacje.

Socjologów i psychologów takie odpowiedzi nie dziwią – to kobiety od dzieciństwa są socjalizowane do większej wrażliwości, otwartości na drugą osobę, nawiązywania relacji. A chłopców społeczeństwo wychowuje na komunikatach: nie płacz, nie okazuj słabości oraz – co ważne w kontekście przyjaźni – radź sobie sam, walcz, rywalizuj. Dlatego relacje nawiązane w młodości mogą się z wiekiem rozpadać, i tylko w pewnym stopniu zastępują je relacje z partnerkami.

A z wiekiem, np. po rozstaniu czy w kryzysie psychicznym, mężczyźni odkrywają, że bycie samotnym wilkiem to fikcja. – *Oczywiście gdy zadzwonisz do kumpla, któremu powiesz, że masz problem, ten zapewni: „Jasne, wpadaj, napijemy się wódeczki i pogadamy!". Tylko to „pogadamy" oznacza zwykle, że będziemy rozmawiać o jakichś pierdołach, o wszystkim innym, tylko nie tym, co nas naprawdę boli* – mówi Witold. – *Gorszą rzeczą od tego, że zwierzysz się komuś z trudnej, intymnej sytuacji, a on cię odrzuci, wyśmieje czy zbagatelizuje problem, jest to, że zrobi to ktoś, kogo nazywasz przyjacielem. Bezpieczniej więc nawet nie podejmować trudnych tematów.*

43-letni Bartosz dodaje, że krąg zapewnia warunki do tego, żeby zostać wysłuchanym. – *Zwykłe spotkania przy piwie często opierają się na żartach, ironii czy półsłówkach, rywalizacji, kto kogo lepiej zripostuje. A w kręgu możesz odsłonić swoje „miękkie podbrzusze", nie obawiając się ciosu z czyjejś strony.*

Przestrzegania reguł pilnuje moderator, który organizuje krąg. Jednocześnie jest równoważnym członkiem kręgu, jego zdanie nie jest ani bardziej, ani mniej ważne od opinii pozostałych uczestników. Bo – co należy podkreślić – męski krąg to nie psychoterapia i nie grupa terapeutyczna, a moderator nie musi mieć wykształcenia psychologicznego czy większej wiedzy o procesach grupowych. Krąg z dnia na dzień może zwołać każdy.

Tym bardziej, słysząc po raz pierwszy hasło „męski krąg", można być sceptycznym. Niektórym kojarzy się z modnymi niedawno kursami uwodzenia, opartymi w dużym stopniu na seksizmie i manipulacji. Kobiety obawiają się, że takie spotkania mają wzmacniać męską dominację, a ich uczestnicy tylko nakręcają się w obwinianiu kobiet o wszystkie swoje życiowe trudności. – *Oczywiście może się zdarzyć, że na kręgu dojdzie do takich niepokojących sytuacji, wiele zależy tutaj od prowadzącego, który może mieć ambicje bycia guru. Nie ma żadnej regulacji prawnej dotyczącej spotkań męskich kręgów* – podkreśla Joanna Czaplińska, psychoterapeutka EMDR. – *Tylko że takie sytuacje mogą dotyczyć także kręgów kobiecych, które są o wiele popularniejsze. Mężczyźni też mają obawy, że podczas takich spotkań kobiety spiskują przeciwko nim – wiemy to już od czasów palenia na stosie czarownic, które tak przerażały mężczyzn. Ta obawa przed grupami homogenicznymi zawsze była, choć najczęściej nie ma uzasadnienia.*

Joanna Czaplińska zwraca uwagę, że wprowadzenie wymogu, aby moderatorem był psycholog, mocno ograniczyłoby liczbę kręgów, zwłaszcza w mniejszych miejscowościach. A to właśnie tam kręgi są szczególnie potrzebne.

Na kryzys

Statystyki pokazują, że samobójstwa częściej popełniają mężczyźni z mniejszych miejscowości niż dużych miast (jak wynika z danych Komendy Głównej Policji, codziennie w Polsce życie odbiera sobie 13 osób, a 11 z nich to mężczyźni (więcej pisała na ten temat Katarzyna Kaczorowska w tekście „Jak podać rękę", POLITYKA 11). To oni dekadami duszą w sobie emocje, żyją latami z depresją. Tacy mężczyźni na terapię raczej nie pójdą ze względu na jej koszty i poczucie wstydu. Ale męski krąg nie brzmi już tak strasznie. – *Na kręgu mam chłopaków, którzy ze łzami w oczach mówią: „Maciej, gdybym tu nie przyszedł, tobym ze sobą skończył". Samotność mężczyzn jest niewyobrażalna* – mówi Maciej Franczuk. – *Kręgi są tym brakującym ogniwem między samotnością a pójściem na terapię. Często chłopaki przychodzą na kręgi, przekonują się, że są ludzie, przed którymi mogą się bezpiecznie otworzyć, a potem idą na terapię. Nareszcie bez lęku i strachu.*

Na kręgach nie ma obowiązku mówienia. Jak wyjaśniają moderatorzy, niektórym uczestnikom podzielenie się swoimi historiami może zająć kilka miesięcy (spotkania odbywają się średnio co trzy–cztery tygodnie), choć zwykle szybciej się przekonują, że znaleźli się w bezpiecznym miejscu. – *Faceci, którzy przychodzą na kręgi, chcą mówić, tylko muszą pokonać ten początkowy stres. Niejeden świeżak na początku stwierdza, że właściwie to u niego wszystko OK, a na krąg przyszedł z ciekawości* – mówi Witold. – *W czasie spotkania jest w szoku, że facet może mówić o swoich uczuciach. I nikt go nie wyśmiewa, nie wymądrza się, nie potępia. Na koniec taki świeżak mówi: „Kurde, chłopaki, nie wiedziałem, że tak można. No to ja już następnym razem coś wam powiem".*

Dla wielu mężczyzn bezpośrednim impulsem do przyjścia na takie spotkanie są problemy w związkach, ale także trudne relacje z rodzicami bądź dziećmi, konflikty w pracy, wypalenie itd. Ale dość częstym powodem jest też poczucie braku wokół siebie bliskich mężczyzn i męskich wzorców. – *Nie mam problemów z mówieniem o swoich uczuciach. To pewnie konsekwencja tego, że ojciec odszedł, gdy miałem sześć lat, wychowywała mnie mama, byłem blisko z ciotkami i kuzynkami* – mówi 30-letni Marcin, uczestnik kręgów. – *Pamiętam* ▶

eprasa.pl 9ebcecf7a9

▶ *moment, gdy poczułem coś w rodzaju buntu. Jechałem tramwajem, słuchałem podkastu psychologicznego. Usłyszałem, że prowadząca zwraca się do słuchających, jakby to były same kobiety, używała tylko żeńskich końcówek. Wkurzyłem się! Zdałem sobie sprawę, że większość treści psychologicznych, które mnie interesują, tworzą kobiety. I robią to świetnie, ale ja potrzebuję też męskiego spojrzenia, męskiej energii.*

Na rozwój

Jedną z inspiracji podczas powstawania idei kręgów była jungowska koncepcja animy (archetyp żeński) i animusa (archetyp męski). Według niej każdy człowiek nosi w sobie oba aspekty, a dojrzałość polega na ich integracji. Brak kontaktu z animą sprawia, że mężczyzna bywa odcięty od emocji i intuicji, a brak animusa czyni kobietę bezsilną i zależną. Męskie kręgi uprościły ten język, dodały szczyptę filozofii Wschodu. Zamiast mówić o animie i animusie, używa się pojęć „męska energia" i „żeńska energia".

Jak podkreśla dr Kamil Janowicz, psycholog związany z Centrum Badań nad Rozwojem Osobowości Uniwersytetu SWPS, z punktu widzenia współczesnej psychologii to konstrukty trudne do naukowego zweryfikowania. Zalecałby traktować je jako metaforę cech, z których możemy się składać. – *Krąg może być przestrzenią do integrowania różnych kawałków swojej tożsamości, aby zobaczyć, że można być mężczyzną spełnionym, realizując swoją męskość w osobisty sposób. Można chodzić na mecze piłkarskie, ale jednocześnie kochać gotowanie i mieć fajny kontakt z dziećmi. Można robić karierę i jednocześnie być czułym, wzruszać się na komediach romantycznych. To nie są wykluczające się rzeczy, to mogą być części mnie* – podsumowuje dr Janowicz.

Skoro – jak już wspomnieliśmy – lepsze w rozmawianiu o emocjach są kobiety, może mężczyźni powinni im się zwierzać? Co za różnica, komu opowiemy naszą historię, ważne, byśmy zostali wysłuchani i przyjęci. Marcin nie tylko wychowywał się wśród kobiet, lecz nawet dziś jego najlepszym przyjacielem jest przyjaciółka. – *Wiem, że mogę jej powiedzieć wszystko, ale w rozmowach na niektóre tematy, np. relacji z kobietami, czasem czuję się lepiej rozumiany przez mężczyzn. Jest prościej.*

Joanna Czaplińska dodaje, że kobiety i mężczyźni inaczej się komunikują. Wiąże się to z socjalizacją, ale i z różnicami biologicznymi. Nie chodzi tylko o to, że mamy inne poziomy hormonów, co może wpływać na ekspresję. – *To, że mężczyźni mało mówią o sobie, można wiązać też z tym, że statystycznie chłopcy zaczynają mówić później niż dziewczynki. Różnice międzypłciowe istnieją i mają wpływ na nasze zachowanie.*

Nasi rozmówcy uczestniczący w kręgach zaznaczają, że spotkania w formule żeńsko-męskiej nie dałyby im tego samego, co otrzymują w męskiej. Trudniej byłoby się im odsłonić, aby nie wyjść na niemęskiego lub przeciwnie – na agresora, który nie radzi sobie ze swoją złością. Choć coraz częściej pojawiają się warsztaty dla kobiet pod hasłem „Uwolnij swoją złość", ta męska bywa spychana, ukrywana za parawanem wstydu. Także przez samych mężczyzn, którzy np. nie chcą być jak ich agresywni ojcowie. A przecież bez poczucia złości trudno być asertywnym, bronić swoich granic. Na kręgach mężczyźni mogą zobaczyć, jakie skutki wywołuje zarówno ta niepohamowana, jak i zduszona złość, i znaleźć swój sposób na jej zdrowe wyrażanie.

Na przyszłość

Nieformalnym manifestem męskich kręgów stała się książka Roberta Blya „Żelazny Jan. Rzecz o mężczyznach". Amerykański poeta i eseista sięgnął do baśni braci Grimm o dzikim człowieku – tytułowym Żelaznym Janie – i uczynił z niej metaforę męskiej inicjacji, której brak współczesnym chłopcom, bo ojcowie i szeroko pojęta starszyzna nie wprowadzają ich w świat dorosłych. Nie ma już postrzyżyn, przejścia chłopca spod opieki matki pod opiekę ojca, który uczył syna, jak być mężczyzną. W Polsce od pokoleń opieką nad dziećmi i zarządzaniem domem zajmują się matki, które przekazują swoje wzorce. Jak w „Prześnionej rewolucji" pisał Andrzej Leder, w sferze politycznej panuje u nas patriarchat, ale w społecznej – matriarchat.

– *Jak wielu polskich mężczyzn pochodzę z domu, w którym ojciec był obecny fizycznie, ale nie emocjonalnie. Po pracy jadł obiad i szedł do piwnicy lub garażu, bo tam mieszkał jego najlepszy przyjaciel: święty spokój* – wspomina Maciej Franczuk. – *Wracał, kładł się spać, a rano wstawał do pracy. Nie angażował się w życie rodzinne, nie pamiętam, by chodził z mamą pod rękę. Jakie mógł mi przekazać męskie wzorce?*

Marcin podkreśla, że dla niego uczestnictwo w męskich kręgach jest sposobem na chociaż częściowe zakopanie dziury, którą w jego życiu wywołało odejście ojca, gdy był małym chłopcem. – *Na kręgu nieraz usłyszałem słowa, które chciałbym usłyszeć od ojca.*

Różnorodność na kręgach postrzegana jest jako zaleta (otwarte są także dla mężczyzn nieheteronormatywnych). Dzięki temu uczestnicy mogą eksplorować męskość, co rozumieją jako poznawanie różnych jej przejawów. Zastanowić się, które są im bliskie, a które niekoniecznie, i co jest tego przyczyną. Bartosz: – *Popkultura i społeczeństwo oferują mnóstwo męskich wzorców: macho, alfa, paker, sigma, nieudacznik itd. Dzięki kręgom patrzę mniej stereotypowo, nie postrzegam innych mężczyzn jako rywali czy zagrożenie, ale ludzi, którzy też są poranieni, mają traumy i nieraz kryją się za fasadami, bo wierzą, że to ich ochroni.*

Coraz częściej to sami psychoterapeuci polecają pacjentom męskie kręgi jako przestrzeń do wyrażania siebie i znalezienia odpowiedzi na to, kim się właściwie jest, także gdy wchodzi się w nową życiową rolę. – *Zostanie tatą jest dla mężczyzny często momentem, gdy zaczyna się konfrontować z własną męskością, ponieważ pojawia się wątpliwość, czy będzie w stanie być dobrym i zaangażowanym ojcem, jeśli sam nie miał takiego wzorca. Takie psychoedukacyjne inicjatywy jak kręgi, mające luźniejszą formę niż psychoterapia, są świetną przestrzenią, żeby się z tym zmierzyć* – mówi dr Janowicz.

Uczestnicy nie muszą ograniczać swoich relacji do oficjalnych spotkań kręgu, choć niektórzy preferują oddzielenie ich od życia prywatnego. Inni zakładają np. grupy na komunikatorach, organizują męskie wypady, wspierają się na co dzień. A to daje poczucie bycia – w naszym zindywidualizowanym świecie – częścią czegoś większego, przynależności do drużyny. W końcu wilk to stadne zwierzę.

AGNIESZKA GIERCZAK-CYWIŃSKA

KUP TERAZ

Więcej przeczytasz w wydaniu cyfrowym **„PRZYJAŹŃ. JAK ZDOBYĆ, UTRZYMAĆ, NIE ZEPSUĆ"** **na polityka.pl**

eprasa.pl 9ebcecf7a9

© DMYTRO ZINKEVYCH/SHUTTERSTOCK

Piękne, ale boczne ścieżki

Edukację o przyrodzie i klimacie w polskich szkołach animują pasjonaci i organizacje pozarządowe. Bo sama teoria na lekcjach to za mało, żeby wychować odpowiedzialnych obywateli świata.

Anna Ruszczak, nauczycielka ze Strzelec Krajeńskich, mówi tak: – *Żeby w dzieciach z naszej szkoły obudziło się zainteresowanie przyrodą, najpierw musiały zobaczyć u mnie ciekawość i zachwyt.* Przyrodnicza pasja Anny rozrastała się cichutko przez lata w zaciszu przydomowego ogrodu. Wystrzeliła w lockdownie, kiedy było więcej czasu na obserwację roślin. I na zastanowienie: dlaczego pachnące hiacynty wysadza się właśnie w marcu? Dlaczego dobroczynna werbena potrzebuje akurat lekko – ale nie nadmiernie – kwaśnego podłoża?

Anna z wykształcenia nie jest przyrodniczką, lecz teolożką. Uczy religii w Szkole Podstawowej nr 1 w swojej gminie. Aby przenieść swoje przyrodnicze zachwyty do szkolnej klasy, musiała pokonać wiele barier. Także własną niepewność i obawy.

Najpierw poza swoją specjalizacją, po godzinach, prowadziła dla dzieci zajęcia o tym, jak się uczyć. Potem namówiła koleżankę, wychowawczynię klas 1–3, do wspólnego udziału w programie Planeta Energii. – *Hasło „nauka przez zabawę", i to z elementem przyrodniczym, dokładnie odpowiadało temu, co chciałyśmy razem robić: pracować z dziećmi poza murami szkoły, prowadzić lekcje w przyrodzie i na spacerach.* Pod kierunkiem nauczycielek uczniowie wręczali ulotki przechodniom, zachęcając do troski o krajobraz, maszerowali przez miasto z transparentami i zbierali drobne przyrodnicze skarby do pudełek po zapałkach. Akcje były tak spektakularne, że podstawówka z Lubuskiego otrzymała jedno z wyróżnień w 12. edycji programu.

Teoria nie uwrażliwia

I wtedy przyrodnicza edukacja w szkole rozkręciła się na dobre. Nauczycielka namówiła dyrekcję, żeby za wygrane 10 tys. zł (na zorganizowanie Strefy Bioróżnorodności) zbudować w szkole ogród deszczowy w 17-metrowym pojemniku. Okolicę nękają susze. Stworzenie systemu pobierania wody opadowej i magazynowania jej przez rośliny hydrofitowe o grubych kłączach, by oczyszczona wracała do gleby, miało znaczenie nie tylko edukacyjne. Sprawdziło się też jako praktyczna inspiracja dla mieszkańców, jak można reagować na wyzwania związane z klimatem.

Podobne projekty w wielu szkołach wprowadza się bocznymi ścieżkami m.in. dlatego, że edukacja ekologiczna (czy też – jak woli mówić część nauczycieli – edukacja o przyrodzie i klimacie) w podstawie programowej istnieje w wymiarze szczątkowym i czysto teoretycznym. – *Co ma np. takie skutki, że ponad połowa Polaków nie wierzy, że zmiany klimatyczne są skutkiem działalności człowieka* – zauważa dr Karol Dudek-Różycki, przewodniczący Polskiego Stowarzyszenia Nauczycieli Przedmiotów Przyrodniczych, nawiązując do badania Eurobarometru z 2024 r. Pokazało ono także, że gotowość, by zrzucać z ludzi odpowiedzialność za klimatyczne turbulencje, jest u nas dużo większa niż przeciętnie w Unii Europejskiej (w całej UE przekonanie, że zmiany klimatu są „w większości spowodowane naturalnymi cyklami", podziela tylko 35 proc. osób). A w dodatku rośnie.

Niestety w wielu szkołach obecność „żywej przyrody" sprowadza się do rozdawania dzieciom świeżych pomidorków i marchewek w foliowych woreczkach. Które pod koniec dnia lądują w kontenerach na odpady niesegregowane. Rozwój świadomości dzieci w tych okolicznościach często zależy od zaangażowania ich rodziców i organizacji pozarządowych. – *Jedyną*

eprasa.pl 9ebcecf7a9

dłuższą rozmowę o odpowiedzialności ekologicznej mieliśmy w Ekocentrum Punkt Zwrotny na Pradze. Tata kolegi namówił naszą wychowawczynię, żebyśmy tam poszli na zajęcia. Zamknęli nas w escape roomach, gdzie trzeba było rozwiązywać różne multimedialne zagadki i zadania. Wszystko dotyczyło tematyki fast fashion – opowiada Bartek, ósmoklasista ze szkoły na warszawskim Mokotowie. I dodaje, że było super: – *Ja akurat rzadko sam kupuję ubrania, ale dziewczyny z klasy mówiły, że po tej wycieczce bardziej się zastanawiają, czy brać z półki w sklepie kolejny T-shirt, czy dadzą radę bez niego.* Klara, z tej samej szkoły, miło wspomina wiosenne popołudnie, gdy klasowe mamy przyniosły kilka palet bratków, stokrotek i narcyzów. – *Zasadziliśmy je przed szkołą na trawniku. Ale co się z tymi kwiatkami potem działo, nie wiem. Chyba zajmowały się nimi panie woźne, myśmy nie mieli czasu* – przyznaje.

Karol Dudek-Różycki podkreśla, że dziecięcy mózg nie przyswoi zasad rządzących przyrodą i klimatem, ucząc się w sposób teoretyczny. – *Kilkulatki muszą zobaczyć liście rośliny dotkniętej chlorozą wywołaną przez wyjałowioną glebę. Muszą zobaczyć pyły zawieszone, przyczepione do kawałków taśmy klejącej przy ruchliwej drodze, i porównać, jak wygląda taka sama taśma przy łące. Muszą szukać kasztanów i tworzyć z nich ludziki, babrać się w błocie, czuć na twarzy zimno w czasie mrozu i krople deszczu, gdy pada.* Dopiero po takich doświadczeniach nastolatki mogą pojąć makrozależności prowadzące do efektu cieplarnianego i topnienia lodowców. Ale podstawową koniecznością jest wychodzenie na zewnątrz.

Zachwyt zamiast strachu

Tymczasem – jak wynika z badań dr Joanny Godawy z Wydziału Nauk Społecznych Uniwersytetu Śląskiego przeprowadzonych w kilkuset rodzinach z całej Polski – w dni robocze 20 proc. dziewczynek i chłopców spędza na dworze maksymalnie sześć minut dziennie. Dwie trzecie jest na zewnątrz od pół godziny do dwóch godzin, a więc średnio najwyżej 24 minuty. Dłużej rusza się na powietrzu ledwie 14 proc. dzieci.

Jak przyznaje sama naukowczyni, te wyniki tak ją poruszyły, że postanowiła spróbować coś zmienić. Najpierw namówiła kierownictwo i rodziców dzieci z przyszkolnej zerówki, w której pracowała, na organizację tzw. leśnych piątków. – *Co tydzień zabieraliśmy dzieciaki, przy wsparciu grupowych mam lub ojców, na dwu-, trzygodzinne spacery.* Joanna mieszka i pracuje w jednej z najpiękniej położonych miejscowości turystycznych na południu Polski. Mimo to przekonanie dorosłych do pomysłu wymagało wysiłku. Szybko jednak się okazało, że jeden z głównych powodów dystansu rodziców, czyli wizja ciągłych infekcji dzieci, jakoś się nie sprawdza (za to po wycieczkach rosły apetyty). W lesie przedszkolaki dostawały zadania: czasem – żeby na coś sobie popatrzeć, czasem – żeby wypełnić kartę pracy. Czasem słuchały opowieści leśników, a czasem, zimą, po prostu zjeżdżały na jabłuszkach. Joanna sama była zaskoczona, jak wyraźnie te doświadczenia odbijały się w pracach plastycznych podopiecznych. Las na stałe znalazł miejsce w ich wyobraźni.

Z czasem pedagożka przeniosła się do pracy w lokalnej bibliotece. I dostrzegła tam co najmniej równie dobre warunki, żeby zaszczepiać w dzieciach zachwyt. Bo uważa, że właśnie o to tu chodzi. – *W publicznych naukowych dyskusjach o klimacie mówi się już niemal wyłącznie w kategoriach katastrofy. Ale przecież nie ma sensu rozmawiać w ten sposób z kilkulatkami. Lepiej, korzystając też z książek jako inspiracji, szukać tego, co rozwija w dzieciach sprawczość i daje nadzieję.*

Świetnie wyczuł to np. Adam Wajrak, który (jako jeden z licznych gości) odwiedzał biblioteczny Klub Czytelniczy. – *Gdy rozmowa tradycyjnie zaczęła zmierzać w kierunku tego, jak bardzo jest źle, nagle rzucił: „Ale przecież rośnie populacja wróbli. Po latach zaczęły wracać do miast!"* – relacjonuje Godawa. Edukatorki z biblioteki zaczęły zapraszać znanych pisarzy, by w trakcie spotkań z dziećmi w Klubie Czytelniczym na tarasie gmachu sadzili wybrane rośliny. Grzegorz Kasdepke i Agata Romaniuk wkopali piękne berberysy, a Michał Rusinek – borówkę, nazwaną Ichną na cześć Wisławy Szymborskiej, na którą tak w dzieciństwie mówili rodzice.

Także Anna Ruszczak, pracująca na przeciwległym krańcu Polski, przekazuje dzieciom, że dbałość o przyrodę to bardzo różne działania w wielu sferach życia. Żeby lepiej uzmysłowić to uczniom, zaprosiła ich do stworzenia na terenie gminy użytku ekologicznego. – *To obszar objęty ochroną: niewielki, ale cenny przyrodniczo. Jego powołanie to wieloetapowa praca, obejmująca liczne formalności.*

Podopieczni Anny najpierw fotografowali i opisywali rzadkie gatunki roślin i zwierząt w okolicach oczka wodnego. Zamontowana fotopułapka uchwyciła czaplę siwą, łyski, kukułki i modraszki, a także przedstawiciela sympatycznego, lecz inwazyjnego gatunku – szopa pracza. Dzieci nagrały też megabajty odgłosów takich jak terkot chronionej rzekotki drzewnej. Zaproponowały konkretne formy ochrony, powołując się na stosowne punkty rozporządzenia ministra. – *Dla niektórych członków naszej grupy największym wyzwaniem okazywało się złożenie w sekretariacie urzędu wniosku i wypowiedzenie prośby o przystawienie urzędowej pieczątki na jego kopii* – relacjonuje nauczycielka.

Tylko w połączeniu

To doświadczenie pokazało uczniom, jak bardzo kompleksową i złożoną misją jest ochrona przyrody. I jak często – jednak – trudną. Bo wypracowywany przez pół roku przez młodzież projekt na razie nie doczekał się uznania decydentów. Użytek dotychczas nie powstał. Z czego też płynie nauka – o tym, jak zatroskani o świat ludzie są zależni również od siebie nawzajem.

Być może młodym Polkom i Polakom te wszystkie połączenia wkrótce będzie łatwiej zrozumieć także za sprawą szkolnych lekcji. Od września 2026 r. do szóstej klasy szkoły podstawowej uczniowie mają poznawać przyrodę w sposób zintegrowany, bez podziału na biologię i geografię. Zajęcia częściowo będą zblokowane, żeby łatwiej było organizować wyjścia na zewnątrz. Gorzej, że kilkulatki, według aktualnych urzędowych planów, mają obowiązkowo wychodzić z przedszkoli tylko raz na tydzień. Szkoda byłoby, gdyby ten zamysł się utrzymał, bo hodowla w warunkach cieplarnianych zdecydowanie nie służy małym dzieciom.

Joanna Cieśla

eprasa.pl 9ebcecf7a9

Włączmy dzieci do dbania o wodę i przyrodę razem z Planetą Energii

Zmiany klimatu coraz wyraźniej wpływają na pogodę i nasze otoczenie - możemy temu przeciwdziałać.

Jesteśmy świadkami wahań temperatur, nawałnic i burz – jednocześnie coraz częstsze stają się susze i niedobory wody. Z inicjatywy firmy Energa powstał program Planeta Energii – dzięki niemu zaangażowani nauczyciele i rodzice mogą wyjaśniać dzieciom, jak działa natura, i wpoić im nawyki, które pozytywnie wpływają na otoczenie.

Woda ma fundamentalne znaczenie dla klimatu i przyrody

Na co dzień trudno zauważyć, jak bardzo przyroda się zmienia. Wydaje się, że lasy, łąki czy stawy wyglądają tak samo jak zawsze. Tymczasem naukowcy szacują, że aż 85% polskich torfowisk zostało odwodnionych lub zniszczonych. To poważny problem, bo mokradła działają jak naturalne gąbki – magazynują wodę, spowalniają jej odpływ i chronią przed suszą. Kiedy ich brakuje, szybciej wysychają rzeki i stawy, a zwierzęta tracą swoje domy.

W tegorocznej, czternastej edycji Planety Energii organizatorzy skupiają się na niezwykłej roli wody w przyrodzie i klimacie. Dzieci odkryją tajemnice ekosystemów wodnych i podmokłych – poznają żabę moczarową, która wybiera wilgotne łąki i torfowiska na swoje siedlisko, usłyszą tajemnicze odgłosy bąka, skrytego ptaka trzcinowisk, i dowiedzą się, jak czapla siwa poluje na ryby. Nauczyciele otrzymają scenariusze lekcji i karty pracy, dzięki którym łatwo połączą edukację z zabawą, a przy tym uwrażliwią uczniów na znaczenie wody i jej wpływ na bioróżnorodność oraz nasze wspólne jutro.

Warto włączać dzieci do działania i pokazywać ich sprawczość

Rejestracja do programu już ruszyła, a na najbardziej aktywnych i twórczych uczestników czekają nagrody. Trzy zwycięskie placówki otrzymają vouchery o wartości 12 000 zł na stworzenie własnej Strefy Bioróżnorodności. Ponadto aż 100 szkół i przedszkoli zyska specjalne pakiety do zakładania miniogrodów deszczowych, wspierających lokalne ekosystemy. Dodatkowo dwudziestu nauczycieli zostanie zaproszonych na dwudniową, bezpłatną Akademię Planety Energii, gdzie będą mogli rozwijać swoje kompetencje i zdobywać inspiracje do pracy z dziećmi.

Ambasadorami programu zostali: Marzena Rogalska, Liliana Zajbert, Aneta Chmielińska i Krystian Hanke. Wsparciem merytorycznym służyć będą również Eksperci Planety Energii: Przemysław Staroń (Nauczyciel roku 2018) oraz Anna Ruszczak (laureatka 12. edycji programu), dzieląc się z nauczycielami swoimi doświadczeniami i wskazówkami, jak przekazywać dzieciom rzetelną wiedzę o polskich wodach oraz to, jak w praktyce dbać o ich czystość i bioróżnorodność.

Tegoroczna Planeta Energii kierowana jest do klas 0–3 szkół podstawowych oraz zerówek przedszkolnych z całej Polski. Aby dołączyć do konkursu, nauczyciel rejestruje swoją grupę, przeprowadza co najmniej jedne zajęcia z wykorzystaniem materiałów programu, a następnie składa sprawozdanie do 19 listopada. Placówki publikują także relacje ze swoich działań w mediach społecznościowych z hashtagiem #PlanetaEnergii2025.

W ciągu 13 poprzednich edycji programu zainicjowanego przez Grupę Energa udało się zaangażować blisko 320 tysięcy uczniów i tysiące nauczycieli z całej Polski. Wiele placówek dzięki programowi stworzyło już swoje ogrody deszczowe, zielone zakątki czy przyrodnicze kąciki, które służą lokalnym społecznościom.

Planeta Energii udowadnia, że nawet drobne działania, gdy podejmowane są wspólnie i na dużą skalę, mogą realnie zmieniać nasze otoczenie. Hasło tegorocznej edycji – „Woda. Energia. Życie." – stanie się mottem nie tylko zajęć, ale i nowych przestrzeni tworzonych w szkołach i przedszkolach w całej Polsce.

Więcej informacji na stronie **PlanetaEnergii.pl** i w mediach społecznościowych pod #PlanetaEnergii.

eprasa.pl 9ebcecf7a9

Rząd zaleca, by każdy w domu zgromadził zapas gotówki, a do plecaka ewakuacyjnego schował plik banknotów w drobnych nominałach. Ma nam to zapewnić koło ratunkowe w trudnej sytuacji. Na razie to jednak sama gotówka coraz bardziej wymaga ratunku.

Złote na czarną godzinę

ADAM GRZESZAK

© SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 9ebcecf7a9

Polska instrukcja kryzysowa nie precyzuje, ile trzeba trzymać w domu gotówki. Wszystko zależy od zamożności rodziny i liczby jej członków. Eksperci podpowiadają, że najlepiej zgromadzić 500 zł – 3 tys. zł, na wszelki wypadek, plus 5–15 tys. zł w walutach obcych (dolary, euro, funty) na okoliczność dalszej ewakuacji w trybie wojennym. W innych krajach UE instrukcje są precyzyjniejsze. Władze Holandii, Austrii i Finlandii rekomendują na przykład, aby gospodarstwa domowe miały w domu kwotę 70–100 euro na osobę, czyli wystarczającą na pokrycie podstawowych potrzeb przez 72 godziny.

Szwedzkie władze radzą: „Oblicz całkowity koszt niezbędnych dóbr dla swojej rodziny na co najmniej tydzień. Trzymaj gotówkę w domu, w małych nominałach, na wypadek gdyby cyfrowe metody płatności zostały przerwane". Bo wszyscy spodziewają się w pierwszej kolejności cyberataku na banki i system rozliczeń bezgotówkowych, co może skutkować paraliżem kart bankowych, terminali płatniczych i bankomatów. Także potężny blackout, czyli załamanie systemu energetycznego, do jakiego doszło w kwietniu na Półwyspie Iberyjskim, pokazał, jak zawodne stają się elektroniczne systemy.

Nawet szwedzki bank centralny Riksbank zaapelował, by obywatele mieli zawsze możliwość płacenia zarówno bezgotówkowo, jak i gotówkowo, co zrobiło spore wrażenie, bo Szwecja należy do krajów, które jeszcze niedawno chciały papierowe pieniądze odesłać do lamusa. Dziś Riksbank przekonuje, że „gotówka jest potrzebna, aby umożliwić wszystkim dokonywanie płatności i zapewnić dodatkowy środek płatniczy w przypadku kryzysu lub wojny. W związku z tym Riksbank uważa, że powinien istnieć ogólny obowiązek przyjmowania gotówki przez sprzedawców przy zakupie podstawowych towarów". Bo obawa przed konfliktem zbrojnym, który może odciąć nas od naszego cyfrowego majątku, jest dziś kolejnym powodem, dla którego z większą atencją patrzymy na banknoty i monety.

Uspokajacz nerwów

Żyjemy w nerwowych czasach, a nerwy nasilają apetyt na gotówkę. – *Tak było w początkowej fazie pandemii Covid-19, jak również po 24 lutego 2022 r., wraz z rozpoczęciem rosyjskiej agresji na Ukrainę. Wówczas wypłaty gotówki wzrosły 17-krotnie. Wzrosły też ostatnio, gdy 10 września doszło do naruszenia polskiej przestrzeni powietrznej przez drony, ale skala nie była już tak spektakularna* – wyjaśnia Aleksander Pawlak, dyrektor ds. rozwoju Warsaw Enterprise Institute. Potwierdza to największy polski bank PKO BP, choć tłumaczy, że owszem, po 10 września popyt na gotówkę wzrósł, ale miało to podłoże nie tak dramatyczne. Po prostu dziesiątego dnia każdego miesiąca emeryci otrzymują z ZUS przelewy emerytur i wtedy wiele osób wypłaca pieniądze z bankomatów. – *Bank dysponuje odpowiednimi zasobami gotówki w oddziałach oraz bankomatach. Jeśli obserwujemy zwiększone zainteresowanie wypłatami, na bieżąco ją dostarczamy tam, gdzie popyt jest szczególnie wysoki* – uspokaja Małgorzata Witkowska, ekspertka z centrali PKO BP, przypominając, że jeśli ktoś potrzebuje większej kwoty gotówki, powinien zgłosić to w banku z wyprzedzeniem, bo od ręki się nie da.

Nieco bardziej nerwowo było na rynku walutowym. – *W momentach napięć obserwujemy natychmiastową reakcję rynku detalicznego – wzrost zainteresowania walutami uznawanymi za stabilne i bezpieczne* – wyjaśnia Grzegorz Nowakowski, public affairs manager w spółce Tavex działającej w dziewięciu krajach europejskich i zajmującej się handlem walutami oraz metalami szlachetnymi. Między 10 a 16 września sprzedaż euro wzrosła o 64 proc., a franka szwajcarskiego o 10 proc., w porównaniu z tygodniem poprzedzającym. – *Jednak największy skok dotyczył dolara amerykańskiego, liczba jego zakupów zwiększyła się o ponad 250 proc.* – mówi Nowakowski.

Ukraina bezgotówkowa

Narracja wojenna skłania Polaków do gotówki. – *Widać te tendencje w statystykach Narodowego Banku Polskiego, podaż pieniądza gotówkowego w obiegu stabilnie rośnie. W sierpniu przekroczyła 430 mld zł. Stanowi to symboliczne przekroczenie bariery 100 mld euro, a zarazem potwierdza wzrost ilości gotówki o ponad 54 mld zł w porównaniu z sierpniem 2024 r.* – wyjaśnia Aleksander Pawlak. „Dlatego zarówno akceptacja gotówki, jak i zapewnienie jej dostępności stały się kluczowymi celami banków centralnych zawartymi bądź to w sformalizowanych dokumentach strategicznych, bądź w aktach prawnych. Ważnym aspektem gotówki (...) jest jej szczególna cecha, tzw. inkluzywność. Gotówka pozwala bowiem dokonywać płatności i gromadzić oszczędności ludziom niemającym dostępu lub z ograniczonym dostępem do pieniądza elektronicznego, zatem ma ogromne znaczenie dla włączenia społecznego wszystkich grup społecznych" – wyjaśnia na łamach „Obserwatora Finansowego" Joanna Kołodziej z departamentu emisyjno-skarbcowego NBP.

Gotówka, obok hurtowych zakupów złota, to obsesja prezesa NBP Adama Glapińskiego. Złotego w fizycznej postaci gotów jest bronić jak niepodległości, o czym można się dowiedzieć, zamawiając w NBP bezpłatny album „Złoty filarem budowy dostatniej Polski. Stulecie polskiej waluty – od Grabskiego do Glapińskiego". „Gotówka odgrywa niezastąpioną rolę, szczególnie w obliczu ataku cybernetycznego – nie ma co do tego wątpliwości. Tego rodzaju ataki, które często poprzedzają fizyczne uderzenie lub same w sobie stanowią zagrożenie, mogą sparaliżować wszystkie formy płatności elektronicznych oraz operacje bankowe. W takich sytuacjach to właśnie gotówka pozostaje jedynym niezawodnym środkiem płatniczym" – tłumaczy prezes NBP w książeczce.

Dr hab. Michał Polasik, profesor Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, specjalista w dziedzinie gospodarki i finansów cyfrowych, nie podziela opinii prezesa Glapińskiego i wszystkich, którzy twierdzą, że wojna w Ukrainie udowodniła, że w podobnej opresji ratunek może dać tylko gotówka. Tam w chwili wybuchu wojny bankomaty błyskawicznie zostały opróżnione. Gdy niemożliwe stało się dostarczenie gotówki, to właśnie płatności bezgotówkowe uratowały gospodarkę.

– *Nowoczesne systemy bankowe okazały się odporne na agresję, a nawet na zniszczenie części infrastruktury. Banki ukraińskie przeniosły kluczowe systemy do chmury obliczeniowej i zapewniły działanie zarówno kart płatniczych, jak i bankowości mobilnej. Paradoksalnie, w niektóre rejony trudniej było dostarczyć gotówkę, niż dokonywać tam płatności elektronicznych* – wyjaśnia prof. Polasik, przekonując, że nawet sporadyczne krótkotrwałe awarie poszczególnych systemów nie powinny stanowić dramatu. – *W Polsce mamy zarówno sprawnie działające międzynarodowe systemy kart płatniczych, jak i krajowy bardzo rozwinięty i popularny* ▶

eprasa.pl 9ebcecf7a9

▶ *system płatności BLIK. Mamy więc zabezpieczenie zwiększające naszą odporność. Polski system bankowy jest znakomicie przygotowany na sytuacje kryzysowe.*

Paradoks banknotów

NBP zamówił badanie dotyczące zachowań płatniczych Polaków po wybuchu wojny w Ukrainie. Okazało się, że gotówkę najczęściej wypłacali seniorzy (65 lat i więcej), a najrzadziej najmłodsza grupa wiekowa (18–44 lata). Zaobserwowano również wyraźnie zwiększone pobrania w części południowo-wschodniej kraju, co nie powinno zaskakiwać. Wyraźnie też wzrosło zapotrzebowanie na wysokie nominały. Jeśli w czasach spokojnych udział banknotów 500 zł zamawianych w NBP przez banki stanowił 2 proc., to w czasie niespokojnym skoczył do 15 proc., a 200 zł wzrósł do 11 proc. Za to udział najpopularniejszych stuzłotówek zmalał z 60 proc. do 41 proc.

Świadczy to o tym, że Polacy w gotówce widzą głównie magazyn do przechowywania wartości, a nie środek płatniczy, bo wysokie nominały są niewygodne w użyciu. Potwierdzają to także dane NBP dotyczące zużytych banknotów powracających do sortowni banku. Najwyższe nominały pojawiają się coraz rzadziej, bo spoczywają głównie w bieliźniarkach i materacach. Jak wynika z raportu Polskiego Funduszu Rozwoju, zgromadzone dziś mamy tam blisko 400 mld zł. W ciągu jednego kwartału pomiędzy końcem 2024 r. a początkiem 2025 r. przybyło nam kolejne 4,7 mld zł. W sumie już 11,3 proc. aktywów finansowych Polaków ma fizyczną formę.

„Kartą czy gotówką?" – to pytanie kasjerów słyszy kilka razy dziennie każdy, kto robi zakupy. Najczęściej pada odpowiedź – kartą – bo to najwygodniejszy sposób rozliczeń. Wystarczy przyłożyć plastik do terminala albo posłużyć się telefonem, a czasem smartwatchem. Przy większej kwocie trzeba potwierdzić wszystko PIN-em i sprawa załatwiona. Coraz rzadziej klient w sklepie sięga po portfel i zaczyna szukać potrzebnej kwoty. Bo kiedy wyciąga banknot i jeśli jest to większy nominał, słyszy często: nie będzie nic drobniej? Potem zaczyna się żmudne wyliczanie bilonu, zwłaszcza jeśli osoba kupująca chce rozliczyć się co do grosza, a ma kłopoty ze wzrokiem. Wszystko trwa, kolejka się niecierpliwi. Nic więc dziwnego, że Polacy preferują rozliczenia bezgotówkowe. W 2024 r. stanowiły one ok. 69 proc. wszystkich transakcji detalicznych. W tym operacje kartowe miały 41 proc., kolejne 18 proc. to płatności mobilne przez NFC (telefonem, zegarkiem), BLIK zaś miał ok. 4 proc.

Tempo, w jakim gospodarka cyfrowa wypiera gotówkę, jest oszałamiające, bo przecież w 2005 r. zaledwie 2 proc. płatności realizowano bezgotówkowo. W tym triumfalnym pochodzie swój udział ma rozwijający się e-handel, który niemal w całości jest bezgotówkowy. W efekcie mamy schizofreniczną sytuację, w której szybko rośnie ilość gotówki w obiegu, a jednocześnie spada jej użycie. To nie jest polski fenomen, niemal cały świat tego doświadcza. Zjawisko zyskało nazwę „paradoksu banknotów".

Dla Rafała Górskiego, prezesa Instytutu Spraw Obywatelskich i współtwórcy Koalicji dla Gotówki, to nie żaden paradoks, tylko efekt świadomej wojny z gotówką. – *Toczy ją lobby bankowe, międzynarodowe korporacje oferujące karty płatnicze – głównie Visa i Mastercard – zarabiające na ludziach korzystających z kart, a także tzw. fintechy, czyli spółki technologiczno-finansowe. Wsparcia udziela im też państwo, bo Ministerstwo Finansów uczestniczy w fundacji Polska Bezgotówkowa, choć powinno zachować neutralność* – tłumaczy Górski.

Dla niego gotówka jest synonimem wolności i sposobem ucieczki ze społeczeństwa nadzorowanego, w którym wielkie korporacje wszystko wiedzą o każdym naszym ruchu. Odrzuca zarzut, że gotówka jest paliwem dla szarej strefy i tylko poprzez rozliczenia bezgotówkowe można z nią walczyć. Dlatego próbuje mobilizować społeczeństwo, by gotówkę nie tylko trzymało w bieliźniarkach, ale także by z niej korzystało.

– *Gotówka daje nam anonimowość i ochronę prywatności, chroni przed wykluczeniem finansowym tych, którzy z różnych względów nie mogą lub nie chcą korzystać z płatności bezgotówkowych, pozwala konsumentom łatwiej kontrolować wydatki, wspiera polskie firmy* – wylicza Górski, przekonując, że gotówka przegrywa, bo nie jest gorsza, ale coraz trudniej dostępna.

Unikalne euro

Trudno odmówić mu racji, bo z banków znikają okienka kasowe, maleje liczba bankomatów. Tylko w ciągu 2024 r. liczba urządzeń skurczyła się o ponad 1,3 tys. Dziś jest ich w całej Polsce ok. 20 tys., a będzie mniej, bo operatorzy bankomatowi głośno narzekają, że biznes im się nie opłaca. – *To prowadzi do powstawania „pustyń bankomatowych". Poza wielkimi miastami często trzeba jeździć kilka lub kilkanaście kilometrów, by wypłacić gotówkę. Operatorzy obniżają limity wypłat, bo od każdej wypłaty mają prowizję. W maszynach nie ma banknotów o niższych nominałach, tylko setki i dwusetki, z którymi jest kłopot* – mówi Górski.

> Nawet świat przestępczy, niegdyś wierny gotówce, przeszedł cyfrową reformę i korzysta z kryptowalut.

Szczególną rolę gotówki dostrzega też Europejski Bank Centralny, bo popyt na banknoty euro od dawna pulsuje w rytm kryzysów. Dziś wartość banknotów euro w obiegu stanowi ponad 10 proc. PKB eurogrupy. EBC, choć prowadzi prace nad stworzeniem cyfrowego euro, podkreśla, że nie nosi się z zamiarem rezygnacji z emisji monet i banknotów. „Wyniki sugerują, że unikalne cechy gotówki – fakt, że jest namacalna, odporna, dostępna offline i powszechnie akceptowana – nabierają kluczowego znaczenia w czasie kryzysów" – czytamy w Biuletynie Ekonomicznym EBC.

Wszyscy jednak mają świadomość, że cyfrowy walec może niebawem zepchnąć banknoty do ekonomicznego skansenu i uczynić je atrakcyjnymi głównie dla numizmatyków. Bo nawet świat przestępczy, niegdyś wierny gotówce, przeszedł cyfrową transformację i korzysta z kryptowalut. Pieniądzom w fizycznej postaci grozi śmiertelny korkociąg, bo im gorszy będzie do nich dostęp, tym mniejsze będzie ich wykorzystanie, a coraz wyższe koszty funkcjonowania systemu, co wywoła dalsze ograniczanie infrastruktury gotówkowej. Sprawę szans i wyzwań stojących przed gotówką przeanalizował niedawno niemiecki Bundesbank, bo Niemcy należą do narodów przywiązanych do szeleszczącego pieniądza. Konkluzja badania „Gotówka przyszłości" uspokaja: „Na podstawie zebranych danych, świat bez gotówki nie wydaje się prawdopodobny w ciągu najbliższych 15–20 lat".

ADAM GRZESZAK

eprasa.pl 9ebcecf7a9

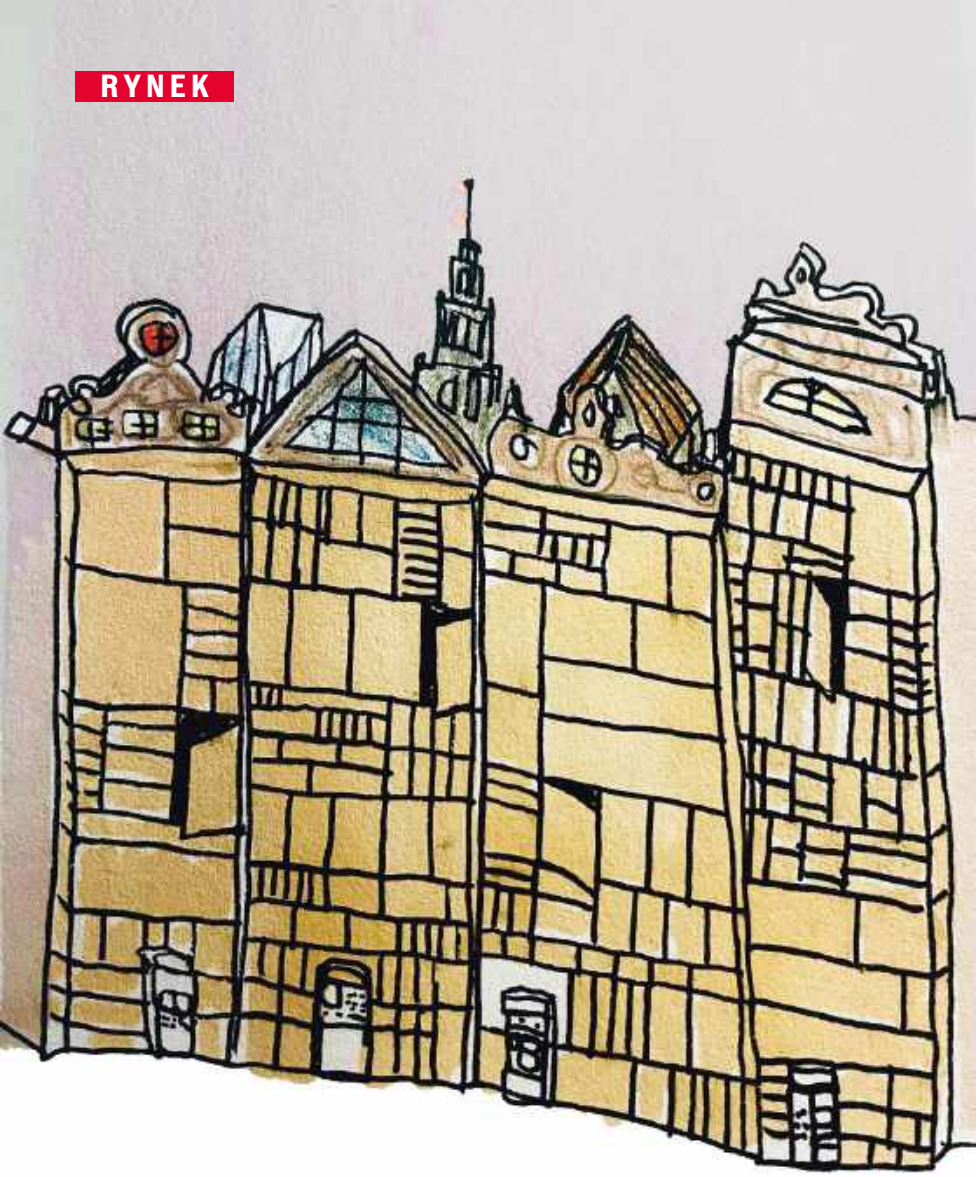

ILUSTRACJE **PATRYK SROCZYŃSKI**

Pojedynek skrytek

Allegro i InPost się rozstają, za to biedna Poczta Polska właśnie zaręczyła się z bogatym Orlenem. Na rynku automatów paczkowych rywalizacja jest coraz ostrzejsza. Powstają też oryginalne patologie.

CEZARY KOWANDA

Jak na firmę powoli wychodzącą z zapaści Poczta Polska plany ma ambitne. Chociaż w ub.r. zanotowała ponad 200 mln zł straty (a w 2023 r. była aż 600 mln zł na minusie), zapowiada właśnie kurierską ekspansję. Ma jej w tym pomóc sojusz z Orlenem. Dotąd obie spółki kontrolowane przez państwo konkurowały w dostarczaniu paczek. Poczta Polska w bardzo powolnym tempie budowała sieć swoich automatów paczkowych (ma ich dopiero nieco ponad 2 tys.), podczas gdy Orlen w krótkim czasie postawił ich 7 tys. Jednak paliwowy gigant nie zamierza rozwijać kurierskiego biznesu. To pozostałość z czasów Daniela Obajtka, gdy działalność logistyczna towarzyszyła przejęciu Ruchu. Z tej marki już nic nie zostało (proces likwidacji Ruchu zakończył się w połowie tego roku), natomiast wydzieloną spółkę Orlen Paczka władze koncernu chcą rozwijać z partnerem logistycznym, a docelowo sprzedać swoje udziały. W ten sposób planują odzyskanie chociaż części środków utopionych w Ruchu.

Poczta Polska od dawna liczyła na współpracę z Orlenem, chociaż sama nie ma wiele do zaoferowania. Obie firmy, z pewnością pod wpływem polityków, ogłosiły we wrześniu podpisanie wstępnego porozumienia. Pochwalił je za to szybko Wojciech Balczun, minister aktywów państwowych. Poczta i Orlen połączą swoje sieci automatów paczkowych i punktów odbioru. W ten sposób powstanie jeden z największych graczy logistycznych w Polsce. Poczta początkowo obejmie w nim mniejszościowe udziały, a docelowo przejmie nad nim kontrolę.

Nie wiadomo na razie, gdzie państwowy moloch znajdzie na to pieniądze. Wiadomo za to, że taka transakcja jest dla Poczty ostatnią szansą na wzmocnienie swojej pozycji i konkurowanie z liderami naszego rynku kurierskiego, jak InPost kierowany przez Rafała Brzoskę, niemiecki DHL czy francuski DPD.

Na rynku kurierskim kluczem w walce o klienta są dziś automaty paczkowe, zwane potocznie paczkomatami. To nazwa zastrzeżona przez InPost, ale weszła do języka codziennego i nawet straszenie przez InPost pozwami każdego, kto niewłaściwie użyje publicznie słowa „paczkomat", tego nie zmieni. Liczba automatów wciąż rośnie w szybkim tempie. W drugim kwartale tego roku było ich – według portalu cashless.pl – ponad 63 tys. To aż o 15 tys. więcej niż 12 miesięcy wcześniej. Niekwestionowanym liderem rynku pozostaje co prawda InPost (ma ponad 27 tys. swoich paczkomatów), ale kilka innych firm próbuje zmniejszać dystans do lidera. Już 12 tys. automatów (przyrost w ciągu roku o niemal 4 tys.) ma DPD, stawiający zwłaszcza niewielkie urządzenia. Po ok. 7 tys. maszyn posiadają DHL, Allegro oraz Orlen Paczka, do którego wkrótce ma dołączyć właśnie 2 tys. urządzeń Poczty Polskiej. Na razie nie wiadomo, pod jaką nazwą będzie docelowo działać to wspólne przedsięwzięcie, Poczta w ramach działalności kurierskiej używa marki Pocztex. ▶

eprasa.pl 9ebcecf7a9

▶ **Automatów paczkowych przybywa, bo na zakupy w internecie wydajemy już ponad 150 mld zł**, a w 2028 r. ta kwota może przekroczyć 190 mld zł. Jak wynika z najnowszego raportu Gemius, zakupy online robi 78 proc. internautów. To właśnie automaty w krótkim czasie stały się ulubioną formą dostawy w naszym kraju. Wśród osób kupujących przez internet aż 83 proc. wskazuje na nie jako na jedną z najczęściej wybieranych opcji odbioru towarów. Tylko 39 proc. korzysta regularnie z dostaw kurierskich bezpośrednio do domu, a nieco ponad jedna piąta woli punkty odbioru, takie jak sklepy czy stacje benzynowe.

Nic dziwnego, że firmy kurierskie chętnie inwestują w automaty. – *Postawienie jednej maszyny to co prawda koszt 50–100 tys. zł, w zależności od rodzaju i wielkości. Jednak takie urządzenia pozwalają na obsługę większej liczby przesyłek niż tradycyjna metoda dostawy. Kurier przywożący paczki bezpośrednio do domu jest w stanie dostarczyć ich ok. 50–100, czasem 150 dziennie. Tymczasem do automatów paczkowych może ich dowieźć nawet 1–1,2 tys. dziennie. Poza tym to klient idzie albo jedzie do urządzenia. Firma kurierska znacznie zatem zmniejsza koszt obsługi tzw. ostatniej mili* – podkreśla prof. Arkadiusz Kawa, ekspert rynku logistycznego z Uniwersytetu Ekonomicznego w Poznaniu.

Do niedawna przewaga InPostu nad konkurencją nie podlegała dyskusji. Świadczą o tym nie tylko liczba i wielkość urządzeń firmy Brzoski, ale też wyniki badań. Wśród internautów ankietowanych przez Gemius aż 95 proc. wskazuje, że to właśnie dostęp do paczkomatów zachęca ich do zrobienia zakupów. Natomiast 87 proc. jest przekonanych, że z urządzeń firmy InPost korzystają najczęściej. Rywale zatem nie mają wyjścia – jeśli chcą się liczyć, muszą stawiać w szybkim tempie kolejne maszyny. Klient chce mieć bowiem urządzenie jak najbliżej domu, pracy, szkoły czy innego miejsca odwiedzanego regularnie. Zrozumiała to największa w Polsce platforma handlu internetowego. Allegro nie tylko inwestuje we własne urządzenia, ale podjęło próbę wykorzystania innych sieci. Utworzyło system Allegro Delivery, w ramach którego znaleźli się wszyscy główni rywale InPostu: DPD, DHL i Orlen Paczka.

W ten sposób konsumenci mają dostęp do ponad 33 tys. maszyn. Ten sojusz to jasny sygnał, że drogi Allegro i InPostu się rozchodzą. Co prawda obie spółki wciąż ze sobą współpracują, a ich umowa wygasa dopiero w 2027 r., jednak ostatnio są na wojennej ścieżce. InPost zarzuca Allegro, że platforma zmienia preferencje klientów podczas składania zamówień i wręcz zmusza ich do wybierania innych metod dostawy niż paczkomaty. Z tego powodu InPost żąda ok. 100 mln zł odszkodowania, a spór ma rozstrzygnąć sąd arbitrażowy. Allegro oskarżenia odrzuca, ale konflikt dotyczy nie tylko samej logistyki. InPost przygotowuje własny projekt platformy sprzedażowej, która ma wykorzystywać sztuczną inteligencję i pomagać klientowi w wyborze najkorzystniejszej oferty. Oczywiście dostarczanej do paczkomatu. Allegro nie zamierza się poddawać i mobilizuje wszystkie swoje zasoby. Temu ma zapewne służyć powrót pracowników do biur i ograniczenie pracy zdalnej do maksymalnie jednego dnia w tygodniu, co wzburzyło część zespołu.

Dostawy ze sklepów internetowych wiążą się z ogromną ilością śmieci, zwłaszcza tekturowych pudełek z wypełniaczami.

Dla sklepów i platform sprzedażowych InPost to z jednej strony partner uważany do niedawna za niezbędnego, ale równocześnie firma droższa od konkurencji. – *Teraz coraz więcej sklepów internetowych próbuje zachęcać klientów do wyboru innych firm kurierskich i zmniejszyć swoje uzależnienie od InPostu* – mówi Arkadiusz Kawa z Uniwersytetu Ekonomicznego w Poznaniu. Sam InPost zdaje się zauważać coraz bardziej agresywną konkurencję. Niedawno lider rynku poinformował, że od listopada obniża stawki wysyłki dla sprzedawców działających na Allegro.

Automaty paczkowe otworzyły przed klientami zupełnie nowe możliwości, także oszustw. – *Dzięki nim dużo łatwiej jest handlować produktami używanymi (model re-commerce). Korzystają z tego zwłaszcza młodsi klienci, chętnie kupujący i sprzedający takie towary. Poprzez automaty ich wysyłka jest bardzo szybka i wygodna. Jednak także zwroty zakupionych nowych produktów stały się wyjątkowo łatwe. Dla wielu sklepów internetowych to prawdziwa zmora, bo klienci przyzwyczaili się do kupowania większej liczby sztuk np. odzieży i zwracania tej w nieodpowiednich rozmiarach* – mówi Sebastian Błaszkiewicz z Univio, członek Rady Izby Gospodarki Elektronicznej. Pojawiło się też zjawisko kupowania drogich oryginalnych towarów i zwracania tanich podróbek.
Z punktu widzenia platform internetowych nie ma prostego wyjścia z tej matni. Aż trzy czwarte kupujących w sieci twierdzi, że zbyt restrykcyjna polityka zwrotów zniechęca ich do wybierania konkretnego sklepu internetowego.

Niestety nie brakuje takich, którzy z tego dobrodziejstwa korzystają w sposób nieuczciwy. W języku angielskim funkcjonuje nawet słowo *wardrobing* określające zjawisko noszenia ubrań i obuwia przez krótki czas, a potem odsyłania ich do dostawcy i żądania zwrotu pieniędzy. Według niedawnych badań firmy SW Research aż 20 proc. młodych konsumentów w Polsce (w wieku 24–35 lat) przyznaje się do takiego zachowania. Niektóre platformy internetowe jak Zalando zaczęły blokować konta klientów, którzy dokonują ogromnej liczby zwrotów, co przynosi sprzedającym coraz większe straty.

Ekspansja automatów paczkowych zmienia zasady gry i wzmacnia pozycję klienta. Firmy kurierskie cieszą się, że ich maszyny są używane w dwie strony

eprasa.pl 9ebcecf7a9

– towary płyną ze sklepów do klientów i z powrotem, a operatorzy urządzeń na tym zarabiają. Takie zjawisko dla platform sprzedażowych jest jednak zdecydowanie mniej korzystne. Zwłaszcza że wiele sklepów internetowych, szczególnie mniejszych, ma bardzo niskie marże. To efekt ogromnej konkurencji w sieci, zaostrzanej jeszcze ekspansją chińskich gigantów: Temu, Shein i AliExpress.

Chociaż liczba automatów w Polsce przekroczyła 60 tys., eksperci nie podejmują się na razie prognozowania, kiedy rynek się nasyci. Z pewnością nieprędko. Branża kurierska oskarżana jest często o to, że stawia urządzenia tak, by było jej wygodnie, i nie zwraca uwagi na problemy, jakie generują.

Automaty, zgodnie z polskimi przepisami, nie potrzebują pozwoleń na budowę. Wystarczy porozumieć się z właścicielem działki i wynająć jej kawałek. Lokalne władze mają minimalny wpływ na stronę estetyczną, a to, czy automat dobrze komponuje się z otoczeniem i nie uprzykrza życia sąsiadom (np. mocno świecącym ekranem albo hałasem przy otwieraniu skrytek), zależy wyłącznie od jego operatora. Ten jednak najczęściej posługuje się argumentem, z którym trudno dyskutować – ekologią.

Firmy kurierskie wskazują, że dzięki automatom mniejsza jest emisja dwutlenku węgla, bo kurier nie musi jeździć osobno do każdego klienta. Nie zawsze tezy przedstawiane przez graczy logistycznych można jednak zweryfikować. Niedawno Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów zarzucił greenwashing (potocznie nazywany po polsku ekościemą) czterem potentatom kurierskim. Na ławie oskarżonych znaleźli się InPost, DHL, DPD i Allegro, którzy teraz czekają na informację, czy dostaną kary finansowe. Urząd oburzyło np. stwierdzenie na jednym z paczkomatów InPostu, jakoby urządzenie dziennie redukowało tyle dwutlenku węgla, ile dziewięć drzew w ciągu roku. UOKiK nie bez złośliwości zauważył, że automat nie ma zdolności fotosyntezy i nie pochłania dwutlenku węgla.

O tym, czy ekspansja takich urządzeń mimo wszystko pozwala ograniczyć negatywne skutki transportu towarów, można dyskutować. Jednak wciąż nie udało się rozwiązać innego poważnego problemu – z odpadami. Dostawy ze sklepów internetowych wiążą się z ogromną ilością śmieci, zwłaszcza tekturowych pudełek z wypełniaczami (nierzadko wciąż plastikowymi), w które pakowane są zakupy. – *Prawdziwym przełomem byłoby stworzenie specjalnych opakowań zwrotnych. Po otwarciu drzwiczek automatu wyjmowalibyśmy zamówiony produkt, który zazwyczaj ma przecież swoje własne pudełko, a opakowanie zostawialibyśmy w środku. Dzięki temu byłoby używane wielokrotnie. Standardem stałyby się tzw. ekoskrytki, ale do tego potrzebne jest zaangażowanie firm kurierskich. To one muszą współpracować ze sklepami internetowymi, aby używały standardowych opakowań zwrotnych. W ten sposób oszczędzilibyśmy ogromną ilość papieru i tworzyw sztucznych* – mówi Andrzej Ciesielski, członek zarządu brokera logistycznego furgonetka.pl.

Póki tak się nie stanie, kosze na śmieci wokół automatów pozostaną przepełnione kartonami. Porzucają je niecierpliwi, którzy chcą jak najszybciej sprawdzić, czy trafiły do nich właściwe produkty w odpowiednim stanie. Jeżeli są zadowoleni z tempa i jakości dostawy, mogą odwdzięczyć się kurierowi. InPost proponuje poprzez swoją aplikację postawić mu wirtualną kawę, czyli przekazać napiwek. Adrian Zandberg z partii Razem proponuje natomiast firmie InPost lepiej wynagradzać kurierów, oferując im np. umowy o pracę. W tej branży samozatrudnienie to bowiem norma u wszystkich głównych graczy. Cudów nie ma – tanie dostawy, dzięki którym handel internetowy tak dynamicznie rośnie, a automatów przybywa w szalonym tempie, mają też swoje drugie, wstydliwe oblicze.

CEZARY KOWANDA

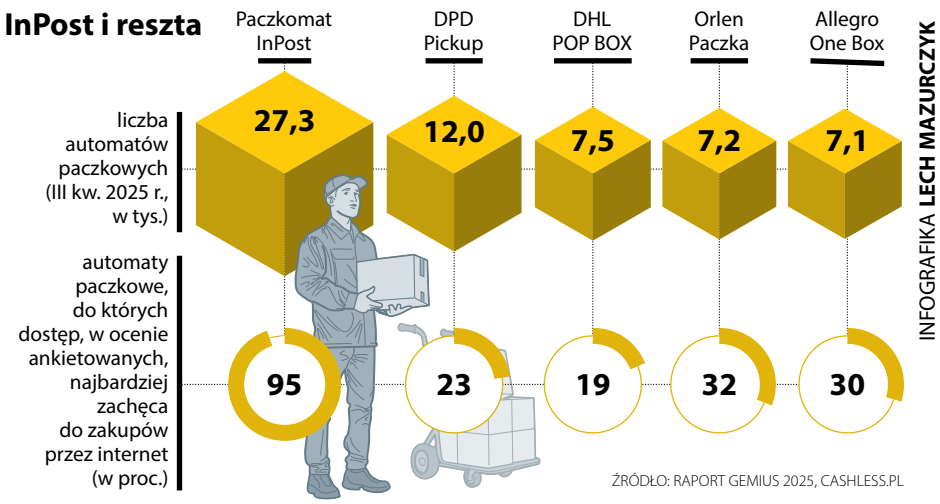

eprasa.pl 9ebcecf7a9

Co z mapy, to z serca

Koniec wojny w Strefie Gazy ma otworzyć drzwi „do palestyńskiego samostanowienia i państwowości". Palestyńczycy coraz słabiej ją widzą i coraz mniej w nią wierzą.

Hebron na Zachodnim Brzegu. To drugie co do wielkości palestyńskie miasto stopniowo anektują żydowscy osadnicy.

© AMER SHALLODI/ANADOLU/GETTY IMAGES

AGNIESZKA ZAGNER Z RAMALLAH

Mohammed Masalme to trzydziestoparolatek z Beit Awwa, 14-tysięcznej wioski oddalonej o 10 min jazdy samochodem od Hebronu na Zachodnim Brzegu Jordanu. – *Tam, za tymi wzgórzami, jest Gaza, w linii prostej jakieś 15 km, w praktyce to inna planeta. Nigdy tam nie byłem i jakoś nie wierzę, że kiedykolwiek będę* – mówi. Droga wije się stromo pod górę, potem w dół, Gaza rzeczywiście jest na wyciągnięcie ręki. Ale tylko pozornie. Mohammed: – *To Palestyna, ale w praktyce jesteśmy odseparowani nie tylko od Gazy, lecz także od innych palestyńskich miast przez izraelskie strefy wojskowe, osiedla. Ta nasza Palestyna jest głównie w naszych sercach, mniej na mapie.*

Mimo powszechnej euforii po ogłoszeniu zawieszenia broni w Strefie Gazy wielu – jeśli nie większość – Palestyńczyków ma poczucie, że to zaledwie koniec kolejnej rundy walk. – *Celem Izraela i w Gazie, i na Zachodnim Brzegu, jest pozbycie się Palestyńczyków. To już nawet nie jest tajemnicą, otwarcie mówią o tym izraelscy politycy* – uważa Mohammed Alatar, palestyński dokumentalista.

eprasa.pl 9ebcecf7a9

Postkolonialne wymówki

Jak wielu mieszkańców Zachodniego Brzegu ma poczucie, że ich „państwo" to byt bardziej wirtualny niż faktyczny. Mimo że w 21-punktowym planie Donalda Trumpa wspomniano o możliwych „warunkach wytyczenia drogi do palestyńskiego samostanowienia i państwowości".

– *Palestyna nie istnieje, nawet po ostatnich krokach uznających ją przez szereg państw. To bardziej spóźnione gesty niż działania polityczne. Gaza jest całkowicie zniszczona, miną całe lata, zanim będzie nadawała się do życia, Jerozolima jest odcięta od reszty Zachodniego Brzegu kontrolowanego całkowicie przez Izrael. Nie mamy żadnej prawdziwej suwerenności* – dodaje Alatar. Dla niego sprawa jest prosta – dawne państwa kolonialne, jak Wielka Brytania czy Francja, podjęły spóźnione kroki, by oczyścić sumienie, a nie stworzyć prawdziwe państwo palestyńskie: – *Gdyby naprawdę chcieli nas wesprzeć, powinni natychmiast wstrzymać sprzedaż broni dla Izraela, od której ginęły dzieci w Gazie* – podkreśla.

Nie jest odosobniony, bo dla zdecydowanej większości Palestyńczyków życie staje się nie do zniesienia. Choćby zwykłe podróże: droga z Ramallah do Hebronu to ok. 65 km, ale może zająć zarówno dwie, jak i dziesięć godzin. Ostatnio między Nablusem a Ramallah kierowca ciężarówki wjechał w posterunek wojskowy przy wjeździe do żydowskiego osiedla Kedumim. Został zastrzelony na miejscu, a jeden żołnierz w wyniku „przyjacielskiego ognia" odniósł ciężkie rany i zmarł w szpitalu. Tak się składa, że mieszka tam Becalel Smotricz, jeden ze skrajnych ministrów w rządzie Beniamina Netanjahu, który sprzeciwiał się zakończeniu wojny w Gazie. Jeszcze tego samego dnia Izrael zamknął niemal wszystkie punkty kontrolne od strony Zachodniego Brzegu.

– *To samo się dzieje, gdy dojdzie do jakiegoś incydentu na checkpointach nawet kilkadziesiąt kilometrów od nas. Natychmiast odcinają nam wjazd do miasta, co może trwać kilka godzin, a nawet kilka dni. W czasie wojny dzieje się to praktycznie codziennie* – opowiada burmistrz Nablusu Mohammad Szakhszir. Stoi nad wielką mapą okolicy i pokazuje, jak w ciągu ostatnich dwóch lat izraelskie wojsko zamykało kolejne bramy wjazdowe do miasta, komercyjnej stolicy tej części Zachodniego Brzegu. Ze 120 tys. ludzi codziennie przyjeżdżających na zakupy, do restauracji, a nawet do pracy, liczba ta spadła do zaledwie 20 tys. Mniej odwiedzających to mniej pieniędzy zostawionych w mieście, wzrost bezrobocia i jeszcze mniej perspektyw. Ta sytuacja dotyczy tu każdej palestyńskiej miejscowości.

© LECH MAZURCZYK

Najgorsi są osadnicy

Wjeżdżamy do Beit Awwa od strony Hebronu przez jedyną otwartą bramę. Drugą izraelskie wojsko zamknęło po 7 października 2023 r. i nie wiadomo, czy kiedykolwiek otworzy. Pierwsze, co rzuca się w oczy, to unoszący się w powietrzu kurz, brak choćby jednego drzewa czy krzewu, skweru, placu zabaw, wyludnione ulice. – *Jak mamy mieć parki, jeśli wioska miesięcznie potrzebuje 30 tys. m sześc. wody, a Izrael dostarcza nam zaledwie 2 tys.?* – tłumaczy Mohammed. Miejscowość jest znana z handlu meblami i innymi przedmiotami z drugiej ręki. Przed wojną codziennie wjeżdżało tu 150 ciężarówek z towarami z Izraela, ale po 7 października ruch zamarł. 25 proc. mieszkańców pracowało w Izraelu i nagle z dnia na dzień skasowano im pozwolenia: – *Ludzie zostali z niczym* – mówi z goryczą burmistrz Jusef Sweity.

Desperacja popycha Palestyńczyków do nielegalnych prób przedostania się do Izraela. Niedawno izraelscy strażnicy zabili mężczyznę, który próbował przejść przez ogrodzenie w ar-Ram niedaleko Jerozolimy. Miejscowi mówią, że to był nielegalny robotnik. Ale przypadki są różne. Tydzień wcześniej niemal w tym samym miejscu przez dziurę w ogrodzeniu przedostało się dwóch innych Palestyńczyków, którzy przeprowadzili zamach terrorystyczny na przedmieściach Jerozolimy, zabijając sześciu Izraelczyków. Stąd dla uzbrojonej po zęby izraelskiej straży granicznej każda próba przejścia przez ogrodzenie jest potencjalnym zamachem terrorystycznym.

Kryzys pogłębia fakt, że Izrael zablokował przekazanie 11 mld szekli (ok. 3 mld dol.) z podatków i ceł władzom Autonomii Palestyńskiej. W rezultacie np. szkoły zamiast pięć dni w tygodniu działają przez trzy, bo nie ma z czego zapłacić nauczycielom. Beit Awwa nie jest wyjątkiem, tym bardziej że w 80 proc. leży w tzw. strefie C, co oznacza, że zarówno pod względem administracyjnym, jak i w kwestiach bezpieczeństwa podlega całkowicie Izraelowi.

– *Nie uświadczysz tu palestyńskiej policji, nie ma prawa się pojawić* – wyjaśnia Mohammed. Za to izraelscy żołnierze mogą się pojawić w każdej chwili. – *Najczęściej przychodzą w nocy, pukają do przypadkowych domów, straszą nas. Kilka tygodni temu przyszli do ratusza, ściągnęli palestyńską flagę, ponoć jest nielegalna. Najgorsi są jednak osadnicy, kilka tygodni temu przyszli do mojego domu, kazali się wynosić, przez godzinę nie mogłem tam wejść* – opowiada burmistrz.

Według Biura NZ do spraw Koordynacji Pomocy Humanitarnej (OCHA) izraelscy osadnicy w ciągu tylko jednego z ostatnich tygodni przeprowadzili 27 ataków na Palestyńczyków, zabijając jednego mieszkańca prowincji Ramallah i raniąc 17 innych, a także wyrządzając szkody materialne i zmuszając do przesiedlenia trzy rodziny z Doliny Jordanu. Tuż przed rozpoczęciem sezonu zbiorów oliwek odnotowano też blokowanie przez osadników dostępu palestyńskim rolnikom do ich ziem, podpalenia drzewek oliwnych. Od początku roku siły izraelskie przeprowadziły prawie 7,5 tys. akcji, najść na palestyńskie miasta i wsie na Zachodnim Brzegu, o ponad jedną trzecią więcej niż w roku poprzednim.

Postępująca aneksja

Palestyńczycy się skarżą, że izraelscy żołnierze zamiast porządku chronią osadników, pozwalając im na przemoc. Widać to choćby w Hebronie, gdzie w sercu miasta przy świeżo wyasfaltowanej ulicy Szuhada mieszka około tysiąca żydowskich osadników chronionych przez izraelskich żołnierzy. Po przekroczeniu posterunku Palestyńczycy z tętniącej życiem starówki nie mają prawa iść dalej na tę ulicę.

Dom Isy Amro, znanego palestyńskiego działacza, położony jest na stromym wzniesieniu pośród gaju oliwnego już za izraelskim posterunkiem. Aby dojść do miasta „po właściwej ▶

eprasa.pl 9ebcecf7a9

▶ stronie", Isa musi nadrobić kilka kilometrów. Nie ma dnia, by nie odwiedzili go żołnierze lub osadnicy. – *Życie jest tu nieznośne, wielu sąsiadów opuściło swoje domy. Widzimy powoli postępującą aneksję Hebronu przez osadników* – opowiada.

Siedzimy pod rozłożystym drzewem na jego podwórku, skąd roztacza się widok na okoliczne wzgórza, ale też częściowo na Hebron. W oddali można dostrzec wieżyczkę strażniczą. Dom otoczony jest ogrodzeniem z siatki. – *Założyłem ją, bo osadnicy ciągle obrzucali mnie kamieniami. Jak mam czuć się bezpiecznie, kiedy w każdej chwili mogą też przyjść żołnierze, pobić mnie, a nawet zabić? Rozmawiają ze mną z palcem na spuście. Pod mój dom nie podjedzie nawet karetka* – mówi Isa.

Opowiada, że życie stało się tu naprawdę nieznośne po 1994 r., kiedy w pobliskim meczecie, słynnej grocie patriarchów, żydowski fanatyk Baruch Goldstein z karabinu maszynowego zastrzelił 29 osób, a ponad setkę ranił. – *Jego ideologia przetrwała, ma wyznawców w Knesecie, a nawet w rządzie* – dodaje Isa. Chodzi o wspomnianego Smotricza oraz Itamara Ben-Gwira, mieszkańca pobliskiego osiedla Kirjat Arba, który publicznie się chwalił, że na ścianie jego salonu wisi portret Goldsteina.

Przejście z domu Isy do ulicy Szuhada prowadzi stromą i wyboistą ścieżką przez cmentarz, skąd wychodzi się wprost na szlaban i izraelskich żołnierzy. – *Wracaj, skąd przyszłaś. Nie chcemy żadnych lewicowych prowokacji* – mówią żołnierze. Udaje mi się wynegocjować przejście na oddalony o zaledwie kilka metrów od szlabanu przystanek autobusowy.

Trasa autobusu do Jerozolimy prowadzi przez kilka żydowskich osiedli, w tym Kirjat Arba. Od razu widać różnicę: domy jak spod linijki, chodniki, zadbane ogródki, placyki zabaw, piękne drzewa, co chwilę powiewają izraelskie flagi. Większość pasażerów to ortodoksyjni Żydzi, dla nich nie ma czegoś takiego jak Zachodni Brzeg, jest Judea i Samaria, miejsce nadane im przez samego Boga.

– *Co z tego, że Trump obiecał, że nie pozwoli na aneksję Zachodniego Brzegu, skoro ona dokonuje się de facto każdego dnia* – uważa Ibrahim Dalasza, założyciel i dyrektor Horizon, Centrum Studiów Politycznych i Mediów, w przeszłości zaangażowany w palestyńsko-izraelskie negocjacje pokojowe.

Marzenie o balkonie

W takich okolicznościach zaufanie do władz Autonomii topnieje w oczach. Gdyby palestyńskie wybory prezydenckie odbywały się teraz, największe szanse miałby 66-letni Marwan Barguti, zwany „palestyńskim Mandelą", który wiele lat temu zerwał z rządzącym w Autonomii Fatahem. Wygrałby, pod warunkiem że w ramach porozumienia z Hamasem Izrael wypuści go z więzienia, w którym odsiaduje pięciokrotny wyrok dożywocia. Na drugim miejscu znajduje się były przywódca Hamasu Chaled Meszal. Obecny prezydent, 89-letni Mahmud Abbas, jest bardzo niepopularny. Kilka miesięcy temu mianował na swojego zastępcę – w domyśle następcę – Husejna asz-Szejka, uważanego za równie skorumpowanego i posłusznego Izraelowi karierowicza.

Zwykli Palestyńczycy są w pewnym sensie zakładnikami tej sytuacji. Nie mogą wybrać nowych władz, bo stare dbają o to, by nikt nie naruszył ich interesów. Jest to też na rękę Izraelowi, który – w zamian za wciąż względny spokój na Zachodnim Brzegu – toleruje obecnych przywódców. Status quo służy więc obu stronom. A to jedynie pogłębia frustrację Palestyńczyków.

Tym bardziej że przepaść między średnim rocznym dochodem Palestyńczyka i Izraelczyka jest ogromna – 2 tys. do 45 tys. dol. Szczególnie to widać w 19 obozach dla uchodźców na Zachodnim Brzegu. W obozie Balata mieszka 45 tys. osób, choć kiedy powstawał na początku lat 50., przewidziano tu miejsca dla 5 tys. Dziś to właściwie małe miasteczko, gdzie bieda jest na każdym kroku. W ogromnej części obozu domy stoją tak blisko siebie, że nie sposób rozłożyć ramion między nimi, wszędzie walają się śmieci.

Tu bieda rodzi się z biedy. Samira wyszła za mąż w wieku 15 lat, bo nowa macocha chciała jak najszybciej pozbyć się jej z domu. Filigranowa 29-letnia dziś kobieta ma czworo dzieci, mieszka wraz z nimi i mężem w domu z jedną sypialnią na obrzeżach obozu. – *Jako dziecko marzyłam, żeby mieć samochód, a teraz o domu z balkonem. Nie wierzę, że to się spełni, bo ten, kto rodzi się biedny, zawsze taki pozostaje, to jego przeznaczenie* – mówi.

Jej rodzina, jak wiele tutejszych, jest pod opieką Tomorrow's Youth Organization, która m.in. prowadzi programy wspierające kobiety i kursy szkolne dla dzieci z trzech obozów w Nablusie. – *90 proc. mężczyzn w obozie nie ma pracy, co odbija się na całej rodzinie, często prowadzi do przemocy, której ofiarą są kobiety i dzieci. Rodziny żyją w strachu i niepewności, nie wiadomo, kiedy w obozie pojawią się żołnierze, którzy w każdej chwili mogą wejść do czyjegoś domu* – opowiada jedna z koordynatorek TYO.

Najwyżej rezydent

W takich miejscach jak obóz Balata pytanie o państwo palestyńskie jest abstrakcyjne. Tu liczy się przetrwanie. Większość z 3 mln Palestyńczyków na Zachodnim Brzegu nie mieszka jednak w obozach, lecz głównie w miastach i wioskach poza strefą C. Jednak nawet tu „palestyńskość" jest dość umowna. Zahran Jaghab mieszka w domu, który należy do jego rodziny od 250 lat i znajduje się na Starym Mieście w Ramallah. Prowadzi tam rodzaj muzeum poświęconego palestyńskiemu dziedzictwu. – *Nazywają mnie „jednym z rezydentów Autonomii Palestyńskiej", a nie „obywatelem Palestyny"* – mówi.

Do 1967 r. funkcja muhtara, czyli politycznego przywódcy w Ramallah, tradycyjnie należała do głowy rodziny Jaghab. Ojciec Zahrana uznał jednak, że nie może współpracować z władzami okupacyjnymi, i zrzekł się funkcji. Dom, solidny, o grubych murach, przetrwał, chociaż jego utrzymanie jest dziś drogą przez mękę. Zahran nie wierzy, że któregoś dnia będzie obywatelem jakiegokolwiek państwa, Palestyny czy Izraela.

– *Nazywamy to miejsce Palestyną z historycznych powodów, ale naprawdę wszystko zależy od Izraela. Każdy dokument, w tym akt urodzenia, jest wydawany niby przez nasze władze, ale za zgodą Izraela, jest w ich systemie. Dopóki zgody nie ma, dziecko oficjalnie nie istnieje* – opowiada Zahran, parząc mocną herbatę w srebrnym czajniku. Ze zdjęć na piaskowych ścianach spoglądają jego pradziadkowie. – *Aresztować mogą cię za jedno złe słowo albo nawet wywieszenie palestyńskiej flagi.*

Jako chrześcijanin ma prawo z okazji świąt odwiedzić Jerozolimę, o ile uda mu się załapać na niewielką pulę pozwoleń na przekroczenie granicy z Izraelem. Ostatnio był tam podczas Bożego Narodzenia, został zatrzymany przez izraelski patrol na Starym Mieście, pokazał pozwolenie. – *Powiedzieli, że nic ich to nie obchodzi, kazali wracać.* Zahran wspomina, że przez chwilę przekomarzali się ze sobą, jakiego słowa najlepiej użyć, żeby zrozumiał. Stanęło na *fuck off*.

AGNIESZKA ZAGNER

eprasa.pl 9ebcecf7a9

O kilka mostów za daleko

W Pekinie rządzą inżynierowie, a w Waszyngtonie prawnicy. Tak tłumaczy przewagę modelu chińskiego nad amerykańskim Dan Wang w książce, która stała się właśnie globalnym bestsellerem.

© YANG WENBIN/XINHUA NEWS AGENCY/FORUM

ŁUKASZ WÓJCIK

W ostatni weekend września w chińskiej prowincji Kuejczou otwarto najwyższy most świata – kolejny, bo poprzednie najwyższe też są w tej prowincji. **Most Wielkiego Kanionu Huajiang** wznosi się 625 m nad rzeką Beipan – czyli wejdą pod niego trzy Pałace Kultury i Nauki – i ma długość 2890 m. W rezultacie podróż przez Kanion Huajiang skróciła się z ponad godziny do nieco ponad minuty. W jednej z dwóch wież mostu jest szklana winda, która zabiera gości do kawiarni położonej 792 m nad rzeką. Zbudowano też 579-metrową szklaną kładkę i platformę do skoków bungee.

Kierownik budowy, inżynier Wu Zhaoming, powiedział, że jego zespół musiał sprostać licznym wyzwaniom technicznym, takim jak stabilizacja stromych zboczy kanionu, zabezpieczenie konstrukcji przed silnymi wiatrami i kontrola temperatury betonu. Mimo to projekt ukończono przed terminem – budowa trwała trzy i pół roku i kosztowała niecałe 300 mln dol., czyli tylko trochę więcej niż budowa mostu Południowego w Warszawie (36 m wysokości i 534 m długości).

W Kuejczou stoi już ponad 32 tys. mostów, a jeszcze w latach 80. było ich mniej niż 3 tys. Prawie połowa ze 100 najwyższych mostów na świecie znajduje się w tej biednej prowincji chińskiego Południa.

1 Od tego właśnie mostu nad kanionem Huajiang zaczyna się najgłośniejsza książka politologiczna ostatnich miesięcy: „Breakneck: China's Quest to Engineer the Future" Dana Wanga, której tytuł można przetłumaczyć jako „Zawrotna prędkość: chińskie dążenie do zaprojektowania przyszłości", a która w treści jest etnografią chińskiego systemu polityczno-ekonomicznego.

Wang przedstawia się jako „analityk technologiczny z wyraźnym eseistycznym skrzywieniem". Dziś związany z Uniwersytetem Stanforda, urodził się w Chinach, skąd jego rodzina wyemigrowała do Kanady, gdy miał siedem lat. Potem przenieśli się do Filadelfii. Do Chin wyjechał na sześć lat (2017–23), ale wrócił do USA, bo – jak sam pisze – „wspaniale jest żyć w społeczeństwie wielogłosowym". A w Chinach brakowało mu przede wszystkim „możliwości zamawiania książek".

Na pierwszych stronach swojej książki Wang opisuje rowerową podróż po prowincji Kuejczou. Zachwyca się ▶

eprasa.pl 9ebcecf7a9

▶ jej strzelistymi mostami i wspomina Nowy Jork, gdzie od lat nie udało się wybudować nic wielkiego, wszędzie są korki, a metro „śmierdzi i wydaje dziwne dźwięki". Autor idzie nawet dalej, twierdzi, że na głębokiej chińskiej prowincji – takiej jak Kuejczou – infrastruktura jest lepsza niż w bogatych stanach obu amerykańskich wybrzeży.

Wang może doprowadzić zachodniego czytelnika do depresji. Zgodnie z jego tokiem rozumowania wszystko jest już stracone i za jedno lub dwa pokolenia te hipernacjonalistyczne, rewanżystowskie i – o zgrozo! – wciąż komunistyczne Chiny będą rządzić światem. Czytelnik jest pod stałym ostrzałem statystyk: Chiny produkują już dwie trzecie wszystkich aut na świecie; w chińskim przemyśle pracuje 100 mln ludzi, w USA – 13 mln. Trzy lata temu Chińczycy budowali ok. 1,8 tys. statków, Amerykanie – pięć. Za pięć lat w Chinach będzie 45 proc. całego globalnego przemysłu, a na całym Zachodzie, łącznie z USA – tylko 38 proc.

2 Między tymi wszystkimi liczbami jest jedna wręcz tragikomiczna historia. Tak się złożyło, że w 2008 r. Chiny i USA zapowiedziały budowę pierwszych linii szybkiej kolei – w obu przypadkach chodziło o porównywalne odcinki długości prawie 1,3 tys. km, między Pekinem i Szanghajem oraz San Francisco i Los Angeles. Chińczycy otworzyli całą linię już w 2011 r. za ok. 36 mld dol. Amerykanie, sparaliżowani rosnącymi kosztami i niekończącymi się procesami wywłaszczeniowymi oraz środowiskowymi, do dziś wybudowali nieco ponad 100 km, które mają być oddane do użytku może w 2030 r. Szacowany koszt całości – 128 mld dol.

Amerykański problem dotyczy również innych projektów infrastrukturalnych. W 2021 r. Kongres przeznaczył 42 mld dol. na internet szerokopasmowy dla społeczności wiejskich. Cztery lata później do tej sieci nie podłączono jeszcze ani jednego domu. Dwa lata po tym, jak Kongres przeznaczył 7,5 mld dol. na budowę stacji ładowania elektryków, w całych Stanach uruchomiono ich zaledwie siedem.

Według Wanga amerykańskim problemem nie są więc tylko pieniądze, ale też społeczno-polityczne otoczenie tych inwestycji. A zasada jest taka, że im bardziej stan lewicuje, im więcej w nim lokalnych aktywistów, tym trudniej tam cokolwiek wybudować, czego najlepszym przykładem jest Kalifornia.

Chiny nie mają tego problemu. Tamtejsze metody budowlane wiążą się przecież z eksmisją ludzi bez odszkodowania, luźnym – mówiąc eufemistycznie – podejściem do ochrony środowiska i bezpieczeństwa pracowników oraz centralnym wskazywaniem interesu publicznego bez zaangażowania (i zgody) lokalnych mieszkańców. Wang bierze to wszystko pod uwagę. Ale i tak stwierdza, że efekt końcowy, czyli tytułowe zawrotne tempo chińskiego rozwoju, w kontekście całego społeczeństwa wynagradza te niedociągnięcia.

3 Główna teza Wanga brzmi następująco: Chiny to „państwo inżynierów", którzy w zawrotnym tempie próbują nowymi mostami, stadionami i torami wybudować drogę do dobrobytu. Budują więc wszystko, gdzie się da, w przeciwieństwie do amerykańskiego „państwa prawników" blokującego wszystko, co się da (jak zauważa Wang, w USA na 100 tys. mieszkańców przypada 400 prawników, czyli trzykrotnie więcej niż w Europie), pod pretekstem obrony status quo, oczywiście za grube pieniądze. W efekcie Ameryka ugrzęzła w procedurach i zapomniała, jak się załatwia sprawy.

Ta „inżynieryjna przewaga" Chin zaczęła się rodzić jeszcze w latach 80. za Deng Xiaopinga. Kraj podnosił się po chaosie rządów Mao Zedonga, „romantyka" i „poety, który sprowadzał na Chińczyków wszelkiego rodzaju dziwne nieszczęścia", jak pisze Wang o jednym z największych zbrodniarzy w historii. Deng chciał uporządkować kraj za pomocą inżynierów, których zaczął promować na wyższe stanowiska. Do 2002 r. wszystkich dziewięciu członków Stałego Komitetu Biura Politycznego Komunistycznej Partii Chin było inżynierami.

W Stanach Zjednoczonych zaszedł w tym czasie przeciwny proces. Według Wanga od początku były one państwem prawników (niemal wszyscy ojcowie założyciele byli tego zawodu), ale ostatnie dekady okazały się pod tym względem katastrofalne. Dziś Amerykanie „żyją już w ruinach cywilizacji przemysłowej, której infrastruktura jest ledwo utrzymywana i rzadko rozbudowywana".

I nawet jeśli Donald Trump i jego polityka celna wymusi „repatriację" produkcji przemysłowej do USA – co wydaje się mało prawdopodobne na dużą skalę – to i tak na drodze do prosperity stanie inny problem: Amerykanie, porzucając myślenie inżynierskie, utracili wiedzę procesową, czyli – jak pisze Wang – „wrodzoną biegłość zdobytą dzięki praktycznemu doświadczeniu". Po prostu zapomnieli, jak się robi dobre rzeczy na wielką skalę.

4 Ten niezwykły rozwój Chin opiera się na konkretnej strategii. Pekin niewiele robi w zakresie redystrybucji od bogatych do biednych. Wręcz przeciwnie, przywódcy Chin wychodzą z założenia, że redystrybuujące państwo dobrobytu rozleniwia poddanych. Ich zdaniem o wiele lepiej jest arbitralnie przekierowywać kapitał na użyteczne budowy, choćby mosty. I nawet gdy te mosty – tak jak kilka w Kuejczou – z początku są donikąd, to w końcu coś tam się pojawi.

Na razie nawet najbiedniejszym Chińczykom wystarczy duma i satysfakcja z państwa, które „dowozi" wielkie projekty. A dług zaciągnięty na budowę jakoś się później spłaci. Chiny realizują więc na wskroś leninowski program, w którym państwo zachowuje ogromną swobodę w zarządzaniu zasobami gospodarczymi, aby utrzymać kontrolę polityczną.

To jednak rodzi wiele problemów, co chyba najlepiej widać na chińskim rynku nieruchomości. Kierownicy nawy państwowej z Pekinu bez mrugnięcia okiem przedstawiają wyburzanie całych dzielnic nowych bloków, często fatalnej jakości, jako przemyślaną strategię redukcji podaży i szerzej: zarządzania gospodarką.

Nadprodukcja, która do tego doprowadziła, ma wiele źródeł. Skorumpowany proces przetargowy, deweloperzy, którzy mają podwykonawców, a ci kolejnych podwykonawców, którzy pracują już na mikroskopijnej marży albo nawet i bez niej, robiąc przy tym fuszerkę. Konsekwencje ma to takie, że w Chinach jest coraz więcej tzw. domów tofu, które rozsypują się przy niewielkich trzęsieniach ziemi, a tych jest niemało.

Ale tu nawet nie chodzi o jakość, tylko o zarządzanie gospodarką właśnie. A nadprodukcja mieszkań to tylko jeden z efektów centralnego planowania, które nie jest w stanie wszystkiego zaplanować.

5 Niezrażeni tymi niedociągnięciami centralnego planowania inżynierowie z Komunistycznej Partii Chin próbują zaplanować coraz więcej. Już nie tylko kolejne mosty, koleje czy autostrady,

eprasa.pl 9ebcecf7a9

Dan Wang i jego głośna książka, której tytuł można przetłumaczyć jako „Zawrotna prędkość: chińskie dążenie do zaprojektowania przyszłości"

ale również całą chińską gospodarkę, a nawet chińskie społeczeństwo – tak jak planowaliby most czy fabrykę. Przy czym zgodnie ze swoim wykształceniem i gospodarkę, i społeczeństwo postrzegają jako ogromny, hydrauliczny system złożony z szeregu zaworów.

Przykładów jest wiele. Gdy Xi Jinping i jego ludzie uznali, że wpływ państwowych przedsiębiorstw na rynek nieruchomości jest już zbyt duży, po prostu zdusili ten sektor. Gdy Xi i spółka inżynierska doszli do wniosku, że tacy giganci usług jak Alibaba wysysają z rynku najzdolniejszych kosztem ważniejszych branż (półprzewodniki, chemia), ostro skrytykowali Alibabę, po czym akcje tej spółki zanurkowały.

To jest właśnie przeciwieństwo amerykańskiego – prawniczego – myślenia. Przecież jeśli w Dolinie Krzemowej powstają kolejne aplikacje przewozowe, kurierskie czy randkowe, a w Waszyngtonie oczekują kolejnych rakiet do lotów na Księżyc czy szybkich pociągów, nie mogą po prostu przestawić wajchy i zablokować powstania kolejnej aplikacji. Amerykańskie władze, gdy ich zdaniem kapitalizm zawodzi, mają odruch wręcz przeciwny – deregulacyjny.

I w końcu tylko państwo rządzone przez inżynierów, którzy postrzegają ludzi jako agregaty, zbiorowość, a nie jednostki, mogło sformułować i wdrożyć politykę opartą na masowej sterylizacji i przymusowych aborcjach w ramach zasady jednego dziecka, dzięki której Chiny zmierzają w stronę demograficznej katastrofy, nie mówiąc już o moralnych aspektach takiej polityki.

Tylko państwo rządzone przez inżynierów mogło tak jak Chiny potraktować pandemię. Gdy zaczął się lockdown, w najbogatszych miastach Chin ludzie pozamykani w mieszkaniach bali się głodu, dzieci były oddzielane od rodziców, przygnębieni single skakali z dachów wieżowców. A kiedy polityka ta została porzucona bez ostrzeżenia w grudniu 2023 r., nieuniknionym rezultatem był totalny covid. O tym jednak chińscy inżynierowie nie zamierzają mówić – cieszmy się rozwojem!

6 Książka Wanga wywołuje szereg wątpliwości. Po pierwsze, skąd wiemy, że różnice między Chinami i USA (inżynier/prawnik), które są osią książki Wanga, mają głębokie kulturowe źródła, a nie są po prostu naturalną konsekwencją poziomu rozwoju obu krajów? Innymi słowy, czy możliwe jest, że w miarę bogacenia się większość społeczeństw przechodzi transformację z modelu inżynierskiego do prawniczego? Choćby dlatego, że biedniejsze kraje muszą się dopiero zbudować i potrzebują do tego inżynierów. A jak już się wzbogacą, to potrzebują prawników, żeby zabezpieczyć swój majątek.

Wynika z tego druga wątpliwość co do rzeczonego geniuszu centralnych planistów z Pekinu. Z ekonomicznego punktu widzenia w biednych państwach ryzyko niewłaściwej alokacji kapitału jest niskie, ponieważ zwroty z jego inwestycji w niemal cokolwiek i tak są bardzo wysokie. Jeśli nie masz autostrad ani hut stali, to w sumie nie ma znaczenia, co zbudujesz najpierw; po prostu musisz budować.

Gdy jednak państwo się bogaci, maleją też zwroty z inwestycji – wówczas coraz większe znaczenie ma odpowiednia alokacja ograniczonego kapitału. I tu centralne planowanie zaczyna zawodzić, czego przykładów z najnowszej historii jest w bród. Tu lepiej sprawdza się polityka rozumiana jako przestrzeń wyznaczania reguł dla biznesu, który z zasady skuteczniej alokuje kapitał (nie licząc patologii). I teraz pytanie: kto zajmuje się interpretowaniem i egzekwowaniem reguł? Prawnicy.

Wang sugeruje, że Ameryka zawsze była prawnicza. Ale jak w takim razie Amerykanom udało się tak dużo zbudować: koleje, samoloty, samochody, supermarkety, drapacze chmur? Dlaczego amerykańscy prawnicy tego wszystkiego nie zablokowali? Dlaczego prawnik Franklin Delano Roosevelt jest uważany za twórcę największych programów budowlanych w historii? Jak w końcu prawniczej republice udało się przemysłowo zdominować świat po drugiej wojnie światowej, mimo że Amerykanów jest znacznie mniej niż Chińczyków?

7 Wraz z rozwojem gospodarczym udział przemysłu w PKB spada. Ten proces w różnych krajach przebiega w różnym tempie, czasem odchodzi od normy z powodu niestandardowej polityki, czytaj: wypychanie produkcji z USA w ostatnich 30 latach. Czasem jedne państwa odchodzą od przemysłu później niż inne, bo cały ich cykl jest opóźniony, patrz: Chiny od lat 80. Ale przeznaczeniem każdego bogacącego się kraju – niezależnie od tego, czy rządzi nim prawnik, czy inżynier – może być po prostu przejście od kultury inżynierskiej typu „po prostu buduj" do kultury drobiazgowych zasad i procedur, zdominowanej przez prawników.

Dan Wang ma zapewne rację, twierdząc, że cały Zachód, a w szczególności Stany Zjednoczone, ugrzązł w kulturze „po prostu ich pozwij". Ma rację, przekonując, że nierentowność wielkich chińskich projektów jest w sumie mniej ważna od tego, że miliony Chińczyków mają własne domy zasilane nowymi elektrowniami, które w dodatku napędzą nowe koleje wielkich prędkości.

Pytanie: czy można do tego dojść inną drogą niż chińska? Przy poszanowaniu praw i ludzkiej godności? Bo Wang zdaje się sugerować, że nie – powszechna szczęśliwość i duma z posiadania najwyższego mostu na świecie po prostu wymaga poświęcenia szczęścia jednostek. Ale przecież – zaryzykuję – jeśli spojrzeć na ostatnie trzy dekady, jest na świecie państwo, które w tempie rozwoju było na drugim miejscu za Chinami, a nie skopiowało tamtejszego modelu. Przy wszystkich swoich słabościach i niedociągnięciach jest nim Polska.

ŁUKASZ WÓJCIK

© FACEBOOK, MP

eprasa.pl 9ebcecf7a9

Sąd nad Francją

Wkrótce za kratki ma trafić były prezydent Nicolas Sarkozy. Czy Francja stała się już sędziokracją, czy właśnie dorasta do swojej dewizy o równości wszystkich obywateli?

MAREK OSTROWSKI

© ANTOINE ANTONIOL/BLOOMBERG/GETTY IMAGES

Prezydent Nicolas Sarkozy wita Muammara Kadafiego w Pałacu Elizejskim, 2007 r.

Na początku tego tygodnia Nicolas Sarkozy, były prezydent Francji (2007–12), musiał stawić się w sądzie. Ale już tylko po to, aby się dowiedzieć, gdzie i kiedy rozpocznie odbywanie kary więzienia. Został bowiem skazany na pięć lat odsiadki za udział w grupie przestępczej, która korzystała z pieniędzy reżimu libijskiego dyktatora Muammara Kadafiego, aby wspomagać partię prezydenta.

Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, pierwszy raz w historii były prezydent światowego mocarstwa trafi do więziennej celi. Co prawda Sarkozy'emu przysługuje jeszcze odwołanie, ale sąd apelacyjny podejmie jego sprawę najwcześniej za pół roku. A francuskie prawo – inaczej niż w Polsce – pozwala przy surowych wyrokach sadzać skazanego do więzienia od razu, bez czekania na ostateczne rozstrzygnięcie, które może zapaść po latach.

Prawo takie nie budzi zastrzeżeń i jest często stosowane w odniesieniu do zwykłych kryminalistów. Ale wywołuje zdziwienie w przypadku byłego prezydenta Republiki, która przecież często jest nazywana monarchią w przebraniu ze względu na zakres władzy prezydenckiej, przepych i ceremoniał. W przypadku Sarkozy'ego doraźną decyzję o więzieniu sąd uzasadnił „faktami o szczególnej wadze, zdolnymi zachwiać zaufaniem obywateli do tych, którzy ich reprezentują".

Francja jest radykalnie podzielona w ocenie tego wyroku. Prawica z Marine Le Pen widzi w nim dowód na upolitycznienie sądownictwa. Lewica – przeciwnie, twierdzi, że wymiar sprawiedliwości po prostu wykonuje swoje zadania i że to powód do dumy, iż właśnie we Francji ktoś z samego szczytu potęgi politycznej traktowany jest tak samo jak zwykły obywatel.

Wszystko to w samym środku politycznego huraganu, który właśnie zmiótł kolejnego premiera – Sébastien Lecornu urzędował niecały miesiąc i poddał się, nie mogąc stworzyć rządu przy podzielonym parlamencie. A skrajna lewica i skrajna prawica, najsilniejsze dziś ugrupowania we Francji, domagają się ustąpienia prezydenta Emmanuela Macrona lub przynajmniej rozpisania nowych wyborów parlamentarnych. W takich warunkach Francja musi się mierzyć z naruszeniem prestiżu prezydentury.

W namiocie Kadafiego

Przypomnijmy, o co chodziło w sprawie Sarkozy'ego. Za jego prezydentury Paryż zabiegał o względy Libii. Na świecie przeważało jednak oburzenie Kadafim, krwawym dyktatorem, winnym m.in. wysadzenia w powietrze samolotu pasażerskiego nad Szkocją. Prezydent Sarkozy już na początku kadencji w 2007 r. zawarł z Kadafim lukratywne dla Francji kontrakty zbrojeniowe, a później na bogato przyjął go w Paryżu; Libijczykowi pozwolono rozbić własny namiot w ogrodzie Pałacu Elizejskiego. Bliskie stosunki nie ulegały wątpliwości.

Cztery lata później, przy okazji obalenia Kadafiego w wyniku brytyjsko-francuskiej interwencji, wyszło na jaw, że Libijczyk jakoby wysyłał pieniądze Sarkozy'emu. Mówił o tym m.in. dyrektor gabinetu dyktatora i Kadafi syn, który po przewrocie domagał się nawet ich zwrotu. Notatki o przelewach odnaleziono też w zeszycie libijskiego ministra Choukri Ghanema, którego zwłoki w 2012 r. – co za przypadek! – wyłowiono z Dunaju w Wiedniu. Z jego zapisków wynika, że pieniądze „pogubiły" się w rękach kolejnych pośredników.

eprasa.pl 9ebcecf7a9

Śledztwo przeciw Sarkozy'emu rozpoczęło się po zakończeniu jego prezydenckiej kadencji (immunitet) i nabrało tempa, gdy pojawiły się kolejne notatki – tym razem szefa libijskiego wywiadu, z których ma wynikać (portal Mediapart w 2016 r. opublikował ich zdjęcie), że Kadafi zgodził się przekazać Sarkozy'emu 50 mln euro. Wartość tych dowodów graniczy jednak z literaturą kryminalną.

Śledztwo trwało 13 lat i dotyczyło wydarzeń sprzed 18! Przewlekłość postępowania jest dziś, niestety, wspólną cechą sądów w Europie. Najwyżej połowa Francuzów – jak to wynika z badań sondażowych – ma zaufanie do wymiaru sprawiedliwości. Poza tym, tak jak w wielu krajach, terminologia prawnicza i procedury są absurdalnie hermetyczne.

Przykład: sędziowie uniewinnili Sarkozy'ego od trzech głównych zarzutów: korupcji, finansowania kampanii i paserstwa libijskich funduszy. Nie znaleziono libijskich pieniędzy na jego koncie czy kontach rodziny. Utrzymał się tylko czwarty zarzut – działania w zorganizowanej grupie przestępczej. Inaczej mówiąc, sędziowie uznali, że wysługiwał się pomocnikami ze swego otoczenia do nielegalnych działań.

Wątpiący w sensowność wyroku pytają: ale co Kadafi miałby w zamian uzyskać od Sarkozy'ego? Inni zwracają uwagę, że zarzut działania w grupie to wytrych prawny, bardzo nieostra definicja pozwalająca na dowolną interpretację. Poza tym Sarkozy to niejedyna osoba skazana w tej sprawie, ale mówi się w zasadzie tylko o nim. Dlatego konstytucjonalistka Marie-Anne Cohendet z Sorbony ma mieszane uczucia, bo z jednej strony pojawia się szacunek dla wysokiej funkcji, a z drugiej głęboko zakorzenione francuskie przekonanie, że prawo powinno być równe dla wszystkich – zarówno w przypadku kar, jak i przywilejów. Ale przecież każdy wie, że tak nie jest.

No, proszę pana...

Miałem kiedyś okazję rozmawiać z byłym prezydentem Francji Valéry Giscardem d'Estaing (1926–2020) o ściganiu Sarkozy'ego – w innej sprawie: fałszywych faktur i przekroczenia progu wydatków partyjnych w kampanii. Giscard d'Estaing był wyraźnie zniesmaczony uporczywością prokuratury ścigającej prezydenta. Uważał, że to nadmiar gorliwości. Wtedy Sarkozy został skazany, ale zamiast siedzieć w więzieniu nosił bransoletkę elektroniczną.

Od tamtych czasów media bardzo się zmieniły. Pamiętam sprawę diamentów, które groteskowy dyktator Republiki Środkowej Afryki Jean-Bédel Bokassa (ogłosił się potem cesarzem i koronował jak Napoleon) podarował Giscardowi. Tylko raz, przed debatą telewizyjną w finale kampanii prezydenckiej 1981 r., jeden znany dziennikarz odważył się o to Giscarda zapytać na wizji. Prezydent spojrzał na dziennikarza z niesmakiem, odpowiadając tylko: „No, proszę pana...", co miało oznaczać, że zachowanie wobec prezydenta jest niestosowne.

Po najnowszym wyroku na Sarkozy'ego w dyskursach politycznych pojawiły się liczne ataki na sędziów. Pewien dziennikarz w telewizji CNews mówił o podejrzeniu korupcji w sądach i pytał, czy nie należałoby prześwietlać sposobu powoływania sędziów i pomyśleć o metodach kontrolowania ich pracy. Były doradca Sarkozy'ego piętnował „pewien rodzaj sądowego zamachu stanu". Sam Sarkozy atakował całe postępowanie jako „sprzeczne z państwem prawa" i mówił, że to nie on, ale „Francja została upokorzona".

Oburzył się na te słowa dziennik „Le Monde", który napisał, że nie można występować przeciw instytucjom państwa, bo ich respektowanie jest fundamentem pokoju społecznego. „Od USA, poprzez Węgry, po Izrael widać, jak degradacja demokracji może prowadzić do pogardy dla wymiaru sprawiedliwości i wkraczania polityki w sferę sądownictwa. (...) To ostrzeżenia, których Sarkozy nie chce słuchać, a jego reakcja tylko pogłębia trumpizację francuskiej debaty" – wyrokuje dziennik.

Francuska prawica zaczyna jednak przesiąkać atmosferą podobną do trumpizmu. Również we Francji na popularności zyskuje teza o istnieniu tzw. *deep state,* skrytych sił w państwie pociągających za sznurki wymiaru sprawiedliwości, który ma być jakoby opanowany przez lewackich sędziów.

Przecież ten sam wymiar sprawiedliwości – twierdzi prawica – który dziś reguluje swe rachunki z konserwatywnym prezydentem (Sarkozy wielokrotnie atakował sędziów), storpedował w 2017 r. kampanię prezydencką centroprawicowego faworyta François Fillona (śledztwo w sprawie żony zatrudnionej jako asystentka), w efekcie czego wygrał Macron. A ostatnio pozbawił praw wyborczych Le Pen.

Nowa warstwa

Warto jednak pamiętać, że choć rzeczywiście połowa Francuzów nie ufa sędziom, to – według barometru zaufania Cevipof – aż trzy czwarte z nich uważa, że francuscy politycy są „skorumpowani" albo „raczej skorumpowani". W związku z tym socjologowie piszą nawet o trudno mierzalnym, lecz wyczuwalnym nacisku opinii publicznej na wymiar sprawiedliwości. Być może tym należy tłumaczyć fakt, że to Francja dzierży absolutny rekord skazywania osób na świeczniku.

Teraz w centrum jest przypadek Sarkozy'ego. Ale przecież skazany był także inny eksprezydent Jacques Chirac (za przydzielanie zwolennikom mieszkań w stolicy, kiedy był merem Paryża), premierzy Alain Juppé (za tworzenie fikcyjnych etatów w merostwie Paryża) czy wspomniany już Fillon. Za kadencji François Hollande'a aż pięciu ministrów odeszło z powodu zarzutów korupcyjnych lub oszustw podatkowych. Szczytem wszystkiego była afera Jérome'a Cahuzaca, ministra budżetu, powołanego do walki z oszustwami podatkowymi – szybko okazało się, że sam dopuszczał się takich oszustw. Ostatecznie skazano go na trzy lata więzienia.

Filozof i wydawca poważanego dwumiesięcznika „Le Débat" Marcel Gauchet twierdzi, że we Francji powstała warstwa społeczna, która stawia się ponad prawem i uważa, że obowiązki wobec społeczeństwa jej nie dotyczą. Minister budżetu oszukiwał na podatkach! „To tak, jakby arcybiskup Paryża organizował czarne msze albo szef policji dopuszczał się włamań" – pisał wtedy tygodnik „Le Nouvel Observateur".

Wyrok na Sarkozy'ego to symboliczny finał procesu zachodzącego w głowach prokuratorów i sędziów, który we Francji zapoczątkowała afera Elf Aquitaine: ogromny skandal korupcyjny państwowej firmy naftowej z lat 90., który ujawnił system łapówkarstwa na najwyższych szczeblach i dotyczył osób uważanych za pieszczochów władzy i biznesu. Doprowadzenie ich przed sąd było wynikiem odwagi i energii sędziów śledczych Evy Joly i Laurence Vichnievsky. To cała epopeja, w której tym dzielnym kobietom grożono nawet śmiercią. Ale dziś francuscy sędziowie już się nie boją. ■

eprasa.pl 9ebcecf7a9

Czeska tęsknota

Polski rząd stracił właśnie ostatniego sojusznika w Grupie Wyszehradzkiej. Czechy pod rządami Andreja Babiša dołączą do protrumpowskiej międzynarodówki.

ALEKSANDER KACZOROWSKI

© PAP/EPA/MARTIN DIVISEK

Rozmiary zwycięstwa partii ANO w wyborach parlamentarnych z 3–4 października zaskoczyły nawet jej przywódcę, 71-letniego miliardera Andreja Babiša. Ugrupowanie, którym kieruje jak własną firmą, zdobyło niemal 35 proc. głosów i 80 mandatów w dwustuosobowej Izbie Poselskiej. Jeszcze nigdy w historii tylu Czechów – niemal 2 mln – nie zagłosowało w wolnych wyborach na żadną partię.

ANO wygrała wszędzie z wyjątkiem Pragi. A w wielu regionach zgarnęła niemal połowę głosów, zwłaszcza w spauperyzowanym „pasie rdzy" na północy kraju, ciągnącym się wzdłuż granicy z Niemcami i Polską. Tam frekwencja – i tak rekordowo wysoka (69 proc.) – była najwyższa w kraju.

Babiš zmobilizował wyborców, którzy najdotkliwiej odczuli skutki prowadzonej przez centroprawicowy rząd Petra Fiali polityki zaciskania pasa. A także tych, którzy patrzą krzywym okiem na największą w Europie (w stosunku do ogółu mieszkańców) liczbę ukraińskich uchodźców. I tych, którzy boją się wojny z Rosją, ale nie chcą wydawać 5 proc. PKB na zbrojenia.

Przyszły premier już zapowiedział, że nie przeznaczy ani jednej korony z budżetu państwa na pomoc wojskową dla Kijowa. W kampanii wyborczej oświadczył także, że wycofa się z firmowanej przez ustępujący rząd Petra Fiali i prezydenta Petra Pavla inicjatywy amunicyjnej, w ramach której Czesi zorganizowali kupno na międzynarodowych rynkach ponad 2,5 mln pocisków artyleryjskich dla Ukrainy.

– *Babiš nie jest prorosyjski, on nie ma żadnych interesów w Rosji* – uspokaja politolog Jiří Pehe, były doradca prezydenta Václava Havla. – *Z pewnością nie chce narobić sobie wrogów w Europie. Będzie po cichu pomagał Ukrainie, a mówił co innego, żeby dogodzić swoim przyjaciołom z Węgier i Słowacji. Za jego poprzedniego premierostwa też widzieliśmy dwóch Babišów: jednego w kraju, drugiego w Brukseli.* Inaczej widzi to Roman Joch, szef konserwatywnego Instytutu Obywatelskiego: – *Babiš sam jeszcze nie wie, co zrobi, ale na pewno nie będzie pomagał Ukrainie tak jak obecny rząd.*

Skrajni koledzy

Przyszły premier musi się liczyć z opinią prezydenta Pavla. A ten zaś już zapowiedział, że nie zgodzi się na objęcie ważnych resortów przez polityków kwestionujących prozachodnią orientację kraju lub też mogących zaszkodzić jego wizerunkowi za granicą. Będzie też oczekiwał do Babiša deklaracji, w jaki sposób ten zamierza uniknąć konfliktu interesu, będąc jednocześnie premierem i siódmym najbogatszym człowiekiem w kraju. Zgodnie z obowiązującym prawem polityk może przepisać majątek na dzieci, powierzyć go tzw. ślepemu funduszowi, nad którym nie będzie miał kontroli – albo sterować rządem z tylnego siedzenia.

Babiš do rozmów o przyszłej koalicji zaprosił przedstawicieli dwóch najbardziej skrajnych ugrupowań, skupiających nacjonalistów, eurosceptyków i moskalofilów. Pierwsze z nich, Zmotoryzowani (7 proc. głosów, 13 mandatów), powstało pod auspicjami byłego premiera i prezydenta Václava Klausa. Partia zrzesza zwolenników wolnego rynku, silników spalinowych i niczym nieograniczonej motoryzacji. A także, rzecz jasna, przeciwników Zielonego Ładu, Komisji Europejskiej, ekologii i cyklistów.

Zmotoryzowani wraz z ANO, Fideszem Viktora Orbána, austriacką FPÖ czy francuskim Zjednoczeniem Narodowym Marine le Pen współtworzą w europarlamencie protrumpowską frakcję Patrioci dla Europy. Nie zamierzają jednak wychodzić z UE i nie są jawnie prorosyjscy jak skrajni nacjonaliści z Partii Demokracji Bezpośredniej Tomia Okamury (8 proc., 15 mandatów). Ci drudzy w europarlamencie współpracują ze skrajnie prawicową Alternatywą dla Niemiec.

Zmotoryzowani, na których czele stoi 47-letni Petr Macinka, domagają się trzech ministerstw, w tym resortu dyplomacji. Babiš może się na to zgodzić, bo sprawy zagraniczne nie są jego priorytetem. Z wyjątkiem relacji z USA, a tak naprawdę z Donaldem Trumpem. Czeski polityk spotkał się już z nim w 2018 r. i z pewnością będzie zabiegał o kolejną wizytę w Białym

eprasa.pl 9ebcecf7a9

Domu. – *Stosunki ze Stanami Zjednoczonymi są ważne dla każdego premiera Czech* – przypomina Joch.

W przypadku Babiša chodzi jednak o coś więcej; czeski polityk stara się uchodzić za sojusznika Trumpa, nosi charakterystyczne czerwone czapeczki z napisem Silné Česko, kopiuje jego model funkcjonowania w mediach społecznościowych. On także posiada gigantyczny majątek i choć stroi się w szaty rzecznika i obrońcy ludu, tak naprawdę jest zwolennikiem ekonomicznej wolnoamerykanki. Jeśli w Czechach w ogóle możliwy jest odpowiednik ruchu MAGA (Make America Great Again), to właśnie Babiš jest jego prorokiem.

Bliżej Budapesztu

Trumpowska wizja świata, w którym nie ma miejsca dla silnej Unii, ale znajdzie się kącik dla środkowoeuropejskich wasali, odpowiada Babišowi i jego politycznym przyjaciołom, Viktorowi Orbánowi i Robertowi Ficy. Babiš jest z pochodzenia Słowakiem i już zapowiedział, że w pierwszą podróż zagraniczną uda się do Bratysławy. Stosunki Czech ze Słowacją, w ostatnich latach ograniczone do minimum z powodu prokremlowskiej polityki Ficy, znów mają być wzorowe.

USA, Węgry, Słowacja – Babiš nie potrzebuje resortu dyplomacji, by porozmawiać z przywódcami tych państw. A na kontaktach z wieloma innymi mu nie zależy. Na krótkiej liście jest jeszcze prezydent Francji Emmanuel Macron (Babiš biegle mówi po francusku). Nie ma na niej za to polskich polityków. Za swoich poprzednich rządów Babiš pokłócił się z PiS o kopalnię węgla brunatnego w Turowie i nigdy nie szukał kontaktu z ówczesną opozycją.

Niechęć do Babiša jest też wspólnym mianownikiem całej polskiej klasy politycznej. Ten potomek komunistycznej nomenklatury, oskarżany o współpracę z bezpieką, w latach 90. zbił majątek podczas prywatyzacji państwowych przedsiębiorstw. Kolejne miliardy zarobił na dotacjach rolniczych po wejściu Czech do UE.

Z tamtych czasów ciągnie się za nim zarzut wyłudzenia środków unijnych na kompleks wypoczynkowy Bocianie Gniazdo. Śledztwo trwa od 10 lat, Babiš zasłania się immunitetem poselskim i zapewne znów mu się upiecze, bo obronią go przyszli koalicjanci – Zmotoryzowani i SPD Tomia Okamury.

Ten ostatni polityk, 53-letni pół Czech, pół Japończyk, w zamian domaga się stanowiska przewodniczącego parlamentu i trzech ministerstw dla swoich posłów. Wszyscy oni są znani z ksenofobicznych, antyukraińskich wypowiedzi; zarzuty w tej sprawie postawiono także samemu Okamurze. Mimo to jest niemal pewne, że zostanie przewodniczącym izby niższej czeskiego parlamentu.

Mniejsze szanse na prestiżową posadę ma kandydat Zmotoryzowanych na szefa resortu dyplomacji, 40-letni europoseł Filip Turek. Ten były kierowca rajdowy, ostatnio słynący z łamania przepisów drogowych, miał zwyczaj hajlować w miejscach publicznych, co tłumaczy specyficznym poczuciem humoru i błędami młodości.

Wydaje się mało prawdopodobne, by prezydent Pavel zaakceptował obecność takich polityków w rządzie. Niewykluczone więc, że ostatecznie mniejsze ugrupowania skierują do gabinetu Babiša bezpartyjnych fachowców albo wesprą mniejszościowy rząd ANO. Jest też możliwy, choć niezbyt realny wariant, w którym to część opozycji wesprze mniejszościowy rząd Babiša, byle tylko nie dopuścić do władzy skrajnych nacjonalistów.

Poparcie dla ANO od lat utrzymuje się na stałym, mniej więcej 30-procentowym poziomie i w dużej mierze wynika z nierównomiernego rozwoju kraju. Nasi południowi sąsiedzi statystycznie są wciąż zamożniejsi od nas, ale poziom życia w Pradze i największych miastach, takich jak Brno czy Pilzno, znacznie bardziej niż u nas odbiega od realiów życia w małych miejscowościach.

Mieszkańcy prowincji czują się porzuceni przez liberalne wielkomiejskie elity. ANO karmi się tymi kompleksami i brakiem wiarygodnej lewicowej alternatywy. Czeska socjaldemokracja nie przeżyła aliansu z Babišem w latach 2014–21. Praktycznie przestała istnieć, a jej niedobitki w sojuszu z komunistami i putinofilami z koalicji Dość! kolejny raz nie dostały się do parlamentu.

Nowy podział

Zdaniem wielu komentatorów klasyczny podział na lewicę i prawicę w Czechach nie ma już racji bytu. – *Linia podziału politycznego przebiega między populistami i skrajną prawicą z jednej strony a zwolennikami liberalnej demokracji z drugiej* – uważa Jiří Pehe.

Obóz liberalnej demokracji poniósł porażkę w wyborach, ale wciąż jest mocny, nie tylko w Pradze. Centroprawicowa Koalicja Razem (23 proc. i 52 mandaty), samorządowcy z ruchu STAN (11 proc., 22 mandaty) i progresywni Piraci (9 proc., 18 mandatów) wspólnie mają więcej posłów niż ANO. Dysponują też przewagą w senacie i mogą być pewni wsparcia ze strony prezydenta Pavla. – *Czechom nie grozi los orbanowskich Węgier* – uważa Pehe.

Napawającym nadzieją *novum* w czeskiej polityce, tradycyjnie zdominowanej przez ambitnych mężczyzn, jest wyjątkowo mocna reprezentacja kobiet w nowym parlamencie. Posłanki obejmą aż 14 spośród 18 mandatów, które przypadły Piratom, i 13 spośród 22 zdobytych przez samorządowców z ruchu STAN. Zajmą jedną trzecią miejsc w izbie niższej parlamentu; więcej niż kiedykolwiek wcześniej.

Największym przegranym wyborów jest zaś 61-letni premier Fiala. Dzięki niemu Czechy wyszły z pocovidowej recesji, a po agresji rosyjskiej na Ukrainę stanęły w pierwszym szeregu sojuszników, wspierając wysiłek militarny Kijowa i przyjmując setki tysięcy uchodźców. Pozbawiony charyzmy i tupetu Babiša Fiala okazał się politykiem wiarygodnym i skutecznym. Umiał znaleźć wspólny język zarówno z Jarosławem Kaczyńskim, jak i z Donaldem Tuskiem. Czesi jeszcze za nim zatęsknią. My pewnie też. ■

eprasa.pl 9ebcecf7a9

O małpach po ludzku

„Gdy spojrzysz w oczy szympansa, wiesz, że patrzysz w myślący umysł" – powiedziała kiedyś Jane Goodall. Niedawno zmarła badaczka i aktywistka wyprzedziła swoją epokę.

MARTA ALICJA TRZECIAK

Gdy Jane Goodall wyruszała w latach 60. na swoją słynną wyprawę do Gombe, szympansy traktowano jak nieszczególnie rozumne, raczej uległe roślinożerne „małpki", które nadają się przede wszystkim do programów rozrywkowych. Poprzebierane w ludzkie ubrania odtwarzały to, czego nauczył je człowiek. Jeździły na kucykach lub rowerkach, klaskały w rytm muzyki, chodziły na szczudłach, skakały przez obręcze, przybijały piątkę. Same z siebie – uważano – nie są zdolne do żadnej kreatywności. Badania

© TUNS/FORUM

eprasa.pl 9ebcecf7a9

Goodall skompromitowały ten pogląd, utorowały również drogę kolejnym projektom. Tuż po niej w teren ruszyły: Dian Fossey badająca goryle w Rwandzie (zamordowana w 1985 r.), Birutė Galdikas analizująca obyczaje orangutanów w Borneo i Jeanne Altmann zgłębiająca życie pawianów w Kenii. To między innymi dzięki tym kobietom i ich projektom współczesna prymatologia terenowa rozwija się w zawrotnym tempie.

Kreatywność i pudła

Niewiele brakowało, żeby naczelne zyskały podmiotowość już w drugiej dekadzie XX w. Wówczas niemiecki psycholog Wolfgang Köhler prowadził pierwsze przełomowe badania nad szympansami. Wykazał, że zwierzęta te potrafią stawiać jedno pudło na drugim, by dosięgnąć do umieszczonego wysoko pożywienia. Mogą też połączyć dwa krótsze kawałki bambusa, tworząc narzędzie do strącania przedmiotów znajdujących się poza ich zasięgiem.

Te odkrycia nie odbiły się jednak szerokim echem w świecie nauki. Köhler publikował po niemiecku, a gdy już przetłumaczono jego prace na angielski, etologia (nauka o zachowaniu zwierząt) wykonywała zwrot w stronę mechanistycznego behawioryzmu spopularyzowanego m.in. przez amerykańskiego psychologa Burrhusa Skinnera. Propagatorzy tego nurtu uważali, że zwierzęta uczą się jedynie metodą wielu prób i błędów. Skoro szympansy dostały od człowieka pudła – rozumowano – to wiadomo, że prędzej czy później postawiły je w konfiguracji, która okazała się dla nich korzystna. Nie można zatem powiedzieć, że wykazywały się jakąś nieszablonowością w działaniu. Poza tym Köhler prowadził doświadczenia na zwierzętach w niewoli. Nie udowodnił zatem, że bez ingerencji człowieka szympansy same z siebie podjęłyby podobne działania.

Właśnie dlatego odkrycia Goodall zmieniły sposób patrzenia na małpy. Jako pierwsza opisała (i spopularyzowała poza światem nauki) spontaniczne tworzenie przez szympansy „wędek" na termity. Małpy te aktywnie przeszukują swoje otoczenie w poszukiwaniu gałązek o odpowiednich parametrach: krótszym, grubszym i sztywniejszym kijkiem robią w termitierze dziurę, a dłuższy, cienki i elastyczny wkładają do gniazda owadów, by następnie oblizać oblepione nimi narzędzie.

Po tych odkryciach nastąpił rozkwit projektów terenowych dotyczących naczelnych. Trwa do dziś, tyle że badania są długoterminowe (a nie, jak kiedyś, robione z doskoku) i bardziej skrupulatne. W efekcie mamy do czynienia z ogromnym bogactwem prac naukowych opisujących kreatywność tych zwierząt, a także ich złożone życie społeczne, „kulturę" i „język" (nie wszyscy badacze uznają, że można zdjąć z tych określeń cudzysłów).

Owadzie soki i samoleczenie

Współcześnie nikogo już nie dziwi, że szympansy, goryle czy orangutany korzystają z patyków jako wędek, z kamieni jako kowadeł, z naostrzonych zębami gałęzi jako włóczni, z długich witek jako głębokościomierzy podczas przeprawiania się przez rzekę. Obecne projekty badawcze skupiają się na ustaleniu, jak daleko sięgają małpie kompetencje i w jak zaawansowany sposób zwierzęta te korzystają z zasobów znajdujących się w ich środowisku.

W 2022 r. na łamach „Current Biology" ukazały się wyniki półtorarocznej obserwacji dzikich szympansów ze stada Rekambo, żyjącego w Parku Narodowym Loango, w Gabonie. Badaczki z uniwersytetu w Osnabrück opisały zachowanie 22 członków tej grupy, którzy opatrywali i pielęgnowali swoje rany. Robili to, chwytając ściśle określone typy owadów, a następnie wykorzystując ich soki i wydzieliny do nacierania uszkodzonych tkanek. Niestety, nie udało się zidentyfikować gatunku stawonogów wykorzystywanych do tych celów, ale obserwatorki zanotowały, że były to drobne owady, dobierane i wybiórczo chwytane do opatrywania ran, a nie do konsumpcji.

Wśród uchwyconych scen dwie były szczególnie wyraźne. Bohaterem pierwszej był dorosły samiec Freddy, który poprzedniego dnia doznał – najpewniej wskutek wypadku, nie walki – obrażenia zgięcia łokciowego. Odpoczywając, w pewnym momencie zauważył na pobliskiej roślinie owada. Szybko go schwytał i zaczął naprzemiennie ściskać, nawilżać w ustach i nacierać nim ranę. Powtarzał to kilkakrotnie, również w kolejnych dniach, za każdym razem, gdy spostrzegł pożądany gatunek (a może typ?) stawonoga. W sumie samoleczenie trwało cztery dni.

Druga obserwacja dotyczyła Suzee i jej dzieci. Samica leżała ze swoim niemowlęciem, Sassandrą. Kiedy zauważyła na spodzie pobliskiego liścia owada, złapała go, odsunęła Sassandrę i podeszła do leżącego nieopodal Sii – swojego młodocianego syna. Uchwyciła jego lewą stopę, na której widniała kilkucentymetrowa rana, i zaczęła ją nacierać owadem tak, jak wcześniej to robił Freddy. W tym czasie Sassandra uważnie obserwowała działania matki. Wkrótce do pielęgnującej ranę Suzee podeszła również Joy ze swoim niemowlęciem oraz dorosły samiec Littlegrey – wszyscy uważnie przyglądali się działaniom doświadczonej szympansicy. Aplikowany na uszkodzone tkanki owad prawdopodobnie wydzielał składniki, które działały przeciwzapalnie i przyspieszały regenerację – uważały autorki badań. Członkowie stada zdawali się natomiast zapamiętywać, jak wygląda „leczniczy" stawonóg i jak go można wykorzystać.

Roślinne wyciągi i opatrywanie ran

Szympansy nie są jedynymi naczelnymi, u których udokumentowano wykonywanie okładów na uszkodzone tkanki. W 2024 r. badaczki z Instytutu Maxa Plancka i indonezyjskiego Universitas Nasional opisały proces samoleczenia otwartych ran przeprowadzony przez orangutana sumatrzańskiego imieniem Rakus. Po walce z innym samcem miał rozległą ranę na twarzy, i to w bardzo wrażliwym miejscu – tuż pod okiem. Przez pierwsze trzy dni obrażenie nie goiło się zbyt dobrze, a zaognione tkanki nie pokrywały się regeneracyjnym strupem. Czwartego dnia samiec zaczął zrywać liście rośliny z gatunku *Fibraurea tinctoria*, a następnie przeżuwać je, aż zmieniły się w kleistą papkę. Następnie nakładał ją na zranioną okolicę. Po czterech dobach stosowania tych praktyk obrażenie się zasklepiło, a po miesiącu doszło do całkowitej regeneracji skóry i tkanki podskórnej.

F. tinctoria ma udokumentowane właściwości przeciwbakteryjne, przeciwgrzybicze i przeciwzapalne. Nie ma dowodów, że Rakus znał to działanie. Autorki podkreślają jednak, że roślina ta nie znajduje się w typowym jadłospisie tych zwierząt – notowane spożycia u tego gatunku stanowią zaledwie 0,3 proc. całej diety orangutanów. To odniesienie do codziennego jadłospisu jest ważne dla badaczy usiłujących analizować intencje naczelnych. Aby bowiem wykazać, że zwierzę podjęło jakąś czynność celowo, należy udowodnić, że działanie to różni się od jego zwykłych obyczajów, skupiających się na przetrwaniu. Jeśli np. jakiś surowiec jest spożywany rutynowo, to nie można wykluczyć, że szympans czy orangutan przeżuł go i zaaplikował na ranę przypadkowo, bez założonego wcześniej celu. ▶

eprasa.pl 9ebcecf7a9

▶ Te kwestie były punktem wyjścia pracy, która ukazała się w 2024 r. w „PLOS One". Autorzy przeanalizowali typową dietę szympansów i zestawili ją z roślinami, które zwierzęta te spożywają, gdy są chore, osłabione czy ranne. Wytypowali 13 gatunków drzew i ziół zjadanych w celach pozaodżywczych. Następnie sami pobrali próbki i przetestowali w warunkach laboratoryjnych. Sprawdzali m.in., czy zatrzymują wzrost bakterii *Escherichia coli*, *Staphylococcus aureus* czy *Enterococcus faecium*, a także czy hamują cyklooksygenazę-2 – enzym, który jest jednym z markerów stanu zapalnego. Okazało się, że tak: 88 proc. próbek działało przeciwbakteryjnie, a 33 proc. dawało efekt przeciwzapalny (wartości te nie sumują się do 100 proc., bo niektóre rośliny miały podwójne działanie).

Bębny i komunikacja

Przytoczone przykłady świadczą o tym, że małpy są bardzo kompetentnymi użytkownikami swojego środowiska i potrafią w wybiórczy i twórczy sposób wykorzystywać dostępne zasoby. Zamiast więc pytać, „czy bez udziału człowieka naczelne są zdolne do kreatywnych działań?", trzeba się zastanowić, jak bardzo niewola paraliżuje naturalne zdolności szympansów, orangutanów czy goryli. Jeśli żyją w niezmiennym, niewielkim środowisku, które nie stawia przed nimi żadnych wyzwań, ich naturalne nowatorstwo nie ma gdzie i jak się objawić. Tym bardziej gdy zasoby, którymi dysponują, są w pełni kontrolowane przez człowieka. Owszem, to on zapewnia im pudła, bambusy czy liany, nie daje za to owadów ani roślin leczniczych. To samo odwrócenie perspektywy powinno dotyczyć „kultury" naczelnych.

Badania Jane Goodall (1934–2025) zmieniły sposób patrzenia na małpy. To ona jako pierwsza opisała spontaniczną kreatywność szympansów.

W maju tego roku w „Current Biology" ukazały się badania, którymi objęto 11 szympansich rodzin żyjących na terenie Afryki Wschodniej (cztery klany) i Zachodniej (siedem klanów). Analizowane grupy od czasu do czasu intencjonalnie bębniły w duże drzewa. Badacze nie tylko ustalili, że każdy osobnik ma własny styl uderzania, ale też że po rytmie można odróżniać klany między sobą. Zdaniem naukowców „granie na drzewach" może pełnić u szympansów różne funkcje. Czasem służy komunikacji i wzajemnemu lokalizowaniu poszczególnych osobników z tego samego klanu. Innym razem jest to sygnał nawołujący lub odstraszający inne stada. Niekiedy ma zaimponować (partnerom, rywalom) i dowieść zręczności i siły bębniarza. A bywa też, że szympansy uderzają w drzewa tylko po to, by dać upust emocjom.

Dźwięki i składnia

W 2022 r. na łamach „Nature Communications" ukazały się badania, z których wynika, że wokalna komunikacja szympansów może być dość pojemna znaczeniowo, a także – że posiada pewną składnię. Na pierwszym etapie projektu naukowcy zanotowali, że zwierzęta z grupy Sonso, żyjącej w Ugandzie, często posługują się dwoma rodzajami wokalizacji. Jedna sygnalizuje zaskoczenie lub strach, gdy np. nagle zobaczą węża. Druga ma przywołać innego osobnika, coś mu pokazać, czymś się podzielić.

Oba zawołania nagrano osobno, a następnie odtwarzano członkom stada Sonso i notowano ich reakcje (jak szybko podchodzą do głośnika, jak długo przy nim pozostają, jak wytrwale przeszukują teren w pobliżu). Każdy z komunikatów wywoływał znacznie słabszą reakcję niż ich połączenie. Według naukowców oznacza to, że szympansy posługują się podstawową składnią i rozumieją, że oba zawołania razem dają nową jakość. Zwykłe „chodź tu" wywołuje więc zupełnie inny efekt niż „chodź tu, zagrożenie!".

W 2024 r. te doniesienia poszerzono o nowe dane opublikowane na łamach „Behavioral Ecology and Sociobiology" – szympansy potrafią się posługiwać tzw. komunikacją wielomodalną. Czyli wzbogacają komunikaty wokalne gestami i mową ciała, poszerzając lub doprecyzowując znaczenie. Na przykład samo chrząknięcie oznacza stan relaksacji, sygnalizuje dobrostan zwierzęcia. Kiedy towarzyszy mu pielęgnacja sierści innego osobnika, ma to być wyraz sympatii („lubię cię", „dobrze się z tobą czuję"). A gdy takie samo chrząknięcie jest wydawane w czasie wymiany spojrzeń, jest to forma zachęty do kontaktu, zbliżenia się, wspólnego spędzenia czasu.

Te interpretacje są oczywiście niesłychanie podatne na błędy antropomorfizacji i stanowią jedynie nieudolną formę tłumaczenia „z szympansiego na nasze". Dają jednak jakieś pojęcie o złożoności świata komunikacyjnego tych zwierząt. Autorzy omawianych badań udowodnili, że poszczególne kombinacje „wokalizacja-gest" nie są przypadkowe ani łączone losowo. Przeciwnie, analiza korelacji tych sygnałów wykazała, że niektóre z komunikatów dźwiękowych są zestawiane tylko z gestami o negatywnych konotacjach, a nigdy z tymi pozytywnymi. Co świadczy o tym, że są dobierane wedle znaczeń. Na przykład dyszące chrząknięcie może być formą groźby. Dlatego szympansy nie wydają tego dźwięku, gdy pielęgnują komuś sierść czy wspólnie żerują. Robią to, gdy chcą np. onieśmielić rywala – wtedy dodatkowo się rozciągają, by wydawać się większe, i pochylają się nad konkurentem.

Nawet słabiej pod tym kątem zbadane orangutany i goryle okazują się mieć bardziej złożoną komunikację wokalną niż kiedyś sądzono. U tych pierwszych w 2023 r. wykazano zdolność do wydawania dźwięków bifonicznych, czyli do równoczesnego emitowania odgłosów za pomocą krtani i strun głosowych oraz warg, języka, ruchów żuchwy. To oznacza, że orangutany mają dużą władzę nad swoim aparatem wokalnym i potrafią go kontrolować podobnie jak ludzie. Jeśli zaś chodzi o goryle, to w tym samym roku dowiedziono, że są zdolne do innowacji wokalnych. Nie tylko odtwarzają odgłosy, które przyswoiły od matki czy członków stada, lecz także tworzą własne kompozycje dźwięków.

Te wszystkie odkrycia to coś więcej niż zbiór ciekawostek o małpach. Są dowodami na to, że życie wewnętrzne tych zwierząt jest znacznie bardziej złożone niż kiedyś sądzono. A także na to, że aby zrozumieć podmiot swoich badań, trzeba nauczyć się na niego prawidłowo patrzeć i odpowiednio go słuchać. Jak Jane Goodall.

MARTA ALICJA TRZECIAK

© ABACA/FORUM

eprasa.pl 9ebcecf7a9

Na każdy temat
z każdej strony
tokfm

eprasa.pl 9ebcecf7a9

Guédelon. Według planów z XIII w. francuscy badacze zbudowali coś, co mogłoby tu stanąć.

Zamki z blasku

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

W najlepszym wydaniu są to ciekawe naukowe eksperymenty. W najgorszym (i najczęstszym) – popisy próżności i/lub wyrachowania. Oto krótki przewodnik po najnowszych średniowiecznych budowlach.

Plac budowy w Guédelon. Gryzący zapach świeżo gaszonego wapna miesza się z wonią świeżej dębiny składowanej w ciesielni oraz dymu z opalanej węglem drzewnym kuźni. Zewsząd dobiega gwar robotników, stukot młotków i chrzęst dłut. Nagle te dźwięki milkną, bo wszyscy zbierają się pod Tour de la Chapelle, by patrzeć, jak w górę sunie zwornik – ostatni kamień, który zwiąże krzyżowo-żebrowe sklepienie wieży. Słychać tylko kroki czeladników chodzących w kołowrotku i instrukcje mistrzów stojących na szczycie wieży. Ludzie wstrzymują oddech, gdy zwornik zawisa tuż nad sklepieniem, a kamieniarzom udaje się go osadzić. Co prawda drewniane stelaże jęczą, ale wytrzymują. Na twarzach zebranych pojawia się ulga.

Marksburg nad Renem. Rekonstrukcja ku chwale wilhelmińskiej Rzeszy.

eprasa.pl 9ebcecf7a9

Nie jest to scena z XIII w., tylko sprzed siedmiu lat, z zamku, który od 1998 r. wznoszony jest przez kilkudziesięciu rzemieślników i badaczy metodami sprzed 800 lat. Celem jest rekonstrukcja starych technik, sprawdzenie, ile wapna potrzeba do zbudowania muru, jak długo trwa kładzenie sklepienia, jak zachowuje się świeżo ścięty dąb. To największy w Europie eksperyment archeologiczny.

Prawda w lnianych oknach

Jego inicjatorem jest Michel Guyot, który wraz z bratem kupili opuszczony zamek Saint-Fargeau w 1979 r. i rozpoczęli jego renowację. W trakcie prac natrafiono na fragmenty dawnych murów z XV w. Ponieważ nie dało się ich w pełni przywrócić bez zniekształcania lub niszczenia późniejszych warstw historycznych, narodził się pomysł, że najlepiej będzie zbudować zamek całkiem od nowa. Archeolog Nicolas Faucherre i badacz zamków Christian Corvisier zaproponowali, by wykorzystać plan warowni z czasów Filipa II (1165–1223): cztery narożne baszty (dwie większe i dwie mniejsze), dwuwieżowa brama główna, budynek mieszkalny, fosa, most zwodzony, zabudowania gospodarcze i młyn. Na lokalizację wybrano starą żwirownię w środku lasu Guédelon, gdzie był dostęp do kamienia, gliny, wody i dębiny. Każdy etap prac poprzedzały kwerendy w źródłach i konsultacje ze specjalistami.

Gdy archeolodzy odkryli w 2008 r. w Thervay (w departamencie Jury) pozostałości młyna wodnego z XII w., cieśle z Guédelon zbudowali jego model. Później przez lata go udoskonalano, aż powstała zadowalająca naukowców konstrukcja. Podobnie było z piecem do wypalania wapna, w którym badacze odtworzyli 72-godzinny proces i uzyskali ponad 10 ton wapna gaszonego, niezbędnego do średniowiecznej zaprawy. Okna nie mogły powstać ze szkła, ponieważ dla niezbyt zamożnego właściciela ziemskiego byłoby ono zbytnim luksusem. Na podstawie zapisków z budowy pałacu papieskiego w Awinionie uznano, że alternatywą będą lniane przesłony usztywniane woskiem. Wykonano więc malowane panele z tkaniny, a rzemieślnicy tygodniami dyskutowali, jak je zaimpregnować oraz czy zamocować je w ramach z drewna kutymi ćwiekami, czy też przyszyć rogową igłą. Dzięki dziesiątkom eksperymentów wiadomo, w jakim piecu wypalano najlepsze dachówki, jak budować cztery rodzaje średniowiecznych sklepień, jaka była nośność murów w XIII w.

Penrhyn Castle. Ech, ci Walijczycy, gotyccy romantycy...

Budowniczowie pracują dużo dłużej niż średniowieczni mistrzowie, nie mają bowiem ich wprawy i na każdym etapie muszą w drodze prób i błędów odkrywać dawne techniki. Nawet jeśli ich rozwiązania nie zawsze w pełni odpowiadały tym sprzed wieków, powstają przy użyciu wzorowanych na autentycznych narzędzi i surowców. Kamień pozyskuje się klinami i piórami. Wykorzystuje się tylko giętką i świeżą dębinę. Elementy żelazne wykuwa się na kowadle, a ładunki wożą konie pociągowe. Nic dziwnego, że gdy po pożarze w 2019 r. ruszyła odbudowa więźby w katedrze Notre Dame w Paryżu, o pomoc zwrócono się do cieśli z Guédelon. Oni zyskali wiedzę, której nie przekazują żadne podręczniki.

Neuschwanstein, najdroższa zabawka Ludwika Bawarskiego.

Nic nie wskazuje na to, żeby ten projekt miał być w najbliższym czasie ukończony. Wieże, Wielka Sala i młyn wodny już stoją, ale prace nad górnym poziomem bramy głównej i w Tour de la Chapelle trwają. Odpowiedzialny za codzienne kierowanie budową mistrz murarski Florian Renucci i archeolożka Anne Baud zapowiadają budowę kościoła w planowanej wiosce u stóp zamku, w której mają być też domy rzemieślników, ogrody, pastwiska i karczma. Dźwiękoznawczyni Mylène Pardoën nagrywa odgłosy młynów, kuźni, skrzypienie rusztowań i gwar pracy, tworząc rekonstrukcję dźwiękową placu budowy z XIII w. Według niej zrozumienie średniowiecznej architektury wymaga nie tylko pomiarów i planów, lecz także uchwycenia całej atmosfery miejsca.

I chyba jest to przekonujące, bo Guédelon, który wystartował jako prywatna inicjatywa wsparta dotacjami lokalnych władz i funduszy unijnych, dziś utrzymuje się sam: z biletów wstępu, restauracji i sklepu z pamiątkami. Zamek ma zaspokajać ciekawość badawczą, ale jest też najbardziej wyrafinowaną formą fascynacji tą średniowieczną budowlą. Chęć posiadania tego typu budowli na własność od 150 lat napędza prywatne rekonstrukcje i spory o autentyczność ruin.

Polityka w strzelistych wieżach

Zimne, pełne przeciągów i pozbawione wygód zamki nie były najlepszymi miejscami do życia, dlatego z końcem ▶

© SHUTTERSTOCK (3), BIBIKOW WALTER/HEMIS/EAST NEWS

eprasa.pl 9ebcecf7a9

© SHUTTERSTOCK

Bobolice. „Lepsze niż oryginał", bo Polak potrafi…

▶ średniowiecza zaczęto je opuszczać i przebudowywać, zmieniając w bardziej komfortowe rezydencje. W XIX w., gdy wraz z rodzącymi się narodami i nacjonalizmami szukano korzeni państw, większość utożsamiała je z tymi imponującymi ruinami. W wyobraźni Europejczyków to w nich bowiem mieszkali przodkowie i budowniczowie państw, dlatego średniowieczne warownie urosły do rangi manifestu ciągłości, dumy, siły i niezależności. Z tego splotu tęsknoty i ideologii wywodzi się historycyzm, który opanował sztukę i przyczynił się też do narodzin konserwacji.

We Francji jej ojcem był architekt Eugène Viollet-le-Duc, który ogłosił, że celem konserwacji jest nie tylko ochrona ruin, lecz także „przywrócenie im pełni", jaką miały w najlepszych czasach. W jego ujęciu rekonstrukcja była aktem poznania, co oznaczało, że aby zrozumieć średniowieczną architekturę, trzeba ją odbudować. Kierował spektakularnymi pracami w Carcassonne, przy katedrze Notre Dame w Paryżu, w rozlicznych zamkach. Nie wahał się uzupełniać braków własną wyobraźnią, wierząc, że odtwarza „prawdę epoki", a nie przypadkowy stan ruin. Jego podejście przez dziesięciolecia stanowiło wzór konserwacji w Europie. Dziś jest uważane za archaiczne – pociąga za sobą pytania, gdzie w rekonstrukcji jest granica między konserwacją a kreacją.

Podobne idee przeniknęły do Niemiec, gdzie architekt i badacz zamków Bodo Ebhardt kierował rekonstrukcjami zamku Hohkönigsburg w Alzacji czy Marksburg nad Renem. Jego prace, finansowane przez cesarza Wilhelma II, miały nie tylko przywrócić dawne formy, lecz także stać się świadectwem niemieckiej potęgi. Było to połączenie idei Viollet-le-Duca z ambicją polityczną, bo każdy odrestaurowywany zamek miał dowodzić ciągłości Rzeszy i być nośnikiem patriotycznej edukacji. Siedziba pruskiej dynastii – zamek Hohenzollern, twierdza z dużymi blankami i wieżami, miała przypominać o potędze rodu.

Manifestem polskiej tożsamości w zaborowym kontekście był zamek w Kórniku, który Tytus Działyński po podróżach po Zachodzie przebudował w latach 1839–61 na średniowieczną w formie, ale romantyczną w duchu rodową rezydencję.

Luksus w romantycznych lodżiach

W tym samym czasie fascynację gotykiem przeżywała też wiktoriańska Anglia, jednak w sprawach konserwacji była znacznie bardziej wstrzemięźliwa. Pod wpływem krytyka sztuki Johna Ruskina, który twierdził, że „każda rekonstrukcja jest kłamstwem", narodziła się filozofia konserwacji przez zachowanie – ruiny miały pozostać świadkami upływu czasu. Dlatego zamiast odtwarzać, „jak było", należało je zabezpieczyć i pozwolić, by ich patyna przemawiała sama.

Jednocześnie od lat 30. XIX w. rozkwitała moda na Gothic Revival, czyli neogotyk. Stawał się on niemal narodowym stylem w Anglii – „uśredniowieczniono" nowy pałac westminsterski i wiele innych rezydencji, a arystokraci chętnie budowali romantyczne „zamki", jak walijski Penrhyn Castle. Dla Ruskina takie udawanie historii było kłamstwem, ale publiczność kochała tę teatralną średniowieczność, widząc w niej symbol utraconej wspólnoty i moralnego ładu.

Podczas gdy Brytyjczycy spierali się, czy wolno „udawać historię", za Alpami nikt nie miał takich skrupułów. W Bawarii romantyczne marzenie o średniowieczu przybrało kształt Neuschwanstein. Wznoszony od 1869 r. na surowym korzeniu z woli króla Ludwika II Bawarskiego zamek miał być scenografią dla królewskich snów, monumentalnym teatrem zainspirowanym operami Wagnera i legendami arturiańskimi. Architekci połączyli średniowieczne formy z nowoczesnymi żelbetowymi konstrukcjami i ukrytą infrastrukturą: centralnym ogrzewaniem, bieżącą wodą i windą kuchenną. Wieże i sale, w których nigdy nie gościł żaden rycerz, stały się uosobieniem wyobrażonego średniowiecza, a baśniowa sylweta stanowi dziś wzorzec dla kultury masowej– od bajek Disneya po gry komputerowe. Ironią losu jest, że Ludwik II mieszkał w zamku tylko kilka dni, bo tuż po przeprowadzce w 1886 r. utonął w jeziorze Starnberg.

Naśladowanie wyobrażonego średniowiecza to nie tylko kaprys króla romantyka. Kilkadziesiąt lat później na Górnym Śląsku podobny język architektoniczny wykorzystali magnaci przemysłowi – już bez narodowych odniesień, za to z mocnym akcentem na bogactwo i prestiż. Po pożarze w 1896 r. swojej barokowej rezydencji w Mosznej Hubert von Tiele-Winckler rozbudował ją w neogotycko-neorenesansowym duchu. Powstał zamek pełen wież, strzelistych dachów, galeryjek i lodżii, czysta manifestacja statusu rodu – bardziej bajkowy symbol epoki industrialnej niż średniowieczna twierdza.

Przygoda w fatalnym kostiumie

Współczesna konserwacja zdecydowanie postawiła na wersję Ruskina i ruiny uważa niemal za „nietykalne". Romantyczne wizje średniowiecza, powstałe w XIX w. jako fantazja królów, architektów i konserwatorów, nadal jednak

eprasa.pl 9ebcecf7a9

funkcjonują w kulturze masowej. W tym roku na listę UNESCO wpisano Neuschwanstein, co oznacza, że wyobrażenie o przeszłości stało się częścią dziedzictwa, którą otacza się większą opieką niż niejedną autentyczną średniowieczną twierdzę. Wszystko dlatego, że XIX-wieczne marzenie o średniowieczu przetrwało, ma się dobrze i świetnie się sprzedaje. Dziś można się poczuć księżniczką lub rycerzem w pakiecie z nowoczesną łazienką. W wielu twierdzach Europy działają hotele, gdzie można zjeść kolację w wielkiej sali, zasnąć pod baldachimem i wejść po krętych schodach na wieżę. Dla wielu to sposób, by dotknąć historii.

Również w Polsce. Najsłynniejszy przykład to Bobolice w Jurze Krakowsko-Częstochowskiej, gdzie rodzina prywatnych właścicieli odbudowała XIV-wieczną ruinę, tworząc zamek „lepszy niż oryginał". Historycy sztuki zarzucali projektowi disneylandowość i fałszowanie przeszłości, ale wielu się podoba, bo daje im to, czego szukają, czyli malowniczą scenerię, odrobinę „średniowiecznej" przygody i wygodę współczesnego kurortu w jednym.

Podobne kontrowersje towarzyszyły odbudowie zamku królewskiego w Tykocinie, który powstał praktycznie od zera, nawet bez planów XVI-wiecznego pierwowzoru. Krytycy mówili o „budowaniu na niczym i podszywaniu się pod historię", a rezultat porównywali do „parku rozrywki w kostiumie zabytku". Twierdzili, że stylizacja wzniesiona z nowoczesnych żelbetowych konstrukcji była od początku zaprojektowana z myślą o restauracji, muzeum i hotelu. Spór o to, czy jest to zabytek, czy raczej turystyczna atrakcja, trwa do dziś.

Potrzeba posiadania „zamku na własność" w najbardziej groteskowym wydaniu ma zaś dwie odsłony. W Łapalicach na Kaszubach przybrała postać gigantycznej samowoli budowlanej z wieżami i krużgankami. Rozpoczęta w latach 80. XX w. budowa przez dekady toczyła się w rytmie konfliktów z urzędami i sądami. I choć niedokończony potworek stał się memem polskiego internetu, przyciąga rzesze turystów spragnionych osobliwości, a w 2015 r. jego kupnem zainteresowała się grupa fanów Harry'ego Pottera.

W ostatnich latach najgłośniej było o Stobnicy w Wielkopolsce. Na sztucznej wyspie, w samym sercu obszaru Natura 2000, powstaje monumentalna imitacja zamku. Sprawa przerodziła się w jeden z największych konfliktów prawno-środowiskowych dekady: prokuratura badała legalność inwestycji, ekolodzy alarmowali o zagrożeniu dla przyrody, a społeczne emocje wzbudzała skala przedsięwzięcia – prywatna megarezydencja wznoszona w chronionym ekosystemie.

Hotele w twierdzach, polskie „potworki" czy Guédelon to swoista zamkofilia (bardziej uczenie, z grecka, rzeklibyśmy może „kastrofilia"?), która może mieć różne natężenia. Najczęściej objawia się chęcią przeżycia jednorazowej przygody, ale bez rezygnacji z Wi-Fi i ogrzewania. Czasami to obsesja bycia panem na własnym zamku. Tylko mała grupa fascynatów chce poczuć średniowiecze na własnej skórze. Budowniczowie Guédelonu udowadniają, że najbardziej romantyczna zamkofilia jest nie tylko kaprysem, ale też źródłem rzetelnej wiedzy o średniowieczu.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

REKLAMA

eprasa.pl 9ebcecf7a9

Na straży całej Polski

Energia jutra to bezpieczeństwo. A najlepszym symbolem bezpieczeństwa są strażacy: obecni wszędzie tam, gdzie potrzebna jest pomoc. Z myślą o jednostkach ochotniczych i zawodowych w całej Polski działa program „ORLEN na straży" – w tym roku z rekordowym budżetem.

To był wyjątkowy wieczór w Teatrze Wielkim – Operze Narodowej. 22 września widownia zapełniła się strażakami z całej Polski, którzy mogli odebrać granty przyznane w ramach programu „ORLEN na straży". – Jesteście dla nas prawdziwym wzorem. Jak pokazują badania, strażacy to najbardziej szanowany zawód w naszym społeczeństwie. Rok temu obiecaliśmy wam dwukrotne zwiększenie puli środków do rozdysponowania i słowa dotrzymaliśmy. Nie spodziewaliśmy się, że wpłynie do nas aż 2,5 tys. świetnie przygotowanych aplikacji z całej Polski. Komisja konkursowa wybrała 368 z nich – podkreślił podczas gali Ireneusz Fąfara, Prezes Zarządu ORLEN SA. Dodał, że to w ramach konsultacji ze środowiskiem strażaków udało się zmodyfikować kryteria przyznawania grantów. Wprowadzono na przykład możliwość finansowania szkoleń oraz wsparcia psychologicznego, odpowiadając na postulaty strażaków. W tym roku aż 60 proc. grantów trafiło do jednostek, które otrzymały je po raz pierwszy w historii programu „ORLEN na straży".

Wrześniowa gala była okazją do uhonorowania całej społeczności strażaków za ich codzienne poświęcenie i profesjonalizm. Hasło przyświecające ich służbie to „Bogu na chwałę, ludziom na ratunek". ORLEN daje strażakom narzędzia i wsparcie, aby mogli swoją misję realizować jeszcze skuteczniej. Rekordowy budżet programu „ORLEN na straży" (20 milionów złotych) dla jednostek z całego kraju to jasny sygnał docenienia ich wysiłku i znaczenia bezpieczeństwa lokalnych społeczności. Dzięki grantom strażacy będą mogli doposażyć swoje jednostki, szkolić kadry i wzmocnić bezpieczeństwo lokalnych społeczności. Zgodnie z przyjętymi kryteriami naboru, granty trafiają do jednostek realizujących największe, najtrudniejsze i najbardziej wymagające akcje. Średnia wartość przyznanego grantu w tym roku to ponad 54 tys. zł.

Tegoroczna edycja programu „ORLEN na straży" obejmowała dwie ścieżki wsparcia. Pierwsza przeznaczona była dla jednostek Ochotniczej Straży Pożarnej włączonych do Krajowego Systemu Ratowniczo-Gaśniczego oraz jednostek Państwowej Straży Pożarnej i Ochotniczej Straży Pożarnej zabezpieczających strategiczne lokalizacje Grupy ORLEN. W ramach tej ścieżki dofinansowanie mogło być przyznane na działania z zakresu:

- ratownictwa związanego z wypadkami drogowymi;
- ratownictwa związanego z przemysłem chemicznym (w tym gazowym oraz naftowym) i instalacjami odnawialnych źródeł energii obejmujących infrastrukturę Grupy ORLEN;
- ratownictwa związanego z zagrożeniami wynikającymi ze zmiany klimatu.

Wysokość przyznanych grantów w tej kategorii wynosiła od 40 tys. do 150 tys. zł.

Druga ścieżka została stworzona dla jednostek aspirujących do włączenia do Krajowego Systemu Ratowniczo-Gaśniczego. Otrzymały one granty do 50 tys. zł na działania zbliżające je do spełnienia wymogów systemowych. W ramach programu Fundacja ORLEN przekazała również wsparcie dla podmiotów ratowniczych o kluczowym znaczeniu dla bezpieczeństwa, w tym dla wybranych podmiotów kategorii do wykonywania ratownictwa górskiego oraz wodnego. Granty w tej części otrzymały m.in. Górskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe, Mazurskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe oraz Morska Służba Poszukiwania i Ratownictwa.

Szczególnym wydarzeniem podczas gali „ORLEN na Straży" było przyznanie nagrody specjalnej. Strażaczka Marta Małecka, na co dzień pełniąca służbę w Jednostce Ratowniczo-Gaśniczej nr 15 Komendy Miejskiej Państwowej Straży Pożarnej m.st. Warszawy, została wyróżniona przez Fundację ORLEN za popularyzowanie ochrony przeciwpożarowej

eprasa.pl 9ebcecf7a9

z zakresu działalności poszukiwawczo-ratowniczej. Marta Małecka bierze bezpośredni udział w działaniach ratowniczo-gaśniczych. Jest pierwszą kobietą pracującą w oddziale bojowym Jednostki Ratowniczo-Gaśniczej nr 15 oraz pierwszą kobietą przewodnikiem psa ratowniczego w Specjalistycznej Grupie Poszukiwawczo-Ratowniczej „Warszawa 9".

Ogromna popularność tegorocznej edycji „ORLEN na straży" skłoniła ORLEN do stworzenia dodatkowego programu. Firma przeznaczy dodatkowe 5 mln zł na wsparcie Ochotniczych Straży Pożarnych z województw mazowieckiego, podlaskiego, podkarpackiego, lubelskiego oraz warmińsko-mazurskiego, ze względu na ich położenie geograficzne i strategiczne znaczenie dla bezpieczeństwa Polski. W ramach pilotażowego programu „ORLEN. Razem dla bezpieczeństwa" jednostki OSP mają szansę otrzymać do 50 tys. zł. Pozyskane wsparcie można będzie przeznaczyć na zakup środków ochrony indywidualnej, sprzętu logistycznego, bezzałogowych statków powietrznych (na przykład dronów), środków łączności czy na szkolenia. Program „ORLEN. Razem dla bezpieczeństwa" będzie stanowić uzupełnienie działań prowadzonych w ramach programu „ORLEN na straży". Oba programy stworzą spójny system pomocy dla strażaków ochotników, odpowiadając na ich potrzeby sprzętowe, szkoleniowe i operacyjne.

ORLEN wspiera straż pożarną i jej działalność także na inne sposoby. Jednym z nich jest program „Bezpieczne Orlęta". W tym roku Fundacja ORLEN przyznała wsparcie finansowe 24 jednostkom Państwowej Straży Pożarnej, które będą realizować edukację najmłodszych w zakresie bezpieczeństwa i pierwszej pomocy. Do programu wpłynęło rekordowe 80 wniosków, co pokazuje rosnące zainteresowanie tworzeniem bezpiecznych przestrzeni edukacyjnych przez jednostki Państwowej Straży Pożarnej. Granty otrzymały miejskie i powiatowe komendy PSP, szkoły PSP, a także inne jednostki organizacyjne, które posiadają lub zamierzają utworzyć sale edukacyjne. Dzięki wsparciu Fundacji ORLEN dzieci w całej Polsce będą mogły w praktyczny i atrakcyjny sposób poznać zasady reagowania w sytuacjach zagrożenia, udzielania pierwszej pomocy oraz postępowania w sytuacjach kryzysowych. Niektóre jednostki planują również tworzenie mobilnych sal edukacyjnych, które umożliwią dotarcie do dzieci w mniejszych miejscowościach.

Partnerem publikacji jest ORLEN ART&SCIENCE

ART& SCIENCE

eprasa.pl 9ebcecf7a9

Kłopotliwa Mateczka

O ekskomunikowanej przez Rzym mistyczce Marii Franciszce Kozłowskiej, stworzonym przez nią Kościele mariawitów i skandalach seksualnych, które w nim wybuchły, opowiada Tomasz Terlikowski.

JOANNA PODGÓRSKA: – **Zaczęło się niewinnie – potrzebna była reforma pogrążonego w kryzysie Kościoła katolickiego. Na czym ten kryzys przełomu XIX i XX w. polegał?**

TOMASZ TERLIKOWSKI: – Po pierwsze na tym, że w zaborze rosyjskim skasowano wszystkie zakony; ważny element chrześcijańskiego radykalizmu przestał istnieć. Po drugie, duchowieństwo w Kongresówce było na dość niskim poziomie intelektualnym i duchowym. Wielu zajmowało się głównie grą w karty, piciem i innymi rozrywkami. Wybuchały skandale seksualne, księża żyli z kobietami, co budziło zgorszenie. No i pieniądze. Zdzierali z biednych chłopów bardzo duże opłaty za usługi religijne, lekceważąc jednocześnie swoje obowiązki. Oczywiście nie twierdzę, że wszyscy tacy byli, ale tak to odbierali wierni, a także część duchownych, którzy chcieli większego radykalizmu i zaangażowania. Powstawały w tym czasie liczne zgromadzenia tajne. Szukali w nich miejsca najbardziej zmotywowani księża, a także kobiety, które chciały prowadzić życie zakonne. I część z nich spotkała na swojej drodze Marię Franciszkę Kozłowską, która taki model życia im zaproponowała.

Przyciągała ludzi w sposób niezwykły. Na czym polegała jej charyzma?

Z całą pewnością miała zdolność odczytywania tego, co się działo w sercach i w duszach księży, którzy do niej przychodzili. Potrafiła być niezwykle przekonująca. Zachowały się świadectwa jej najbliższych współpracowników, którzy opowiadali, że spowiadając ją, po prostu „odpłynęli", rzeczywistość wokół przestawała istnieć. Dzisiaj byśmy pewnie powiedzieli, że to trochę psychomanipulacja, ale nie wiem, czy ona robiła to świadomie. Ta charyzma pozwalała jej przekonywać nawet świetnie wykształconych teologów. Jej najbliższy współpracownik tłumaczył Pismo Święte na język polski, przekładał Dantego. To nie był wiejski proboszcz, a jednak uwierzył, że to ona ma wiedzę o Bogu, której on jako wykształcony teolog nie posiada. Potrafiła przekonywać ludzi, że jest medium, które kontaktuje ich z Bogiem.

Miała objawienia, w które ludzie uwierzyli. Na czym one polegały?

Mówiła, że słyszy w duszy głos Jezusa. Przekazywał jej, że Kościół, ale też świat znajdują się w głębokim duchowym kryzysie. W kryzysie jest duchowieństwo – rozwiązłe, łamiące śluby celibatu, pazerne, bogacące się i za mało pobożne. Lekarstwem na tę chorobę gnębiącą świat i Kościół miało być powołanie nowego zgromadzenia zakonnego. Zgromadzenia sióstr i księży mariawitów pod wodzą Marii Franciszki Kozłowskiej, któremu mieli być poddani wszyscy inni zakonnicy i które miało przynieść uzdrowienie całemu Kościołowi. To było kluczowe. W objawieniach słyszała, że jest jak Maryja, specjalną osobą w planie Bożym. Dlatego nazywano ją później „Mateczką" Kościoła.

Maria Franciszka Kozłowska

To się zaczęło przeradzać w kult Mateczki?

Bardzo szybko, ale nie u wszystkich. Ona często wybierała sobie księży, do których szła do spowiedzi i opowiadała im

eprasa.pl 9ebcecf7a9

Od lewej: **katedra mariawicka w Płocku wybudowana z inicjatywy Marii Franciszki Kozłowskiej w latach 1911–14. Biskupka z Felicjanowa, lata 80.** Poniżej: **Jan Maria Michał Kowalski.**

swoją historię. A oni potem przekonywali kolejnych gorliwych księży, żeby się do niej przyłączali. Ale nie wszyscy pierwsi mariawiccy księża wiedzieli o jej objawieniach; tylko najbliższe otoczenie, które jasno deklarowało, że jej rola w historii zbawienia jest szczególna i bez niej ani Kościół, ani ludzie nie wyjdą z kryzysu. Bez uznania roli Mateczki nie będzie miłosierdzia dla świata. To się skończyło oddzieleniem od Kościoła katolickiego i imienną ekskomuniką Mateczki. Tu Polska, można powiedzieć, ma pierwszeństwo. Maria Franciszka Kozłowska była pierwszą w historii Kościoła imiennie ekskomunikowaną kobietą. Wśród mariawitów jej imię zostało wprowadzone do modlitwy „Zdrowaś Mario". Gdy jeszcze żyła, powstały kolejne elementy kultu. A po śmierci, która została uznana za golgotę, bo Kozłowska umierała na raka w męczarniach, jej zdjęcia zaczęto kłaść na tabernakulum, żeby pokazać specjalną jedność między nią i Jezusem.

A czy na ekskomunice i likwidacji przez papieża zgromadzenia mariawitów zaważył fakt, że Kozłowska była kobietą – czy wręcz „kobieciną", jak głosi jeden z kościelnych dokumentów – która śmiała pouczać hierarchów?

Jestem sceptycznie nastawiony do części późniejszych wydarzeń w życiu Mateczki, ale trzeba jasno powiedzieć, że jej krytyka Kościoła była trafna. I to był pierwszy powód, dla którego zaczęto ją i jej uczniów prześladować. Wielu proboszczów zaniedbywało wiernych, a mariawici wprowadzili nowoczesne modele duszpasterstwa. Zadziałała zazdrość, bo do nich szli wierni. Nie musieli składać żadnych ofiar, bo mariawici udzielali sakramentów za darmo. Mówiąc brutalnie, „psuli rynek".

Drugim elementem rzeczywiście był fakt, że na czele ruchu religijnego stanęła kobieta. I miała nad księżmi władzę większą niż biskupi. To dla hierarchów było czymś nieakceptowalnym. Trzeci element to sytuacja społeczna – rok 1905 i rewolucyjne wrzenie. I choć mariawitów nie można uznać za ruch lewicowy, to oni się wśród robotników lepiej odnaleźli. Na decyzjach Rzymu zaważyły też oczywiście argumenty teologiczne, ale nie byłoby tak szybkiej reakcji, gdyby nie nacisk biskupów z Polski.

To była prawdziwa konkurencja. W szczytowym momencie ruch mariawicki liczył 120 tys. wiernych. A do tego miał program społeczny na niezwykłą skalę.

To rzeczywiście było niesamowite i trudno tego nie docenić. Mariawici stworzyli zakłady pracy, osiedla dla robotników, szkoły, ochronki, kuchnie, domy opieki. Organizowali kursy, teatry, chóry. Nieśli nowy model duszpasterstwa. Byli z ludźmi; z robotnikami, chłopami. Gdy wyrzucano ich z kościołów, często mieszkali z nimi, prowadzili bliskie im życie i świetnie rozpoznali, co jest istotą ich problemów. Pozyskiwali wiernych nie tylko na wsiach, ale też w miastach, wśród robotników, którzy nadal byli wierzący, ale nie akceptowali potępienia postulatów robotniczych i gromienia rewolucji 1905 r. przez polskich biskupów.

Po ekskomunice i skasowaniu zgromadzenia w Polsce wybuchła wojna religijna. I chyba nie była bezkrwawa?

Nie, bo ginęli ludzie. Ofiarami byli głównie mariawici. Po ekskomunice zaczęto ich wyrzucać z parafii, mimo że były przez nich zbudowane, a co najmniej wyremontowane. Byli przez katolików prześladowani w sposób okrutny. Gdy szli np. w procesji Bożego Ciała, napadano na nich. Wybuchały walki, krwawe starcia. Nie można powiedzieć, że nigdy się nie bronili, ale w tej wojnie mariawici byli stroną zdecydowanie słabszą. Carat rozgrywał ten spór, zazwyczaj jednak stawał po stronie silniejszego – Kościoła katolickiego. Ale te prześladowania budowały zaufanie do Mateczki, a także mariawickich księży i biskupów.

W historii mariawitów pojawia się wątek erotycznego napięcia między Mateczką a jej najbliższym współpracownikiem. Da się to potwierdzić po tylu latach?

Chodzi o późniejszego biskupa, a wtedy jeszcze księdza, Jana Marię Michała Kowalskiego. Gdy czyta się jego pisma, można nabrać poważnych podejrzeń. Pisze, że w czasie jednego z objawień Mateczka miała usłyszeć od Jezusa: „Mnie oddaj swoją duszę, a Michałowi oddaj swoje ciało". Gdzie indziej opisuje, że nie dopuszczała go do siebie przez wiele dni i był absolutnie roztrzęsiony. To poszlaka, może tylko egzaltowany język. Ale on pisze o Kozłowskiej jak zakochany mężczyzna o swojej kobiecie. ▶

© EAST NEWS, SHUTTERSTOCK, WOJCIECH PNIEWSKI/REPORTER, ARCHIWUM MAZA/EAST NEWS

eprasa.pl 9ebcecf7a9

▶ Opisuje, jak całował ją po stópkach odzianych w pończoszki. Nie jest to normalny rodzaj relacji między księdzem a siostrą zakonną. Co więcej, po rozłamie zarzucił innym biskupom porównującym go do Rasputina: „A sami nie robiliście z Mateczką tego, co ja?". Jeśli wiemy, co się działo później, to przynajmniej mamy prawo zadać pytanie, czy między nią a czterema jej najbliższymi współpracownikami do czegoś nie dochodziło. Napięcie erotyczne było tam z pewnością. A przecież wszyscy bohaterowie tych wydarzeń składali śluby celibatu.

Ale seksualny horror zaczął się dopiero wtedy, gdy po śmierci Mateczki przejął władzę Kowalski?

Są podejrzenia, że już wcześniej jego zachowanie wobec części sióstr było nieodpowiednie, a Mateczka je tolerowała, ale wszystko było jeszcze jakoś trzymane w ryzach. Potem zaczęła się – mówiąc kolokwialnie – jazda bez trzymanki. Arcybiskup Kowalski wprowadził tzw. małżeństwa mistyczne, czyli zaczął żenić ze sobą księży i siostry zakonne. Wybierał, który ksiądz z jaką siostrą się ożeni, i sam wprowadzał siostry w to małżeństwo na zasadzie prawa pierwszej nocy. Sam również miał żonę, najpierw jedną, potem więcej, bo wprowadził wśród biskupów wielożeństwo. W tych związkach pojawiły się dzieci, choć – według teologii Kowalskiego – nie powinny, bo akty seksualne między księżmi i zakonnicami miały charakter mistyczny, nie skutkowały utratą dziewictwa i nie powinny się kończyć ciążą. Te dzieci uznano więc za niepokalanie poczęte i wychowywano w zamkniętych sierocińcach. Zajmowały się nimi inne siostry niż te, które je urodziły. Między nimi a rodzicami nie było bliskich relacji. Potworny ludzki dramat. Dzieci, ich rodziców, ale też mężczyzn i kobiet, z których wiele wcale nie chciało się żenić ani wychodzić za mąż. To była decyzja kogoś, kto uznał się za głos Boga. Kowalski skończył przed sądem. Został oskarżony także o wykorzystywanie nieletnich – uczennic mariawickich gimnazjów, tzw. mandolinistek. Został skazany i odsiedział wyrok.

Jako pierwszy w historii zwierzchnik Kościoła oskarżony o wykorzystywanie seksualne?

Tu też Polska ma pierwszeństwo. Ale żeby nie pozostać jednostronnym – Kowalski z jednej strony wykorzystywał swoją władzę i autorytet, krzywdził kobiety, ale z drugiej – wprowadził reformę, która pozwoliła kobietom zostawać kapłankami i biskupkami. Tak się składa, że większość pierwszych biskupek to były żony biskupów, ale to się jednak dokonało. Kowalski wymyślił dla nich specjalne stroje liturgiczne. Zapłacił im za krzywdę wyniesieniem w hierarchii. To jest historia pełna sprzeczności i paradoksów. Z jednej strony przerażająca, a z drugiej pokazująca – powiem to ostrożnie – że większość ludzi, którzy uczestniczyli w tej tragedii, naprawdę szczerze wierzyła w to, że to się dzieje w wymiarze mistycznym.

Potem nastąpił rozłam i odejście mariawitów na margines życia religijnego. Co z tego ruchu zostało do dziś?

Rozłam nastąpił w 1935 r. Większość biskupów i księży mężczyzn stanęła przeciwko Kowalskiemu. To tzw. mariawici płoccy, większa część wspólnoty, która dziś nazywa się Starokatolickim Kościołem Mariawitów. Odrzucili wszystkie reformy Kowalskiego, bo poza kapłaństwem kobiet było ich więcej; m.in. zniesienie spowiedzi czy możliwość odprawiania mszy przez zwykłych wiernych. Zostawili zniesienie celibatu i pewne elementy kultu Mateczki, ale traktowanej po prostu jako święta, a nie medium łączące ludzi z Bogiem. A już na pewno nie jako Boga. To wyznanie liczące dziś, według różnych szacunków, od 19 tys. do 30 tys. wiernych. Co ciekawe, ten płocki mariawityzm najdynamiczniej rozwija się dziś we Francji.

© WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

Tomasz Terlikowski
– filozof, publicysta, działacz katolicki. Autor wielu publikacji o tematyce religijnej i katolickiej. W tym roku ukazała się jego książka „Mateczka. Śledztwo w sprawie mariawitów".

A co po rozłamie stało się z Kowalskim?

Poszła za nim większość kobiet: sióstr, kapłanek, biskupek, bo płoccy się ze święcenia kobiet wycofali. Grupa przeniosła się do Felicjanowa. Kowalski na starość przywrócił celibat, ale utrzymał resztę wprowadzonych przez siebie reform, a nawet poszedł jeszcze dalej w kwestiach teologicznych. Zaczął głosić tezę, że Trójca Święta w całości się wcieliła. Słowo, Logos, wcieliło się w Jezusa Chrystusa, Bóg Bogurodzic stał się Maryją Dziewicą, a Duch Święty – Mateczką Kozłowską. On sam był wcieleniem Michała Archanioła.

Zginął w komorze gazowej w Dachau, wspominany jest przez współwięźniów jako człowiek spokojny i życzliwy. Mimo ich prób nie chciał nawrócić się na katolicyzm. Dziś grupa felicjanowska liczy 1–1,5 tys. osób. Ostatnie biskupki dożywają swoich dni. Nowych kapłanów hierarchicznych nie ma. Obie grupy mariawickie wydają co jakiś czas książki o sobie, które czytam ze smutkiem, bo nie są zdolne zmierzyć się ze swoją bardzo trudną, choć i fascynującą historią. Można powiedzieć, że to jest ten sam problem, przed którym stoi polski Kościół katolicki.

Na ile do podjęcia tej historii zainspirowały pana współczesne afery w Kościele katolickim, gdy mistyka staje się usprawiedliwieniem perwersji?

Mariawitami interesowałem się już w czasach licealnych. Lata później wybuchła afera Marie Dominique'a i Thomasa Philippe'ów, rodzonych braci, dominikanów – mieli wizję mistyczną, w której Jezus współżył z Maryją i miało to usprawiedliwiać ich współżycie z siostrami zakonnymi, których przełożoną była zresztą ich rodzona siostra. Zapaliło mi się światełko. Te historie są bardzo podobne. Zadawałem sobie pytanie, ile ich jeszcze jest, głęboko ukrytych w historii kościelnej. Chciałem opowiedzieć o mariawitach, by pokazać, jak mistyka i erotyka są czasami sobie bliskie, jak łatwo wypaczona erotyka może prowadzić do wypaczonej mistyki, a wypaczona mistyka do wypaczonej erotyki. I jak mocno pewne elementy religijności, które odrzucają i tłamszą ludzką seksualność, mogą eksplodować w absolutnie nieakceptowalnej formie.

ROZMAWIAŁA JOANNA PODGÓRSKA

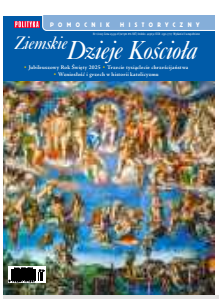

KUP TERAZ

Zachęcamy także do lektury Pomocnika Historycznego **„ZIEMSKIE DZIEJE KOŚCIOŁA"**. Dostępny na **sklep.polityka.pl**

eprasa.pl 9ebcecf7a9

Mennica niemiecka z XVII w., ilustracja z epoki

Mnożenie monet

Małe Prusy swoją potęgę zbudowały za rządów Fryderyka II kosztem Rzeczpospolitej. Zaczęły od fałszowania polskiego pieniądza.

ANDRZEJ KRAJEWSKI

„Szczególniej te kraje kwitną, które mają dobrą monetę; upadają zaś i giną, które używają złej" – napisał Mikołaj Kopernik w traktacie „Monetae cudendae ratio" (Sposób bicia monety). Astronom i ekonomista opisywał, jak fatalny skutek niesie dla państw puszczanie w obieg monet zawierających coraz mniej szlachetnego kruszcu. Ceny towarów rosną, a ludzie dobry pieniądz chowają do skarbców. Płacą „popsutą" monetą, co napędza inflację. Społeczne zachowanie, nazwane potem prawem Kopernika-Greshama, owocowało fatalnymi skutkami ekonomicznymi. Bez budzącego zaufanie pieniądza dobrobyt zanika – podkreślał Kopernik.

Dawid patrzy na Goliata

Te spostrzeżenia twórczo rozwinął Fryderyk II. Król Prus dostrzegł, że fałszując monetę, można niszczyć gospodarkę kraju, który się chce podbić. Równocześnie czerpie się olbrzymie zyski niezbędne do sfinansowania podboju.

Dysproporcje między Prusami a Rzeczpospolitą w pierwszej połowie XVIII w. były olbrzymie. Obszar zajmowany przez państwo polsko-litewskie przekraczał 733 tys. km kw., a liczba mieszkańców 12 mln. Mieli oni żyzne ziemie i bogactwa naturalne. O takich niespełna 2 mln ludzi zamieszkujących siedmiokrotnie mniejsze Prusy (114 tys. km kw.) mogło jedynie marzyć. Większość surowców oraz żywność sprowadzano z zagranicy, głównie z Polski.

Tę olbrzymią dysproporcję król Fryderyk Wilhelm I usiłował niwelować, tworząc znakomicie zorganizowaną administrację oraz potężną armię. Przy dochodach budżetowych wynoszących ok. 7 mln talarów rocznie na utrzymanie sił zbrojnych przeznaczał 6 mln. Małe ▶

© HULTON ARCHIVE/GETTY IMAGES

eprasa.pl 9ebcecf7a9

▶ państwo trzymało pod bronią 70 tys. żołnierzy. Prawie siedem razy więcej niż ówczesna Rzeczpospolita. Jego syn Fryderyk II zwiększył wpływy do skarbca oraz armię do 100 tys. żołnierzy. „Monarchia pruska pozostanie zawsze nie krajem, który ma armię, lecz armią, która ma kraj" – prorokował w zręcznym aforyzmie długoletni adiutant pruskiego władcy Georg von Berenhorst.

Fryderyk II nie bał się tej olbrzymiej armii używać. W 1740 r. wkroczył na Śląsk, by odebrać go Austrii. To zainicjowało serię konfliktów, za sprawą których jego mały kraj zaczął wyrastać na mocarstwo. Ale rzucając wyzwanie monarchii Habsburgów, a przy okazji Rosji, ryzykował porażkę z racji swych skromnych zasobów. Jedynie ich szybkie zwiększanie mogło zapobiec klęsce. Dwie pierwsze wojny Berlin sfinansował dzięki aneksji Śląska.

Fryderyk II w dokumencie z 1752 r., nazywanym jego testamentem politycznym, przedstawił swoją wizję skutecznego zarządzania państwem. Podał w nim, że „z sumy 12,15 mln talarów ogółu dochodów państwa pruskiego sam Śląsk płacił 3,4 mln, co stanowiło ponad 35 proc. wszystkich dochodów państwowych" – pisze w opracowaniu „Plany i cele polityki Fryderyka II w stosunku do Polski" Zbigniew Kulak. Pozwoliło to Fryderykowi II na zwiększenie stałego wojska do 136 tys. żołnierzy. Monarcha podkreślił: „Obok Saksonii najkorzystniejszym dla nas nabytkiem byłyby Prusy Polskie. Dzielą one Pomorze od Prus Książęcych i utrudniają ich utrzymanie z powodu bariery, jaką stanowi Wisła". Dodawał, że nie uważa za konieczne wydzierania siłą wspomnianej prowincji. Pragnął konsumować ją etapami: „jako karczoch, liść po liściu". Korzystając ze sprzyjających okoliczności.

Potrzeba matką oszusta

„Polska, jako królestwo elekcyjne, po śmierci każdego króla jest bez przerwy w nieładzie przez walki stronnictw. Tę sytuację należy wyzyskać i za cenę naszej neutralności zdobyć już to jakieś miasto, już to jakieś inne terytorium, aż się połknie w końcu wszystko" – planował Fryderyk II. Ale aneksje Saksonii i Prus Królewskich (Polskich) mogły sprowokować Austrię oraz Rosję do zbrojnej interwencji. To wymagało dalszej rozbudowy armii. Wówczas narodził się pomysł, by Polacy pomogli w jej utrzymaniu. „Wtedy to tajny radca finansowy Jan Filip Grauman podsunął królowi plan zreorganizowania całego ustroju monetarnego w państwie i wyciągnięcia z mennic większego niż dotąd dochodu" – relacjonuje Marian Gumowski w opracowaniu „Fałszerstwa monetarne Fryderyka II".

Polski system monetarny oparty był na tynfach z czystego srebra o wadze 3,6 g. Wedle reguły wprowadzonej za rządów Jana III Sobieskiego 12 tynfów musiało być wartych tyle samo, ile dukat Zygmunta Starego zawierający 3,45 g złota. Dzięki temu Rzeczpospolita dysponowała stabilną walutą, lecz wciąż jej ubywało. Jeszcze bowiem pod koniec rządów Sobieskiego sejm nakazał zamknięcie wszystkich mennic. Uczyniono tak w obawie przed psuciem dobrej monety, w czym wcześniej specjalizował się król Jan Kazimierz. Zablokowanie puszczania w obieg nowego pieniądza owocowało deficytem monet w obiegu. Nie umiano przełamać sytuacji patowej. „Rzeczpospolita, przez niezgody w nierządzie ostatnim zostając, nie mogła przyjść do uregulowania i otwarcia mennicy swojej" – zanotował w „Pamiętnikach, czyli historii Polski" Jędrzej Kitowicz.

Fałszywa „efraimka" z 1757 r.
Powyżej: **tynf koronny Augusta III Sasa.**
Poniżej: **Fryderyk II, portret z epoki.**

Szlachta przyczyniała się do narastania głodu gotówki, bo srebrne monety „przerabiali na półmiski, puchary i inne naczynia" – podkreślał Kitowicz. August III nie potrafił temu zaradzić, bo zgodę na uruchomienie mennicy musiał dostać od parlamentu, a za jego panowania nie zerwano jedynie dwóch sejmów.

Tymczasem w Prusach także bito tynfy, identyczne co do zawartości srebra z polskimi. Grauman zaproponował więc reformę monetarną – wyznacznikiem wartości nowego pieniądza w Prusach miały być złote monety wzorowane na francuskich luidorach. Do obiegu weszły srebrne talary i miedziane fenigi. Natomiast tynfy miały być nadal produkowane na użytek pruskich kupców i kwatermistrzów zaopatrujących armię. Te zakupy zamierzano robić u polskich dostawców. Haczyk ukryto w jednym szczególe. „Przy porównaniu pokazuje się, że tynfy, czyli dawne orty Jana III, mają 10. próbę srebra, a u Fryderyka II tylko 7,5" – pisze Gumowski.

To samo dotyczyło mniejszych srebrnych monet, na które rozmieniano tynfy – trojaków i szóstaków. Te z mennic zlokalizowanych we Wrocławiu i Królewcu najpierw zawierały srebro gorszej jakości, a następnie coraz mniejszą jego domieszkę. Fryderyk II pod koniec 1752 r. sprywatyzował przedsięwzięcie – obie mennice w zamian za roczny czynsz 40 tys. talarów od każdej przekazał w ręce berlińskiego bankiera Mojżesza Fränkla. Dzięki temu król Prus mógł twierdzić, że nic nie wie o oszustwie. Jego państwo zaczęło pomnażać dochody dzięki większym zyskom z wymiany handlowej z Rzeczpospolitą.

Słabości króla Sasa

Krótko po tym, jak Fryderyk II został fałszerzem pieniędzy, faworyt Augusta III, hrabia Henryk Brühl, zaproponował mu, żeby obszedł sejmowy zakaz bicia polskiej monety. Okazało się to proste. Wystarczyło uruchomić mennicę nie na terenie Korony, lecz w Saksonii, której August był księciem. Jego mennica w Lipsku biła więc monety, które puszczał do obiegu w Rzeczpospolitej. „Już w październiku 1752 r. poczęła ona funkcjonować, emitując naprzód (złote – przyp. A.K.) dukaty, a potem duże ilości tymfów (...) pod stemplem Augusta III i herbami polskimi" – pisze Marian

© MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE, DP, HERITAGE IMAGES/GETTY IMAGES

eprasa.pl 9ebcecf7a9

Gumowski. Tak elektor saski, a zarazem król Polski mocno podreperował swe dochody. Skorzystali też polscy kupcy, którzy zaczęli się orientować, że tynfy z Wrocławia i Królewca zawierają mniej srebra niż te z Lipska. Woleli więc przyjmować zapłatę w tych ostatnich. Tak krzyżowali plany Fryderyka II.

Wówczas ten na początku 1753 r. zlecił Graumanowi, by zajął się fałszowaniem... holenderskich dukatów. „I one miały iść na potrzeby handlu polskiego, gdyż pokazało się, że handlarze polskiego bydła i soli nie dostając za towar monety polskiej, a nie chcąc brać pruskiej, żądają przynajmniej złota w dukatach holenderskich" – zauważa Gumowski. Pośpiesznie przygotowano stemple do wybijania pieniądza udającego holenderski, po czym w Berlinie ruszyła tajna mennica. Wyprodukowała ponad 71 tys. fałszywych dukatów z mniejszą zawartością złota. Przewożono je do Wrocławia, gdzie kwatermistrzowie kupowali od polskich handlarzy bydło i konie dla pruskich pułków huzarów.

Proceder trwał kilka miesięcy. Trzeba go było jednak zaniechać, bo powszechnie zaczęto się orientować, że dukaty są podrobione. „Odbiorcy ich polscy znali zbyt dobrze tę monetę, choćby z handlu gdańskiego, i umieli ją dobrze wypróbować" – wyjaśnia Gumowski. To niepowodzenie władcy Prus okazało się przejściowe.

Fryderyk II dzięki dodatkowym dochodom zwiększył liczbę żołnierzy pod bronią do 150 tys. i zawarł sojusz z Wielką Brytanią. Parł do rozbicia antypruskiego przymierza zawiązanego przez Austrię, Francję, Rosję oraz Saksonię. Działał szybko i zdecydowanie. Z zaskoczenia najechał 30 sierpnia 1756 r. Saksonię, gromiąc jej wojska. August III wraz z dworem uciekł do Warszawy. Tam nie doczekał się wsparcia ze strony kraju, którym nominalnie władał. Sejm zdecydował, że Rzeczpospolita pozostanie neutralna.

Tymczasem królowi Prus trafiła się miła niespodzianka. Wpadła w jego ręce lipska mennica ze stemplami do produkcji polskich monet. Wydzierżawił ją berlińskiemu jubilerowi Veitelowi Efraimowi, a ten drastycznie zmniejszył zawartość kruszcu.

Ofiara idealna

Dysponując oryginalnymi stemplami, fałszerze mogli sobie pozwolić na wiele. Z tej samej ilości srebra, po dodaniu do niego miedzi, wybijali na początek od trzech do pięciu razy więcej monet. Potem podnoszono ten próg coraz wyżej, by zatrzymać się na 40 monetach wartych tyle, ile jeden prawdziwy tynf. „Przerzutem i dystrybucją fałszywek do Rzeczypospolitej zajmowały się wyspecjalizowane szajki. Przez prawie niepilnowane granice ciągnęły wypełnione podłą monetą wozy zwykłych spekulantów i kupców, którzy »efraimkami« płacili za polskie towary. Wypłacano nimi także żołd dla pruskich żołnierzy z pogranicznych terenów i opłacano dostawy dla wojska" – tłumaczy w monografii „Historia pieniądzem się toczy" Wojciech Kalwat.

Proceder dystrybucji fałszywej monety gwarantował zyski pośrednikom. Zaangażowało się więc w niego wielu polskich szlachciców, kupców i żydowskich karczmarzy. Tymczasem masowy napływ „zepsutego pieniądza" zadziałał dokładnie tak, jak przewidywał Kopernik. Ceny towarów rosły, a srebrne monety znikały z obiegu. Przestawały bowiem grać rolę waluty, zamieniły się w lokatę oszczędności. Proces ten przyspieszali Prusacy. Gdy przy zakupie towarów udawało im się otrzymać resztę w prawdziwych tynfach lub zdobyli je innymi sposobami, monety wędrowały do przetopienia do mennic w Dreźnie i Lipsku, które Fryderyk II wydzierżawił Efraimowi. „Na procederze zarabiał głównie król Prus, który zyski przeznaczał na finansowanie wojny. Oblicza się, że monetarne machinacje przyniosły mu dochód w wysokości 25 mln talarów" – podkreśla Kalwat. Fryderyk II zyskał w ten sposób tyle, ile wynosiły dochody budżetu jego państwa przez dwa lata.

Podczas trwającej wówczas wojny siedmioletniej, gdy Prusy musiały walczyć z wojskami Austrii i Rosji, takie wpływy finansowe były bezcenne. Natomiast mieszkańcy Rzeczpospolitej, biorący na siebie koszty wojny sąsiada, zmagali się z chaosem monetarnym i inflacją pożerającą ich dochody. Ale choć zorientowano się, jaka jest tego przyczyna, ani August III, ani sejm nie stanęli w obronie polskiej waluty. Wobec bezradności państwa obywatele próbowali sami walczyć z zagrożeniem. Na zachodnich granicach pojawiły się ochotnicze patrole wyłapujące Prusaków przyjeżdżających na zakupy z fałszywymi monetami. Fryderyk odpowiedział w typowym dla siebie stylu. Pruska armia w grudniu 1761 r. przejęła kontrolę nad polską komorą celną we Wschowej i pilnowała, by transportów monet już nikt nie blokował.

Cud domu brandenburskiego

Nadzieją dla Rzeczpospolitej byłaby przegrana Prus z wielekroć od nich większymi mocarstwami. Wszystko na to wskazywało, aż nagle 5 stycznia 1762 r. wydarzył się „cud domu brandenburskiego". Zmarła nienawidząca Fryderyka II cesarzowa Elżbieta i nowym władcą Rosji został wielbiący go Piotr III. Wbrew interesom swojego kraju car ogłosił zawieszenie broni, proponując Prusom pokój na znakomitych dla nich warunkach. Po czym ogłosił się sojusznikiem Berlina. Dotrwanie Prus dzięki polskim pieniądzom do dnia cudu Fryderyk II uczcił wysłaniem do Wielkopolski oddziałów kawalerii. Ściągały one od Wielkopolan kontyngent zbożowy, wypłacając za niego odszkodowanie w fałszywych tynfach. Niemal darmowe zboże z Polski pozwoliło gospodarce Prus szybciej dojść do siebie po wyniszczającej wojnie.

Sytuację zmieniło dopiero przejęcie w Petersburgu władzy przez Katarzynę II i osadzenie przez nią na polskim tronie Stanisława Poniatowskiego. Młody król uruchomił w Warszawie mennicę, która od 1765 r. biła talary z czystego srebra o wadze aż 23,8 g. Tynfy wycofano z obiegu. Jednocześnie odzyskano kontrolę nad granicami. Te poczynania i obawy przed reakcją Petersburga skłoniły Fryderyka II do zakończenia procederu fałszowania monet. Nie oznaczało to rezygnacji ze strategicznych planów. Król Prus przystąpił do przekonywania Katarzyny II, że rozbiór Rzeczpospolitej przyniesie obojgu czysty zysk, niczym pruskie mennice.

ANDRZEJ KRAJEWSKI

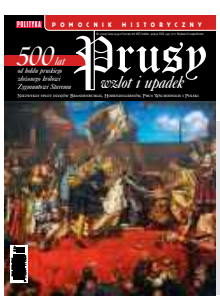

Więcej o związkach Prus i Polski w Pomocniku Historycznym **„PRUSY. WZLOT I UPADEK"**. Dostępny na **sklep.polityka.pl**

KUP TERAZ

eprasa.pl 9ebcecf7a9

film

Wejście smoka 5/6

LARP. Miłość, trolle i inne questy, reż. Kordian Kądziela, prod. Polska, 99 min, w kinach od 17 października

Świat wymaga odgrywania określonych ról. Niektórzy lepiej odnajdują się w mundurze komendanta policji, inni w stroju elfa. Najtrudniej jest oczywiście w domu, gdzie podział na rodziców i dzieci rodzi znane wszystkim napięcia i problemy. Kordian Kądziela, jeden z reżyserów serialowego przeboju „1670", debiutuje w pełnometrażowej fabule młodzieżową komedią o egzotycznie brzmiącym tytule „LARP. Miłość, trolle i inne questy" – szczerym i poruszającym filmem o inicjacji, polegającej właśnie na odkryciu fałszywości przypisywanych masek. I bawiąc się rozmaitymi popkulturowymi schematami w mocno odjechanej konwencji coming of age, osiąga naprawdę fascynujący rezultat.

Historia kręci się wokół nastoletniego nieudacznika, ucznia technikum weterynaryjnego (Filip Zaręba), mierzącego się z odrzuceniem i agresją rówieśników skierowaną przeciwko wszelkiej maści nerdom. Alternatywną rzeczywistością, w której ten idealista i outsider zdecydowanie lepiej sobie radzi niż w realu, jest właśnie LARP, czyli gra RPG (*role-playing game*) na żywo, fuzja improwizowanego teatru i fantastyki. W tym wyobrażonym świecie może udawać niepokonanego herosa, co rekompensuje mu porażki w niezbyt różowej codzienności. Wszystko się zmienia, gdy do jego klasy trafia niezwykłej urody dziewczyna (**Martyna Byczkowska**), równie zagubiona co on, lecz stosująca bardziej wyrafinowaną strategię przetrwania. Choć pościg za jej sercem podąża według wzorca klasycznej komedii romantycznej, Kądziela używa tej formuły jako rusztowania dla znacznie głębszego dramatu międzypokoleniowego. Serce filmu bije w trudnej relacji chłopaka z ojcem (świetna rola Andrzeja Konopki, bezbłędnie portretującego miękkiego twardziela). Drugi plan też zachwyca, błyszczy niezawodny Bartłomiej Topa jako światowej sławy pisarz fantasy zakochany w swoim ego. Reżyser ma świetne wyczucie absurdu, każda sztampowo zapowiadająca się scena zyskuje nieoczekiwany kształt i niesamowitą energię. Wizualnie też jest nieźle. Walki wyglądają wiarygodnie, humor trzyma równy poziom, fani Taiki Waititiego czy Kina Nowej Przygody znajdą masę ciekawych odniesień. Może za wcześnie, by mówić o objawieniu w rodzimym kinie rozrywkowym, ale na pewno jest to przełom.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

film

W labiryncie winy 3/6

Po polowaniu (After the Hunt), reż. Luca Guadagnino, prod. USA, Włochy, 139 min, w kinach od 17 października

Czy kultura unieważniania, a więc wykluczenia z życia publicznego – bez sądu i należytego udowodnienia win, jedynie na podstawie oskarżeń domniemanych ofiar – nie posunęła się za daleko? Wydaje się, że to właśnie mało komfortowe pytanie na fali gasnącego ruchu #MeToo zainspirowało Lucę Guadagnino do nakręcenia „Po polowaniu". Jest to przewrotny thriller psychologiczny, w którym **Julia Roberts** wciela się w szanowaną wykładowczynię filozofii Uniwersytetu Yale, a jej najlepszy przyjaciel (**Andrew Garfield**) zostaje oskarżony przez czarnoskórą doktorantkę o napaść na tle seksualnym. Pozornie jednoznaczna sytuacja okazuje się wcale nie taka oczywista, a akademicka elita – ze swadą dyskutująca na wieczornych przyjęciach o etyce Hegla, pokoleniowej rywalizacji, nieprzekraczalnych granicach dobra i zła, zasadach sprawiedliwości, moralności seksualnej – dusi się od intryg i tajemnic. Nawiązanie do klimatu poczciwych komedii Woody'ego Allena wydaje się tu równie toksyczne jak odkrywanie perfidnych i mało sympatycznych motywacji protagonistów. Film Guadagnina – trochę jak głośny „Tár" – kwestionuje obowiązek stania murem po stronie broniących się, skrzywdzonych kobiet. Prawda okazuje się znacznie bardziej zawiła. Co nie znaczy, że zaskakująco surowy i pozbawiony emocji film na tym zyskuje. JW

eprasa.pl 9ebcecf7a9

film

Brutalne życie 4/6

Smashing Machine, reż. Benny Safdie, prod. USA, 123 min, w kinach od 17 października

Przekraczanie własnych ograniczeń, toksyczna męskość, uzależnienie zarówno od używek, jak i rywalizacji, pułapki sławy: nie ma w filmie Benny'ego Safdiego tematów, których kino sportowe nie poruszałoby już wcześniej. Siła „Smashing Machine" płynie jednak nie z oryginalności, lecz z obserwacyjnej szczerości – inspiracją był nakręcony ponad 20 lat temu dokument o tym samym tytule, historia wzlotu, upadku i rehabilitacji Marka Kerra, jednego z pierwszych wielkich zawodników MMA. Filmy o sportach kontaktowych często zamieniają rywalizację w krwawy balet, estetyzują. Safdie woli realizm. Pod koniec lat 90. Kerr był u szczytu sławy, lecz jego błyskotliwą karierę przyhamowało uzależnienie od narkotyków i leków przeciwbólowych. Scenariusz śledzi kolejne wydarzenia z życia zawodnika, skupiając się nie tyle na jego sportowej karierze, ile na piętnie, jakie odcisnęła ona na relacjach Kerra z innymi ludźmi, przede wszystkim z życiową partnerką Dawn (**Emily Blunt**) oraz z przyjacielem (a okazjonalnie rywalem) Markiem Colemanem (Ryan Bader). Prawdziwym odkryciem jest jednak grający główną rolę **Dwayne Johnson**. To legenda wrestlingu i gwiazda Hollywood, ale po raz pierwszy dostał rolę, która korzysta nie tylko z jego sprawności i charyzmy, lecz przede wszystkim z aktorskich umiejętności. Występ godny oscarowej nominacji.

JAKUB DEMIAŃCZUK

© MÓWI SERWIS, AMAZON CONTENT SERVICES LLC., MONOLITH FILMS, ARTUR ZAWADZKI/REPORTER, ALICJA SZULC

scena

Rozpakowywanie 4/6

Un-packing, dramaturgia Mikita Iłynczyk, reż. Katarzyna Kalwat, Wrocławski Teatr Współczesny i Teatr Dramatyczny w Warszawie

Mikita Iłynczyk, polsko-białoruski dramatopisarz i reżyser, lubi osadzać swoje sztuki w niedalekiej przyszłości, tworząc dający nieco oddechu dystans do poruszanych w nich bardzo aktualnych tematów. Tak było w „Pigmalionie" z poznańskiego Polskiego, opowiadającym o czystkach etnicznych w naszym kraju i w „2049: Witaj, Abdo" ze stołecznego Studia, o procesie sprawców ludobójstwa na polsko-białoruskiej granicy. Akcja najnowszego „Un-packing" toczy się w 2029 r. w mieszkaniu lewicowej posłanki, zamienionym na czas jej kampanii do europarlamentu w przystań dla uchodźców z Białorusi i zarazem studio internetowego programu „Nasz dom. Wasz dom". Uchodźcy – w tym Autor, grany przez białoruskiego performera Kiryla Mashekę, który otrzymał azyl polityczny w Polsce – mają być wdzięcznym tłem w kampanii wyborczej, ale przywożą niewygodne dla rodzimej, narodowej, godnościowej narracji historie pogromów i wysiedleń. Podlasie przed wojną było domem dla prawosławnych mieszkańców Polski, którzy po wojnie zostali z niego wyrzuceni, uciszeni albo zamordowani. Rozgrywany na tle kartonowych pudeł, inspirowany głośną, reportażową książką „Kamienie musiały polecieć. Wymazywana przeszłość Podlasia" Anety Prymaki-Oniszk i losami rodziny Iłynczyka spektakl jest polifoniczną opowieścią o rozpakowywaniu historii.

ANETA KYZIOŁ

galeria

Walka o pokój 5/6

Bliski Wschód, daleki Zachód. Kijowskie Biennale, MSN Warszawa, do 18 stycznia 2026 r.

Po wybuchu wojny biennale kijowskie częściowo rozpierzchło się po Europie (równoczesne wystawy m.in. także w Linzu i Antwerpii), ma międzynarodowe grono kuratorów i takiż parasol ochronny. Wydawać by się mogło, że powinno zostać zdominowane przez sztukę, dla której głównym punktem odniesienia jest rosyjska agresja i jej skutki. I w przypadku wielu prac rzeczywiście tak jest. Już otwierająca wystawę instalacja Artura Żmijewskiego ma wymiar symboliczny – to stara ukraińska lalka ubrana we współczesny ukraiński mundur i nieco kojarząca się z figurą naszego Małego Powstańca. Jednak spektrum problemów podejmowanych przez artystów jest dużo szersze i często związane z krajem ich pochodzenia. Zebrano więc ciekawe prace poświęcone protestom społecznym w Gruzji i arabskiej wiośnie. Pokazano projekt artystyczno-badawczy analizujący, jak tworzone sieci kolejowe stanowiły element imperialnej polityki na Bliskim Wschodzie, i ciekawy film o tym, jak Rosjanie kolonizowali syberyjskie ziemie. Jest i o zanikaniu tradycji na ziemiach palestyńskich, o historii Nord Stream i wiele innych. Wystawa tworzy w sumie niewesoły, ale ważny obraz współczesnych bolączek politycznych, osobliwie skoncentrowanych w obszarze tzw. bliskowschodniej Europy. Jeżeli ktoś chce zrozumieć, na czym polega współczesna sztuka zaangażowana, to lepszej okazji mieć nie będzie.

PIOTR SARZYŃSKI

eprasa.pl 9ebcecf7a9

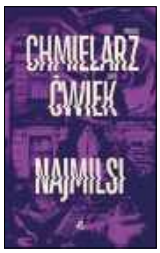

Słoń w pokoju 4/6

Wojciech Chmielarz, Jakub Ćwiek, **Najmilsi**, Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2025, s. 480

Kiedy paruje się twórczo dwóch popularnych i zaprawionych w bojach autorów kryminałów w Polsce, wiadomo, że powstanie coś więcej niż tylko suma elementów. Wojciech Chmielarz i Jakub Ćwiek mieli okazję się dotrzeć, pisali już wspólnie, czuć, że jest im po drodze. Ale i po prostu dobrze się bawią, gdy mogą wywieść czytelnika na manowce, skołować go i na różne sposoby zmylić kryminalne tropy. Zwrotów akcji jest tyle, że części można się domyślić, ale są i mniej oczywiste. Jest trup i jest obecny jego duch, dosłownie, co też zaskakuje. Akcja przenosi się prędko z Afganistanu do Bytomia, „najmilszego miasta w Polsce". Marcin Lorenc, do niedawna sławny korespondent wojenny, wyczerpał – jak sądzi – łut szczęścia i zdolność przetrwania na froncie, więc zajął się dziećmi, a gdy domowe gniazdo opustoszało, jego życiu znów zabrakło treści. Najął biuro w dawnym hotelu, dziś to kamienica do coworkingu, pełna indywiduów i aspirujących start-upów. Lorencowi trafia się lokal Julka, po którym ślad zaginął. Duch Julka oznajmia czytelnikom, że nie zaginął, tylko zginął, ale sam nie wie, gdzie podziało się ciało. Tu się zaczyna piętrowa intryga i komedia omyłek, a zmysł reportera wybudza się ze snu zimowego. Lorenc do spółki z nowymi znajomymi z biurowca ma misję ustalenia, co się stało z Julkiem. Chmielarz z Ćwiekiem rzucają żartami jak z rękawa, mają frajdę oni, mają czytelnicy. To kryminał w stylistyce cosy – zabawny, ironiczny. Tak cosy, jak tylko Bytom na to pozwala, a pozwala na wiele.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

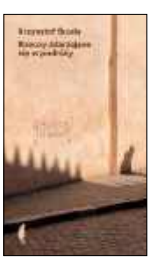

Trzeba zapisać 4/6

Krzysztof Środa, **Rzeczy zdarzające się w podróży**, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2025, s. 128

Tytuł najnowszej książki Krzysztofa Środy odpowiada temu, co jest w niej zawarte: to osobiste zapiski z wypraw, podczas których przydarza się coś interesującego. Z drugiej strony jednak to tytuł zwodniczy. Nie chodzi tu wszak o rzeczy, lecz raczej o błyski, zdumienia, namysły wytrącające z kolein codzienności, a przede wszystkim o ludzi. To właśnie spotkania z nimi stają się sensem każdej podróży. Jest to też książka o pisaniu, pełna pytań o sens autorskiego gestu – Środa zastanawia się m.in., czy warto uruchamiać literacką maszynerię niezwłocznie po jakimś wydarzeniu i kucnąć na poboczu drogi, żeby zapisać to w notesie, czy może zaniechać, wrócić do niego po latach, polegając tylko na pamięci i szczątkowych zapiskach, by kreować raczej, niż relacjonować. Jedno z najważniejszych zagadnień dotyczy „tego, co wydarza się między światem a pisaniem o nim" – z punktu widzenia zarówno autora, jak i czytelnika. Opisując swoją lekturę książek Sebalda, Stasiuka, Kassabovej, ale też spotkanego lata temu w pociągu weterana wojny w Afganistanie, który okazał się pisarzem amatorem, pokazuje, w jak fascynujący sposób to, co napisane, sprzęga się z tym, co przeżyte. W tym systemie wielokrotnie odbijających się luster życia i literatury najważniejszy jest człowiek. Jak pisze Środa w jednym z tekstów: „jeśli istniała szansa, że nazwisko (…) zostanie kiedyś przeczytane przez kogokolwiek, trzeba było je zapisać".

MACIEJ ROBERT

Wietrzenie głów 5/6

Maciej Sieńczyk, **Pijaczek**, Wydawnictwo Biblioteki Śląskiej, Katowice 2025, s. 336

Wydany na wiosnę „Pijaczek" Macieja Sieńczyka dopiero na jesieni został szerzej odkryty. Niektóre książki żyją krótko, ale to na szczęście przypadek odwrotny. Sieńczyk, znakomity autor komiksów, był nominowany do nagrody Nike za „Przygody na bezludnej wyspie" i został laureatem Nagrody Literackiej m.st. Warszawy za „Spotkanie po latach". I w tej powieści znajdziemy elementy groteski, przewrotnego humoru i paradoksalnej wyobraźni, które znamy z jego komiksów. Na lubelskim osiedlu chłopcy fascynują się niejakim Pijaczkiem, starszym od nich Zygfrydem, który okazuje się najbardziej nietypowym żulem, jakiego możemy sobie wyobrazić. Bo oto Pijaczek dba o porządek i czystość w swoim mieszkaniu wręcz obsesyjnie, lubi tylko nowe książki, które kupuje mu matka. Kocha Gombrowicza i serial „Niewolnica Isaura", zna się na każdej dziedzinie sztuki tak, że mógłby występować w „Wielkiej grze". Ramą narracyjną są stare nagrania magnetofonowe z rozmowami z Pijaczkiem, w dużej mierze nieczytelne. Tworzy to wszystko kapitalną grę z naszymi wyobrażeniami, bo Pijaczek nie da się nijak zakwalifikować. Jest i intelektualistą, i lumpem, i sama jego konstrukcja jest satyrą na wszelkie kategoryzacje. Ta opowieść wyrasta z ducha literatury sowizdrzalskiej, i z ducha Rabelais'go, pomieszania wysokiego z niskim, a to wszystko utopione zostało w sosie osiedla lat 90., Tymińskiego i Korwin-Mikkego. Sieńczyk bawi się napuszoną mową „wysokiej" kultury, którą lubi zderzyć z „Dynastią", unurzać w humorze Benny'ego Hilla. Przystawia lustro naszym wyobrażeniom o tym, co poważne, co właściwe, co do czego pasuje, naszej autocenzurze. Kapitalnie przewietrza nam głowy.

JUSTYNA SOBOLEWSKA

© PAWEŁ PRZYBYSZEWSKI/FORUM, JORDI VIDAL/REDFERNS/GETTY IMAGES, FESTIWAL NOWE OŚWIECENIE, TOMASZ PACZOS/FOTONOVA, MP (5)

eprasa.pl 9ebcecf7a9

muzyka

Stare chwyty 3/6

Taylor Swift, **The Life of a Showgirl**, Republic

Jaki jest kompozytor z największą liczbą hitów na miejscu 1. listy „Billboardu"? Na razie jeszcze Paul McCartney (32), ale jego kolegę z zespołu, Johna Lennona (26), wyprzedził w zeszłym roku Szwed Max Martin (27). I właśnie tego autora po raz kolejny zaprosiła do współpracy przy nowej płycie Taylor Swift. To pierwszy materiał opublikowany po obejmującej cały glob półtorarocznej trasie The Eras Tour. Do tego pisany w okresie uspokojenia w życiu prywatnym (zaręczyny z Travisem Kelce'em). Jest tu o budowaniu szczęścia, o wzorcu obserwowanej przez innych gwiazdy, showgirl (którym dla Swift okazuje się Elizabeth Taylor), o wykorzystywaniu szansy, o sprawczości i odwadze. Martin chwytliwe melodie pisze pewnie i we śnie, tyle że w określonym, charakterystycznym dla przełomu wieków stylu: w takich piosenkach jak „Opalite", „Father Figure" (podejmującej wątki z hitu George'a Michaela) czy „Cancelled!" słychać więc muzykę Britney Spears czy Katy Perry, z którymi pracował. Jest tu nudno, ale bezpiecznie, milenialsi dostaną sentymentalną podróż do czasów wczesnej młodości. Świat artystyczny piosenkarki rozjeżdża się tu jednak z tym znanym z jej tekstów – nie ma w nim odwagi, jest wyrachowanie. Jest dziś tak popularna, że mogłaby zrobić wszystko, a wybrała Martina.

BARTEK CHACIŃSKI

festiwal

Balans na scenie

28. Festiwal Jazz Jantar – edycja jesienna, Gdańsk, Klub Żak, 22–26 października

Jeszcze niedawno toczono debaty o słabej reprezentacji kobiet na scenach jazzowych. Dziś miło się przegląda zbalansowane – i to naturalnie, za sprawą przemiany pokoleniowej i zmiany sposobu myślenia – programy festiwali. Na jesiennej edycji Jazz Jantar uwagę skupia gitarzystka **Mary Halvorson**, której sześciostrunowy instrument o brzmieniu przetwarzanym przez delay przemawia wyjątkowym, autorskim językiem, jakby zakłócającym przebieg czasu. A także wybitna pianistka i improwizatorka Sylvie Courvoisier czy argentyńska saksofonistka Ada Rave, prowadząca warsztaty ze zdolnymi studentami gdańskiej Akademii Muzycznej. Swój kwintet poprowadzi pianistka Hania Derej, nagrodzona ostatnio przez „Gazetę Wyborczą" wyróżnieniem dla młodych talentów. Owszem, będą gwiazdy jazzu płci męskiej, i to nie byle jakie – Vijay Iyer, Wadada Leo Smith (ten zagra w duecie z Courvoisier), Theon Cross. Fakt, że Jazz Jantar nadąża za tym, co się muzycznie dzieje na tej scenie, jest oczywisty. Pewnym odkryciem jest to, że da się zawalczyć o balans i nie stracić gwiazdorskiego bilansu. BCH

Szczegóły: **jazzjantar.pl**

nie przegap

Harry Angel, reż. Alan Parker, w kinach (ponownie) od 10 października

W ramach odświeżania klasyki do kin wraca „Harry Angel" Alana Parkera, nie mniej szokujący i kontrowersyjny niż przed laty. Czarny kryminał zderza się tu z okultystycznym horrorem, **Mickey Rourke** popisowo gra tytułową rolę detektywa, który prowadzi śledztwo w sprawie zaginionego piosenkarza, a show kradnie diaboliczny Robert De Niro. Brutalne, niepokojące i hipnotyzujące widowisko. JD

Festiwal Nowe Oświecenie, Warszawa, Ursynowskie Centrum Kultury „Alternatywy", 18–25 października

Spotkania i rozmowy, tym razem o polskości. Aneta Prymaka-Oniszk i Zbigniew Rokita opowiedzą o Polsce otwartej, prof. Tadeusz Gadacz, prof. Stanisław Obirek i Tomasz Terlikowski zmierzą się z mitem Polaka katolika, a Tomasz Ulanowski i prof. Przemysław Urbańczyk wrócą do początków polskości. Do tego wystawa obrazów **Jerzego Dudy-Gracza**, spektakl „Separatka" w reż. Joanny Szczepkowskiej i koncert grupy Ørganek. BCH

Szczegóły: **festiwalnoweoswiecenie.art**

Soundedit '25, Łódź, Klub Wytwórnia, 17–21 października

Festiwal Soundedit jak zwykle koncentruje się na produkcji muzycznej i brzmieniu, a niedzielny wieczór 19 października poświęci polskim legendom. Dostawcą tych wspomnień jest sosnowiecka wytwórnia GAD Records, wydawca świetnie opracowanych wznowień płytowych. To na jej zaproszenie przyjadą do Łodzi takie postacie jak Henryk Kuźniak, Krzysztof Duda czy Waldemar Parzyński z Novi Singers. I ten wieczór uświetni koncertem formacja **SBB**. BCH

eprasa.pl 9ebcecf7a9

Jacek Braciak (z lewej) **i Maciej Stuhr:**
„psy" zmęczone, posiwiałe, ale ciągle zdolne ugryźć

Z nowej gliny

ANETA KYZIOŁ

Po 17 latach na mały ekran wracają bohaterowie kultowego „Gliny". Fala nostalgii od lat przynosi kontynuacje lubianych tytułów z przeszłości. Z jakim skutkiem?

eprasa.pl 9ebcecf7a9

W Warszawie znów padły strzały. Świadków brak. Stołeczni „zabójcy”, czyli policjanci z wydziału zabójstw, zaczynają nowe żmudne śledztwo od przepytania właścicieli okolicznych punktów usługowych. „Musimy się od czegoś odbić, coś wykluczyć” – stwierdza komisarz Artur Banaś. „Może blachy wózka zarejestrowanego przez uliczny monitoring dadzą jakiś trop” – dodaje komisarz Jóźwiak. Wracający do swoich ról po 17 latach Maciej Stuhr i Jacek Braciak grają „psy” zmęczone, posiwiałe, pozbawione złudzeń, ale tak samo zdeterminowane, żeby uczciwie wykonać swoją pracę.

W przypadku pierwszego śledztwa we wznowionym właśnie po latach serialu „Glina. Nowy rozdział” mają dodatkową motywację, ale etos pracy „zabójców” jest niezmienny, bo serial Macieja Maciejewskiego (scenariusz) i Władysława Pasikowskiego (reżyseria) od pierwszego odcinka pokazanego przez TVP w 2004 r. był opowieścią w starym stylu: o tych, co nie odpuszczają na drodze do prawdy, choć cenę płacą wysoką.

Birkut z klamką

Banaś Stuhra zaczynał w pierwszym sezonie jako Młody – dlatego, że był tuż po szkole, ale też w nawiązaniu do ówczesnej ksywki aktora (młody Stuhr). Przez te niemal dwie dekady bohater zdążył się dorobić innej – „łowca skór”. Ta jest odbiciem jego bezwzględnej skuteczności w eliminowaniu stołecznych złoczyńców. Jego małżeństwo w starciu z pracą nie wytrzymało, ale Banaś wciąż ma dobry kontakt z dorastającą córką.

Jóźwiak za to bardzo się nie zmienił. Dalej karmi rybki w akwarium na komisariacie i wciąż udaje mu się łączyć pracę, w której nie waha się wyciągnąć „klamki”, gdy trzeba, z udanym życiem rodzinnym. Na emeryturę nie wybiera się patolożka Olga Seifert (Agnieszka Pilaszewska), która swoją profesję „zimnego chirurga” od lat ceni za to samo: bezstresowość, a kolejne sekcje podsumowuje mantrą: „Całkowicie zdrowy człowiek. Tyle że martwy”.

Tymczasem „fabryka”, czyli komenda, idzie z duchem czasu. Na czele wydziału stoi teraz inspektorka grana przez Renatę Dancewicz. A do „zabójców” dołącza Młoda, aspirantka Tamara Rudnik (Nela Maciejewska), z doskonałym przeszkoleniem i francuskim backgroundem, który bardzo się przydaje w pierwszym śledztwie.

Drugi sezon „Gliny” skończył się *cliffhangerem*: główny bohater serii, komisarz Andrzej Gajewski, grany przez Jerzego Radziwiłowicza, został postrzelony pewnej deszczowej nocy na moście Poniatowskiego. SkyShowtime, która wraz z TVP i firmą Apple Film Dariusza Jabłońskiego wyprodukowała trzeci sezon, długo utrzymywała w tajemnicy los Gajewskiego i ewentualny powrót Radziwiłowicza do kultowej roli. Podczas premiery serii w Stalowni na warszawskiej Pradze, czyli w dzielnicy ważnej dla mitologii „Gliny”, Radziwiłowicz miał wejście smoka. Dołączył do obsady na estradzie prowadzony przez kamery po czerwonym dywanie, wśród oklasków. Tajemnica, przynajmniej w części, została ujawniona, reszty nie zdradzamy, żeby nie psuć widzom przyjemności.

Brawa się Radziwiłowiczowi bezwzględnie należały. Fakt, że „Glina” przez 17 lat od zakończenia emisji wciąż cieszy się popularnością (dwa pierwsze sezony są dostępne na SkyShowtime i TVP VOD), to zasługa tyleż scenariusza i reżyserii, wpisujących realistycznie oddaną, potransformacyjną Warszawę w konwencję kina noir, co charyzmy Radziwiłowicza. Aktor Teatru Narodowego, a wcześniej krakowskiego Starego Teatru z jego najlepszego okresu, kojarzony przede wszystkim z rolą Mateusza Birkuta w „Człowieku z marmuru” Wajdy, z tym bagażem zagrał nadkomisarza Gajewskiego: mrukliwego, zgryźliwego, ale w głębi duszy wrażliwego „psa”, do bólu bezkompromisowego, upartego i uczciwego. Pracę, jak przystało na chandlerowskiego bohatera, odreagowuje nałogowym paleniem i wódką pitą po pracy. Małżeństwo się rozpadło, ma córkę studentkę, jego oczko w głowie, i młodszą partnerkę, z którą związek też się sypie.

Serial rozpoczynało znalezienie w hotelowym pokoju ciał dwóch mężczyzn, pierwszym był oficer wydziału zabójstw, drugim gangster o ksywce Rolex. Główne śledztwo dotyczyło powiązań policji z mafią, ale było przeplatane krótszymi sprawami, zajmującymi zwykle kilka odcinków. Odbijała się w nich ówczesna Polska, jeszcze mocno z lat 90.: gangsterzy i strzelaniny w biały dzień; sieroty po poprzednim systemie, zagubione w nowej rzeczywistości; sadyści żerujący na młodych kobietach przyjeżdżających do stolicy z prowincji; żniwo zbiera AIDS; są sekty; jest Polska faszyzująca; ale też wielki, międzynarodowy biznes i polityka, a nawet teatr; na finał zaś – seryjny morderca kobiet. Część śledztw miała inspirację w rzeczywistości, jak sprawa porwania i zabójstwa syna Bolesława Piaseckiego, tu wracająca jako akt zemsty po latach.

Jednak równie ważne były sprawy prywatne policjantów i życie wydziału, szczególnie mentorska relacja Gajewskiego ▶

© BARTOSZ MROZOWSKI

REKLAMA

MAMA'S GUN THE RETURN OF AUTOMATIC SLIM

ERYKAH BADU

Gdynia, Polsat Plus Arena
31.10.2025 & 02.11.2025

◀ BILETY NA WWW.ERYKAHBADU.PL

AGENCJA PERSPEKTYWY trojmiasto.pl NLA jazz soul.pl Radio Gdańsk 80 lat wyborcza.pl NOWY ŚWIAT polsat plus arena gdynia

eprasa.pl 9ebcecf7a9

© BARTOSZ MROZOWSKI (2)

Do „zabójców" dołącza aspirantka Młoda (Nela Maciejewska). Z prawej: **Agnieszka Pilaszewska powraca w roli patolożki.**

▶ z Młodym. Dla Macieja Stuhra rola Młodego też była przełomowa, komik mógł pokazać dramatyczną stronę. Para Gajewski–Banaś rządziła na ekranie, ale świetne kreacje stworzyli też Braciak i Robert Gonera, w mniejszych rolach można zobaczyć znanych dziś aktorów i aktorki. W pamięć zapada dr Seifert Pilaszewskiej: profesjonalistka oddana pracy, z ciekawym spojrzeniem na życie, jednak to wyjątek – wiele kobiet w serialu uosabia stereotypy.

Aż tyle czy tylko

Ton serialu jest oryginalny: bywa histeryczny, momentami nieco teatralny, z Warszawą tonącą w deszczu, z nerwowym sięganiem po kolejnego papierosa, samotnym piciem wódki do telewizora, załatwianiem spraw „po męsku". Do historii przeszła scena, w której była już partnerka Gajewskiego (Urszula Grabowska) próbuje po zdradzie do niego wrócić i z łazienki prosi go, żeby umył jej plecy. „Sama sobie umyj" – odpowiada jej komisarz krótko i zwięźle. Ta przaśność i przesada jednocześnie dobrze oddają albo budują klimat i ducha epoki. Przy tym serial był kręcony na taśmie 16 mm i ma filmowy sznyt, muzyka Michała Lorenca z przewodnią partią saksofonu Henryka Miśkiewicza także robi swoje.

Świetnie przyjęty przez widzów i krytykę, wymieniany w gronie najlepszych seriali w historii polskiej telewizji, wydawał się mieć trzeci sezon w kieszeni. Scenariusz już był gotowy, akcja miała się zaczynać tam, gdzie się skończyła: na moście Poniatowskiego. Jednak w międzyczasie rządy w TVP objęła Liga Polskich Rodzin. Jak tłumaczył „Gazecie Wyborczej" Dariusz Jabłoński, producent starego i nowego „Gliny": „Jeden z wątków drugiego sezonu dotyczył morderstwa na grupie Romów przez faszystowską bojówkę, czym nadepnęliśmy na odcisk różnym decydentom. Także tym, którzy kierowali wtedy – krótko – Telewizją Polską. Odcinki nie miały stałej pory emisji, były emitowane nawet o północy. Jak na takie warunki dwa miliony widzów to był naprawdę niezły wynik, ale wystarczył pretekst, żeby zablokować kontynuację".

Przez lata pytanie o trzeci sezon wracało jak bumerang. Kiedy wreszcie powstał, pojawiają się inne: czy dotrzymuje kroku oryginałowi i czy sprostał wyśrubowanym oczekiwaniom? Po pierwsze „Glina. Nowy rozdział" ma tylko sześć odcinków, co nie dziwi w kontekście współczesnej telewizji (która coraz częściej raczy nas miniserialami), ale nie odpowiada na oczekiwania widza. Pierwsza seria to 12 odcinków, druga – 13, bohaterowie i Warszawa mieli więc czas, by zadomowić się w naszych umysłach i sercach. Nowa odsłona dzieli się na dwie części, policjanci badają trzy sprawy (interesujące, współczesność jakoś się w nich odbija) i całość, zwłaszcza gdy jeszcze trzeba oddać hołd pierwowzorowi i mrugnąć do starego widza, wydaje się dość zdawkowa. O wizji artystycznej, estetycznej też trudno tu mówić. To solidny serial kryminalny, z bohaterami, których trudno nie lubić, włącznie z nową aktorką (Nela Maciejewska jest córką Macieja Maciejewskiego i Agnieszki Pilaszewskiej, ale oprócz znanych rodziców ma też na szczęście talent i warsztat), która świetnie się wpasowała w starą ekipę. Aż tyle i tylko tyle.

Z archiwum telewizji

Nowy „Glina" wpisuje się w trend serialowych i filmowych powrotów, który od lat obserwujemy na świecie i który dotarł też do nas. Najgłośniejsze były z pewnością nowe sezony najbardziej kultowych serii, na czele z „Miasteczkiem Twin Peaks", reaktywowanym przez Davida Lyncha i Marka Frosta w 2017 r. i „Z Archiwum X", którego nowy, 11. sezon obejrzeliśmy rok później. Czterech nowych odcinków w 2016 r., dekadę po finale, doczekały się także „Kochane kłopoty", a „Seks w wielkim mieście" (1998–2004) wrócił w 2021 r. pod nowym tytułem „I tak po prostu" na – jak się niedawno okazało – trzy sezony.

Najwięcej emocji wzbudziły nowe „Twin Peaks" oraz „I tak po prostu". Pierwsze dlatego, że Lynch i Frost stworzyli wymagający od widzów sporo cierpliwości i otwartości 18-odcinkowy miks horroru, kryminału, eseju o współczesnej Ameryce, ezoteryce oraz wideoinstalacji, która z powodzeniem odnalazłaby się w galerii czy muzeum sztuki nowoczesnej. Jeden z odcinków zawierał m.in. wybuch bomby atomowej z płynącą w tle muzyką Krzysztofa Pendereckiego, akcja krążyła między Ziemią, kosmosem a innymi wymiarami, część bohaterów była tulpami – rodzajem pałub, inni zmienili się np. w wielki czajnik, w jednej scenie pojawiała się Monica Bellucci, a dr Jacobi, psychiatra z pierwszych sezonów, przekształcił się w internetowego guru siejącego nienawiść i sprzedającego złote szpadle „do własnoręcznego wykopania się z gówna".

Z kolei nowe przygody Carrie i spółki, tym razem w wieku dojrzałym, miały dużą oglądalność, ale część widzów, zwłaszcza młodszych, uprawiała *hate-watching*, wyśmiewając twórców w internecie za boomerskie spojrzenie na rzeczywistość. Nie do wszystkich trafiało, że serial jest komedią, od samych początków niepoprawną politycznie.

Z sukcesem wraca do dawnych dzieł Noah Hawley – po świetnych pięciu sezonach „Fargo", osadzonych w uniwersum filmu braci Coen z 1996 r., właśnie pokazał własną wizję „Obcego" Ridleya Scotta (seria „Obcy: Ziemia", Disney+). A z najnowszych

eprasa.pl 9ebcecf7a9

powrotów udało się też wskrzeszenie „Dextera” – seryjny mordujący seryjnych wrócił po dekadzie od finału oryginalnej serii, i to od razu w formie prequela i sequela (SkyShowtime).

Powroty.pl

W Polsce jako jeden z pierwszych powrócił – w 2018 r., po 12 latach – serial „Odwróceni”, kontynuacja hitu TVN, w którym gangster mafii pruszkowskiej Blacha (Robert Więckiewicz) i policyjny komisarz Sikora (Artur Żmijewski) nawzajem się rozpracowywali i przeciągali na drugą stronę. Po latach wypływała sprawa, która mogła ujawnić ten układ, storpedować ich własne poukładane życia, a także wpłynąć na losy ich pociech. Niedawno zaś wróciła „Krew z krwi”, pierwsze dwa sezony mafijnego kryminału osadzonego na Wybrzeżu z Agatą Kuleszą w roli matki chrzestnej z przymusu pokazywano w latach 2012–15, trzeci miał premierę w tym roku (TVP). Także w tym roku Juliusz Machulski pokazał drugą część komedii kryminalnej „Vinci”, ze starszymi o dwie dekady bohaterami. Po niemal 20 latach wrócił też osadzony w świecie korporacji sitcom „Camera Café”, tym razem z podtytułem „Nowe parzenie” (Player). Poprawne, sprawne, ale żaden nie wywołał większych reakcji.

Inaczej niż wrześniowy powrót „Rodzinki.pl” na antenę i do streamingu TVP, z 17. sezonem po pięciu latach nieobecności. Pierwszy z planowanych 13 nowych odcinków wywołał w sieci burzę. Widzowie pamiętający rodzinę Boskich jako może głośną i nieszczędzącą sobie dosadnych komentarzy, ale kochającą się familię z klasy średniej, teraz zobaczyli wrzeszczących na siebie nieszczęśliwców na skraju złamania nerwowego i finansowego. „Patologia” – grzmiały komentarze. Poszło o to, że starzy Boscy (Małgorzata Kożuchowska i Tomasz Karolak) przeżywają kryzys wieku średniego i małżeństwa, a ich trzej synowie w podobnych bólach wchodzą w dorosłość. Kolejne odcinki już nieco tonują ten obraz – Boscy seniorzy wzajemne wyzwiska traktują trochę jak odstresowujący rytuał, a riposty bywają tyleż dosadne, co zabawne. Ludwik: „To może szybka kompensacja (eufemizm na seks)?”. Natalia: „Dobra, pod warunkiem że naprawdę szybka”. Ludwik: „To masz jak w banku”.

Oglądalność nowej „Rodzinki.pl” jest tak duża, że TVP chwali się rekordowymi wynikami swojego serwisu streamingowego (choć liczb nie podaje). I idzie za ciosem. Po dekadzie od finału trwają prace nad nowym, sześcioodcinkowym, sezonem „Rancza”. Inni też chcą ugrać swoje na nostalgii fanów. Mówi się o nowej, tym razem serialowej wersji „Psów” Pasikowskiego – ponoć w grze jest tu Netflix – oraz o wskrzeszeniu sitcomu „13 posterunek”. W tym ostatnim grający główną rolę Cezary Pazura miałby, wedle jego własnych słów, zostać nowym komendantem, a jego dawną rolę Cezarego Cezarego przejąłby młodszy aktor. Ponoć decyzja o reaktywacji serii należy do reżysera Macieja Ślesickiego.

W najbliższych latach czeka nas także seria ponownych ekranizacji klasyki. Puszkę otworzył dwa lata temu Netflix nowym „Znachorem”, który okazał się tak dobry i tak dobrze się oglądał, że dostaniemy jeszcze więcej tego samego. O dwóch „Lalkach” według Prusa, kręconych jednocześnie – serialowej Netflixa i filmowej – wie już każdy, ale ponoć na scenariusze są już przerabiane także „Trędowata” i „Noce i dnie”. Ciąg dalszy nastąpi.

ANETA KYZIOŁ

REKLAMA

eprasa.pl 9ebcef7a9

Ile Kafki w Kafce?

Idan Weiss jako tytułowy bohater filmu „Franz Kafka" w reż. Agnieszki Holland

Nasz oscarowy kandydat to opowieść Agnieszki Holland o Franzu Kafce. Fascynacja życiem praskiego pisarza wciąż rośnie. Ale jak się ma film do tego, co o nim wiemy? I czy na pewno dużo wiemy?

JUSTYNA SOBOLEWSKA

„Był łagodny, miły, grzeczny, ale potrafił używać słów jak broni, wysysać krew za pomocą jednego zgrabnego zdania. W swoim pisarstwie i w życiu łączył skrajności – i ponosił tego konsekwencje" – czytamy we wznowionej właśnie biografii „Franz Kafka. Koszmar rozumu" Ernsta Pawela. Poznajemy też najobszerniejszą i najbardziej wyczerpującą trzytomową biografię pióra Reinera Stacha „Wczesne lata. 1883–1910" i „Kafka. Lata decyzji" (na przekład trzeciego tomu jeszcze czekamy). Jednocześnie ukazuje się książka Remigiusza Grzeli „Poszukiwany Franz Kafka", który zajmuje się żydowskimi aktorami w Pradze, ale też losem sióstr Kafki, ostatniej jego miłości Dory Diamant czy sporami wokół spuścizny.

Dlaczego tylu autorów i autorek nieustająco chodzi tropami Kafki? „Nie możemy Kafki uchwycić, nie umiemy odnaleźć, ale przecież daje nam całe swoje imaginarium. Ożywa w każdej opowieści, w najmniejszym fragmencie" – pisze Grzela. Z tym zdaniem zgodziłaby się pewnie Agnieszka Holland, której film opowiada nie tylko o życiu, ale też o próbach dotarcia do prawdy o wymykającej nam się ciągle postaci Kafki. Zamiast tego widzimy cały przemysł pamiątkowy i muzealny, który narósł wokół tej postaci. Kafka, który chciał wymazać swoją twórczość i siebie z przyszłości, jest dziś atrakcją turystyczną Pragi. Film Agnieszki Holland jest osobisty, bo zdaje relację z bezradności prób zbliżenia się do pisarza. Tradycyjny film biograficzny mógłby nie udźwignąć tej postaci. Kafkę dziś musimy sobie układać z fragmentów. Okazuje się żywy, choć zamieniono go w muzea i pomniki.

Według Reinera Stacha kluczem do intelektualnej biografii Kafki jest jego miasto. „To, co pisze, jest magiczne w zupełnie innym sensie niż rzekomo magiczna Praga. Każda linijka spod jego ręki przechodzi przez filtr przerażającej, często lodowatej, intelektualnej czujności

eprasa.pl 9ebcecf7a9

i nasyconej obrazami, nieustępliwej refleksji. Kafka był nie tylko mocno związany ze swoim rodzinnym miastem jak tysiące innych ludzi, ale i czerpał z tego impuls, a poniekąd nawet misję zgłębienia zagadki owej więzi".

Tym tropem idzie też Holland. U niej Praga jest nie tylko scenografią, ale również przestrzenią, w której Kafka stał się sobą, z całym bagażem nienawiści do siebie, swojej rodziny, tradycji i ze strachem wobec tego, co widział dookoła. „Ciągle próbuję przekazać coś, czego przekazać się nie da, wyjaśnić coś, co jest niewyjaśnione, opowiedzieć o czymś, co czuję tylko w kościach, a czego inaczej doświadczyć nie można" – pisał w liście do Mileny Jesenskiej. – „Strach rozciągający się na wszystko, strach przed największym i najmniejszym, strach, paraliżujący strach przed wymówieniem jakiegoś słowa".

W pierwszej scenie filmu ojciec ścina małemu Franzowi włosy. Słyszymy dźwięk nożyc. Ojciec jako potwór – to dosyć oczywiste skojarzenie, które zawsze pojawia się przy Kafce. Tymczasem ten ojciec w filmie Holland nie jest postacią jednoznaczną. Również biografie pokazują go jako człowieka, który nie mógł przekroczyć swoich ograniczeń. Hermann Kafka wyszedł z potwornej biedy, pracował od siódmego roku życia i udało mu się wyrwać ze sztetla, zapewnić byt rodzinie, wreszcie – nie głodować. W kilku scenach filmu podczas rodzinnego obiadu pożera głośno mięso.

Kafka opisywał swoje dzieciństwo jako piekło podporządkowane tyranowi. „Za niepokoje syna w dzieciństwie w znacznym stopniu, choć nieświadomie, ponosi odpowiedzialność ojciec ze swoim brutalnym egoizmem, mentalnością parweniusza i bezmyślną wulgarnością" – pisze Pawel. – „Ale nawet przy najlepszych chęciach Hermann Kafka nie mógłby przekazać swoim dzieciom, co dla niego znaczy być Żydem, z tego prostego powodu, że znaczyło upokarzającą biedę, społeczną dyskryminację, ślepy zaułek w sztetlu i ciężar tradycji, od czego przez całe życie starał się uciec".

U Holland ojciec jest rozczarowany synem, nie potrafi go zrozumieć, ale nie odrzuca go całkiem. Ostentacyjnie lekceważy to, co pisze Kafka, w pewnym momencie każe mu odłożyć zapiski na stolik nocny.

Wyrazem buntu wobec ojca był list, który Kafka do niego napisał, ale którego mu nie wręczył. „Ponieważ Franz nie był synem Boga, ale Hermanna Kafki i Wieku Rozumu, torturował siebie i swoich bliskich, starając się ciągle usprawiedliwić i zracjonalizować to, czego nie można wyjaśnić. Cała jego twórczość stanowiła próbę ucieczki od ojca, co nawet jeśli jest prawdą, nie wyjaśnia, dlaczego wybrał tę konkretną drogę do odkupienia" – pisze Pawel.

Główną sceną filmu jest mieszkanie rodzinne, jego zgiełk i tumult, w środku którego Kafka (w tej roli bardzo dobry Idan Weiss) próbuje pisać. Siedzi w pokoju przechodnim. Skrzypienie, trzaskanie, krzyki, odgłosy seksu z sypialni rodziców – wszystko to jest głośne i nieznośne, tak jak było dla Kafki.

Z dzisiejszej perspektywy dobrze rozpoznajemy jego nadwrażliwość – nie tylko na dźwięki. Notował w „Dzienniku": „Chcę pisać mimo ciągłego drgania czoła. Siedzę w swym pokoju, w głównej kwaterze zgiełku całego mieszkania. (...) Słyszę, jak trzaskają wszystkie drzwi, ich stukot przesłania mi tylko kroki tych, którzy przez nie przebiegają, ale jeszcze słyszę zamykanie drzwiczek kuchennego paleniska. Mój ojciec rozwala drzwi mego pokoju i sunie przezeń we wlokącym się za nim szlafroku, z pieca w przyległym pokoju wygrzebuje ktoś popiół, Valli, jak gdyby krzycząc na którejś z paryskich ulic, rzuca przez przedpokój w nieokreśloną dal pytanie, czy kapelusz ojca już wyczyszczono".

Jednocześnie jednak zgiełk w pewnym sensie był mu potrzebny do pisania. Jak zauważa Pawel: „Musiał znajdować element kojącej stałości, jeśli nie przyjemność, w każdym stuku, hałasie i tumulcie, które opisywał z takim upodobaniem".

Film Agnieszki Holland kładzie też nacisk na zabiegi cielesne Kafki. Przyzwyczailiśmy się go widzieć jako chorego, gruźlika przejętego tylko sprawami duchowymi. Tymczasem niesłychanie ważne były dla niego ćwiczenia. Gimnastyka w oknie, wiosłowanie, wegetarianizm, długie żucie posiłków dla dobrego trawienia. Gdzieś u podstaw tego wszystkiego tkwiła jednak niechęć do własnego ciała, walka z nim. „Wspólnym celem tych wszystkich działań było ponure postanowienie ukarania ciała za to, ▶

© MARLENE FILM PRODUCTION

REKLAMA

CZYM JEST POLSKOŚĆ?

NOI FESTIWAL NOWE OŚWIECENIE

18–25 października 2025

DYSKUSJE | KONCERTY | SPEKTAKLE | FILMY | WYSTAWA

JANINA OCHOJSKA | KRZYSZTOF ZANUSSI | JERZY BRALCZYK | KRISTINA SABALIAUSKAITĖ
ANDA ROTTENBERG | JACEK ŻAKOWSKI | ADAM ZAMOYSKI | MANUELA GRETKOWSKA
TOMASZ BOCHEŃSKI | AGATA DUDA-GRACZ | PRZEMYSŁAW CZAPLIŃSKI | KONSTANTY GEBERT
ROBERT GWIAZDOWSKI | JAROSŁAW KURSKI | MICHAŁ OGÓREK | STANISŁAW OBIREK
ANETA PRYMAKA-ONISZK | OLGIERD ŁUKASZEWICZ | PRZEMYSŁAW URBAŃCZYK
ADAM LESZCZYŃSKI | RAFAŁ WNUK I INNI

URSYNOWSKIE CENTRUM KULTURY „ALTERNATYWY"
UL. INDIRY GANDHI 9, WARSZAWA (KOŁO METRA IMIELIN)
WWW.FESTIWALNOWEOSWIECENIE.ART

Organizator
URSYNOWSKIE CENTRUM KULTURY ALTERNATYWY
Instytut Kultury Miasta Stołecznego Warszawy

Partnerzy
VISTULA
Mazowsze. serce Polski

Patroni medialni
wyborcza
tokfm
POLITYKA

Patroni honorowi
Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Prezydent Miasta Stołecznego Warszawy

eprasa.pl 9ebcecf7a9

▶ czym nie było, czy raczej za to, że nie było tym, czym część jego istoty chciała go widzieć: zdrowym zwierzęciem w szczęśliwym stadzie" – pisze Pawel. Praktyki Franza Kafki, inaczej niż żydowskie rytuały, nie łączyły go ze wspólnotą, tylko wykluczały go z niej i podkreślały jego wyobcowanie z wiekowej tradycji i z jego własnej rodziny.

Bywał w tych zabiegach uciążliwy, jak wspomina Pawel: zawsze się spóźniał, robił dużo szumu wokół swojego wegetarianizmu i trawienia, podjęcie najmniejszej decyzji stanowiło dla niego ogromny problem. Według biografów Franz przez całe życie cierpiał na nawracające depresje. Miał klasyczne objawy: samobójczą nienawiść do siebie, dręczące niezdecydowanie, hipochondrię, niezaspokojoną potrzebę miłości. I na dodatek ciągłe dolegliwości: od chronicznych bólów głowy i bezsenności po zmęczenie i kłopoty trawienne. Ale jak zauważa Pawel: „Nazwanie rozpaczy Kafki depresją nie jest wyjaśnieniem, lecz tylko etykietką definiującą to, co wyraźnie widoczne".

To, co Kafka nazywał szaleństwem, było świadomością, która nie cofa się przed niczym. Świadomość wiązała się z poczuciem winy, to jest to dziedzictwo Kafki, które podkreśla też Holland w swoim filmie. Jesteśmy winni i odpowiedzialni za to, co dzieje się ze światem. Milena Jesenská pisała o Kafce: „Ten pierwotny lęk przed tajemnicą rzeczy, przed cudownością i zagadkowością przypisaną każdemu fragmentowi tego, co inni uważali za pewne, lęk będący źródłem jego geniuszu i nieszczęścia sprawił, że Kafka był w nadprzyrodzony sposób wrażliwy na widoczne, dotykalne aspekty rzeczywistości, które tworzyły wątłą więź między jego wewnętrzną wizją i światem zewnętrznym, umożliwiając mu przełożenie prywatnych obaw na zwykły język i przedstawienie zjaw nawiedzających jego sny".

Kafka rzucał się w pisanie, które – jak sądził – było racją bytu i jedynym sposobem, by utrzymać się przy życiu. „Pisanie stanowiło jedyny sposób, by stawić czoła śmierci w życiu" – zauważa Pawel. Nazywa to pisaniem jako rodzajem modlitwy. Kafka czasem pisał w transie (tak było z „Wyrokiem"), nad niektórymi utworami siedział długo, nie kończył, niszczył. Notował: „Samo jądro mego nieszczęścia nadal istnieje: nie mogę pisać. Nie udało mi się stworzyć jednej linijki, którą chciałbym zapamiętać, wręcz przeciwnie – wyrzuciłem wszystko, co napisałem od powrotu z Paryża, a nie było tego dużo. Całe moje ciało ostrzega mnie przed każdym słowem, a każde słowo najpierw się rozgląda na wszystkie strony, zanim pozwoli się zapisać. Zdania dosłownie rozsypują się w proch w moich rękach, a ja, widząc ich wnętrze, natychmiast muszę przestać pisać".

Kiedy poznał Felicję Bauer, rzucił się w pisanie. Podobnie było przy kolejnych kobietach w jego życiu: Milenie Jesenskiej czy Dorze Diamant. Listy do Felicji to zresztą według badaczy najdłuższa i jedyna dokończona powieść Kafki. Film skupia się przede wszystkim na relacji (niemożliwej) z Felicją, mniej miejsca dając Milenie – Dora zaś w ogóle się nie pojawia.

Temat Kafki i kobiet zresztą został już na tysiące sposobów opowiedziany. Biografowie podkreślają, że właśnie przy Milenie, a potem przy Dorze Kafka mógł zaznać choćby chwilowego uwolnienia. Cztery dni szczęścia spędzone w Wiedniu z Mileną czy wspólne mieszkanie z Dorą, już w czasie zaawansowanej choroby. Końcówka życia to również pisanie najważniejszych tekstów – wtedy powstaje „Zamek" czy nowele „Głodomór", „Dociekania psa", „Jama", „Śpiewaczka Józefina".

Dla Kafki liczyło się pisanie, ale już wydawanie książek niekoniecznie. To Max Brod był tym, który chodził po wydawcach i walczył o twórczość przyjaciela. To on był wtedy znanym pisarzem – w chwili śmierci w 1924 r. Kafka był znany tylko niewielkiemu kręgowi znajomych, podczas gdy Brod miał na koncie 37 tomów prozy, poezji, esejów i sztuk teatralnych. W przeciwieństwie do niego Kafka się zupełnie nie sprzedawał – to dzięki Brodowi wydał „Medytacje" i z 800 egzemplarzy pierwszego wydania tej książki ponad połowa leżała w magazynie jeszcze pięć lat później. Kafka zauważył, że znana praska księgarnia sprzedała zaledwie 11 egzemplarzy, z czego dziesięć nabył on sam. Zastanawiał się więc, kto mógł kupić ten jedenasty.

Krytykę przyjmował ze spokojem. „Kiedy chodziło o pisarstwo, wiedział, że nie ma innego wyboru, jak podążać za swoim wewnętrznym głosem i żaden człowiek z zewnątrz nie ma wystarczających kwalifikacji, by wskazać mu drogę" – pisze Pawel. Brod, który był też pierwszym biografem Kafki i – jak wiemy – nie spalił jego rękopisów (choć takie było życzenie autora „Procesu"), został zapamiętany nie jako pisarz, ale właśnie jako ten, dzięki któremu Kafka mógł zaistnieć i nie przepadł. Ale jego rola też bywa przez badaczy poddawana krytyce. Łukasz Musiał, autor przekładów m.in. „Dzienników" Kafki oraz „Próz utajonych", uważa, że: „Franz Kafka to bez wątpienia jeden z najmniej znanych twórców literatury dwudziestego wieku", a to dlatego, że znamy go w wersji zredagowanej, poprawionej, przygotowanej do druku przede wszystkim przez Maxa Broda. Tymczasem kiedy zajrzymy do jego zapisków, odkryjemy teksty inne, niż znamy – fragmentaryczne.

„Ile w Kafce jest... Kafki, a ile w nim edytorów, redaktorów, wydawców" – zastanawia się Musiał. W jego przekładach poznajemy Kafkę, który większości utworów nie dokończył. Te przygotowane do druku były „produktem autorskiego duetu Kafka-Brod". „Aby stać się klasykiem (kanonu literatury XX w.), Kafka musiał, jak wielu uważa, najpierw przejść przez kuchnię Maxa Broda" – czytamy.

Czy ten fragmentaryczny Kafka jest bardziej prawdziwy niż ten, którego znamy z klasycznych wydań i bardzo dobrych polskich przekładów? Czytelnicy mogą sobie sami odpowiedzieć. Redakcja tekstu jest najzwyklejszą praktyką, więc najczęściej nie znamy wersji oryginalnej. A w przypadku klasycznych tekstów czasem nie wiemy, czy autor był jeden, czy było ich wielu, ani czy naprawdę istniał. I nie zmienia to siły oddziaływania klasyki.

Dziś widzimy za to coraz wyraźniej, że spuścizna Kafki nie jest monolitem – i o tym też opowiada film Agnieszki Holland. Nie ma obowiązujących interpretacji, nie czyta się Kafki tylko jako myśliciela religijnego (judaistycznego) czy tylko jako proroka XX-wiecznych systemów totalitarnych albo tylko krytyka nowoczesnych form biurokracji. Widzimy, że twórczość Kafki zdecydowanie wykracza poza schematy. W czasach kryzysów i przełomów znaczenie Kafki rośnie, a jednocześnie możemy czuć się bezradni, nie mogąc go w pełni uchwycić. Film polskiej reżyserki otwiera taką rozmowę. A Kafka jest jak jeden z jego najbardziej niepozornych bohaterów: Odradek (z opowiadania „Troska ojca rodziny"), kłębek czegoś, szpulka, która niepokoi ojca, bo wydaje się trwalsza niż on i nigdy nie umrze. Podważa porządek władzy, drwi z ustalonych reguł, wymyka się.

JUSTYNA SOBOLEWSKA

eprasa.pl 9ebcecf7a9

Komiks w kosmosie

Mam 67 lat, ale rysując, wciąż czuję się jak pięciolatek, który ma przed sobą cały świat do odkrycia – mówi wybitny rysownik komiksowy Bill Sienkiewicz.

JAKUB DEMIAŃCZUK: **– Według prowadzonych co roku badań czytelnictwa pański przodek Henryk Sienkiewicz wciąż należy w Polsce do czołówki najpopularniejszych pisarzy. Wiedział pan o tym?**

BILL SIENKIEWICZ: – Nie wiedziałem. Ale kilka razy byłem w Londynie i nocowałem w hotelach prowadzonych przez Polaków. I zawsze dostawałem tam najlepsze pokoje tylko dzięki mojemu nazwisku. Wtedy zdawałem sobie sprawę z tego, że o Sienkiewiczu wciąż się pamięta.

A interesowały pana jego dzieła?

Moi dziadkowie często o nim wspominali. Wiedziałem, że był wielkim pisarzem i nawet się z tego cieszyłem, bo to było dla mnie inspirujące, no i miałem nadzieję, że talent jest dziedziczny. Ale przeczytałem „Quo vadis" dopiero jako dorosły człowiek. Prawdę mówiąc, gdy miałem cztery czy pięć lat, interesowało mnie jedynie to, czy Sienkiewicz pisał komiksy. Czułem się rozczarowany, że jednak nie pisał, bo już jako mały chłopiec byłem zafascynowany komiksem.

Pamięta pan, skąd się wzięła ta miłość do komiksu?

W jakimś sensie również zawdzięczam ją dziadkowi. Wyemigrował z żoną z Polski do Stanów Zjednoczonych w 1912 r. Wspólnie wychowali sześcioro dzieci: dwie córki i czterech synów. Dziadek pracował jako górnik w Pensylwanii. Nigdy nie opanował perfekcyjnie angielskiego. Kiedy byłem małym chłopcem, na początku lat 60., siadywał ze mną i czytał mi paski komiksowe z niedzielnych wydań gazet. To dobre wspomnienie, bo tak właśnie zaczęła się moja komiksowa pasja. Gdy dorastałem, czytałem komiksy superbohaterskie, ale jako nastolatek odkryłem, że komiks jest globalnym fenomenem. W USA nikt o tym nie mówił, nie wiedzieliśmy o tytułach z Francji czy Włoch. Dopiero w bibliotece odkryłem jakieś książki o światowym komiksie i zachwyciłem się europejskimi artystami. Odkryłem dla siebie „Asteriksa", „Tintina", westerny Jeana Girauda. Jednocześnie pamiętam, że czytanie komiksów było rzeczą cokolwiek wstydliwą. Czułem się niezręcznie nawet po przeprowadzce do Nowego Jorku: czytałem w metrze komiksy, a inni „The New York Times" albo ▶

Bill Sienkiewicz (ur. 1958 r.) – rysownik i scenarzysta komiksowy, jeden z czołowych twórców amerykańskiego komiksu mainstreamowego. Pracował m.in. przy popularnych seriach „Moon Knight", „Daredevil" oraz „Black Widow", autor licznych okładek. Laureat prestiżowej nagrody Eisnera. W Polsce ukazały się m.in. „Elektra Assassin", „New Mutants" oraz „Moby Dick" z jego ilustracjami. W tym roku był gościem Międzynarodowego Festiwalu Komiksu i Gier w Łodzi.

© DANIEL KNIGHTON/FILM MAGIC/GETTY IMAGES

eprasa.pl 9ebcecf7a9

▶ jakieś tygodniki. Ten wstyd wydawał mi się niesprawiedliwy, bo sam uważałem komiks za medium równie ważne i pojemne jak film, literatura, poezja czy teatr.

Miał pan swoich faworytów?

Gdy zaczynałem karierę, byłem pod wielkim wpływem Neala Adamsa (jednego z czołowych twórców komiksu lat 70. – przyp. red.). Potem zacząłem się inspirować europejskimi twórcami, takimi jak Sergio Toppi czy Hugo Pratt. Mój przyjaciel Frank Miller, z którym stworzyłem wiele prac, był za to zafascynowany komiksem japońskim, zwłaszcza serią „Samotny wilk i szczenię". Kochaliśmy amerykańskie komiksy, z którymi dorastaliśmy, lecz chcieliśmy zarazem tworzyć je na własny sposób. Zdawaliśmy sobie sprawę, że możemy wejść na wyższy poziom, który wyrastał ponad proste opowiadanie historii.

Wielu amerykańskich artystów, nawet tych, którzy nas inspirowali, zaczęło tworzyć komiksy z prostego powodu: bo nie mieli innych źródeł utrzymania. Popyt na ilustracje prasowe i książkowe malał, więc szukali nowych zajęć. Nie kochali komiksu jako sztuki, traktowali go jako źródło zarobku. Twórcy tacy jak Frank czy ja myśleli o komiksach w inny sposób.

To chyba nie było łatwe, skoro nawet w USA traktowano wtedy komiks jako rozrywkę dla dzieci…

…albo dla dysfunkcyjnych dorosłych. Dla nas to była tylko kolejna motywacja do działania. Chcieliśmy udowodnić, że ludzie się mylą. Rysowałem komiksy przez całe dzieciństwo, nie przestałem w szkole, bo cały czas miałem w głowie plan, że wyjadę do Nowego Jorku i będę się tym zajmował zawodowo. Chciałem sprawić, by czytelnicy zaczęli postrzegać komiks jako dzieło także dla dorosłych.

I to zaczęło się zmieniać. Po części pod wpływem komiksu europejskiego i amerykańskich twórców niezależnych, takich jak Robert Crumb.

I to były wspaniałe rzeczy. Ale dla mnie to było trochę jak oszukiwanie systemu. Zależało mi na tym, by także komiks mainstreamowy – tytuły wydawane przez DC i Marvela – został zaakceptowany jako coś równoprawnego. Crumb i inni twórcy undergroundowi byli bardzo popularni wśród studentów i młodych buntowników. Pomyślałem, że jeśli uda mi się wejść na rynek i tworzyć komiksy o superbohaterach, Thorze, Batmanie, Supermanie, to uda mi się też sprawić, że to traktowane przez wszystkich z pogardą medium stanie się popularne także wśród studentów i osób z wyższym wykształceniem. To był mój cel.

Batman autorstwa Billa Sienkiewicza wysłany na Międzynarodową Stację Kosmiczną

Miał pan na swojej drodze twórczej jakieś wsparcie?

W szkole średniej wielu nauczycieli, którzy wywarli na mnie wpływ. Nie krytykowali moich prób i traktowali komiks jako formę sztuki, co w tamtym czasie nie było oczywiste. Poszedłem na studia artystyczne w Newark. Zacząłem się uczyć o malarstwie i ilustracji zarówno europejskiej, jak i amerykańskiej. To także wpłynęło na moje podejście do komiksu jako sztuki. Pod koniec studiów wziąłem miesiąc wolnego i postanowiłem, że spróbuję się tym zająć na serio. Pojechałem do wydawnictwa DC Comics z portfolio pełnym szkiców ich superbohaterów. Nie szukali nowych rysowników, ale ówczesny dyrektor artystyczny DC Vince Colletta wysłał mnie do mojego idola Neala Adamsa, a ten skontaktował mnie z Marvel Comics. Wiedziałem, że gdy pokażę im swoje prace, to albo usłyszę jakieś słowa zachęty, żebym pracował dalej i wrócił za rok, albo powiedzą mi, żebym już sobie komiksem nie zawracał głowy. Byłem gotowy na krytykę, bo miałem świadomość, że już pokazanie swojego portfolio to duży krok. A okazało się, że dostałem pracę. Nie okładkę czy szkic, ale regularną pracę przy serii „Moon Knight". Wszedłem do wydawnictwa jako student, wyszedłem jako człowiek na początku artystycznej kariery.

Pańska sztuka była uważana za rewolucyjną, przełamującą schematy. Nie było w mainstreamowym komiksie wielu artystów takich jak pan.

Może dlatego, że moje rysunki wzbogacała miłość do każdej dziedziny sztuki. I każda była dla mnie inspirująca. Chciałem, żeby znalazła odbicie w moich pracach. Europejskie komiksy Toppiego czy Sergia Aragonesa. Filmowe plakaty Boba Peaka, ilustracje Alberta Dorne'a czy Ralpha Steadmana, który robił rysunki do książek Huntera S. Thompsona. Filmy Davida Lyncha, zwłaszcza „Głowa do wycierania". Szkice tworzone przez projektantów mody. Wielkie industrialne maszyny, które wydają mi się piękne. Inni ludzie widzą w fabrycznych budynkach brzydotę, we mnie budzą podziw. Zakochałem się w nich, dorastając w Pensylwanii i New Jersey. Tak wiele rzeczy mnie fascynuje, że chciałem brać z nich do swojej sztuki różne elementy. O ile jednak mój szkicownik był pełen zwariowanych pomysłów, o tyle w komiksach, jak się okazało, wszystko miało być uporządkowane. W związku z tym nie zawsze miałem pełną artystyczną swobodę. Nawet w tych komiksach, które dziś uważane są za klasykę.

Na przykład?

Gdy z Frankiem Millerem pracowaliśmy nad albumem „Elektra Assassin", mieliśmy dużo negatywnych opinii ze strony wydawców. Redaktorzy nas wspierali, ale ostateczne decyzje podejmowane były piętro wyżej. I tam nie podobało się, że moje rysunki stają się coraz bardziej abstrakcyjne. Na szczęście niektóre pomysły udało się przeforsować. W „Elektrze" pojawia się polityk Ken Wind, opętany przez demona. Pracując nad tą postacią, myślałem o stereotypowym wizerunku polityka w mediach i zazwyczaj był to uśmiechnięty facet całujący jakieś dziecko albo ktoś, kto z powagą rozprawia o potrzebach Ameryki. Dwie twarze polityki. Szukałem jakiegoś zdjęcia, które byłoby dla mnie źródłem inspiracji. W końcu powycinałem twarze modeli z katalogu odzieżowego z lat 60. i zacząłem je przetwarzać. Kserowałem zdjęcia, potem robiłem kserokopię tych kopii, aż rysy twarzy zaczęły się rozmywać. Skończyło się tym, że miałem dwa zdjęcia – jedno poważne, drugie z diabolicznym uśmiechem – i wklejałem je do komiksu tam, gdzie pojawiał się ten bohater. Tylko dwa zdjęcia, nie musiałem rysować jego twarzy! To sprawiło, że ta postać wydawała się niepokojąca, dziwaczna, nieziemska. A jednocześnie to mnie właśnie interesuje w komiksie: zabawa formą, przekraczanie ograniczeń narzucanych przez ramki i szkice, szukanie emocjonalnych podtekstów dzięki kolażom i łączeniu różnych technik.

Skoro mowa o polityce. Komiksy superbohaterskie często były

eprasa.pl 9ebcecf7a9

postrzegane jako progresywne i zaangażowane politycznie. Myśli pan, że to się dziś zmieni?

Zawsze były polityczne. Wystarczy pomyśleć o czasach, gdy Kapitan Ameryka na okładce komiksu nokautował Hitlera i nazistów. W latach 60. i 70. odgrywały znaczącą rolę w uświadamianiu młodym czytelnikom progresu społecznego, a scenarzyści tacy jak Dennis O'Neill należeli do czołowych autorów walczących o równouprawnienie. To zawsze był i jest ważny temat w mainstreamowym komiksie. Jednocześnie uważam, że zbyt dużo polityki szkodzi opowieści. Jeśli walisz czytelników młotem w głowę i powtarzasz: „To jest przesłanie", to ostatecznie ich stracisz, nawet jeśli podzielają twoje poglądy. Zdałem sobie sprawę, że w pewnym momencie za bardzo angażowałem się w polityczne przepychanki, zamiast skupić się na opowiadaniu dobrych historii. A jeśli mam dobrą fabułę, to w mądry sposób mogę wpływać na to, jak ludzie postrzegają świat. To lepsze niż wykrzykiwać zaangażowane hasła przez megafon.

Większość pańskich komiksów była oparta na materiałach już istniejących: postaciach stworzonych przez innych artystów czy prozie, jak adaptacja „Moby Dicka". Myśli pan o tym, żeby wrócić do historii tworzonych od podstaw, jak kryminalna miniseria „Stray Toasters", którą napisał i narysował pan w latach 80.?

Bardzo bym chciał wrócić do autorskich komiksów i myślę, że jest na to szansa. Czuję, że zrobiłem już wystarczająco wiele dla dużych korporacji, dla przemysłu zabawkowego, gier, filmów. Gdy tworzysz coś opartego na wcześniej istniejącym materiale, jest w to automatycznie wpisana zgoda na pewne warunki. Musisz się trzymać wytycznych, choć nadajesz postaci czy serii własny charakter. Czytelnicy to albo zaakceptują, albo nie, lecz nawet jeśli nie spodoba im się moja interpretacja, to jako artysta nie odbieram tego osobiście. Ale gdy robię coś autorskiego, jak „Stray Toasters", to już zupełnie inna sprawa. Dla mnie to było trudniejsze wyzwanie, bo nie miałem tego ochronnego bufora: jeśli ktoś zdecydowanie odrzucił mój komiks, nie potrafiłem patrzeć na to inaczej niż w osobistych kategoriach. A ten lęk sprawiał, że miałem opory przed próbowaniem kolejnych rzeczy. Dlatego mam ogromny szacunek dla ludzi, którzy robią prace w pełni autorskie. A im jestem starszy, tym bardziej sam chcę do tego wrócić. Zwłaszcza że komiks jako medium jest dla mnie tak samo świeży i inspirujący jak przed laty. Mam 67 lat, ale rysując, wciąż czuję się jak pięciolatek, który ma przed sobą cały świat do odkrycia.

Nawet wszechświat, skoro pańska praca poleciała także w kosmos.

Tak. Jedna z moich prac poleciała na Międzynarodową Stację Kosmiczną dzięki firmie Voyager Space jako część komercyjnej przesyłki. Spędziła tam miesiąc i już wróciła na Ziemię, ale było to wyzwanie, bo to musiało być dzieło stworzone z zachowaniem wszelkich zasad bezpieczeństwa. Żadnych łatwopalnych farb, żadnego grafitu, bo przewodzi prąd i mógłby spowodować jedną iskrę, wszystko pod ścisłą kontrolą. Ponieważ mam licencję na rysowanie postaci DC Comics, namalowałem Batmana w odpowiednim kosmicznym kostiumie. Czy może być coś bardziej superbohaterskiego niż wysłanie Mrocznego Rycerza na stację kosmiczną?

ROZMAWIAŁ JAKUB DEMIAŃCZUK

© BILL SIENKIEWICZ © DC COMICS/WARNER BROS.

REKLAMA

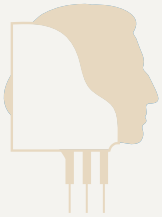

Najbliżej
Wielkiej muzyki

Śledź Konkurs Chopinowski na

wyborcza.pl/chopin25

eprasa.pl 9ebcecf7a9

Japonka Yumeka Nakagawa nie przeszła dalej

Konkurs pełen zaskoczeń

Drugi etap zakończył się kwalifikacją trójki Polaków, ale też wieloma kontrowersjami. Nowością na 19. Konkursie Chopinowskim jest to, że zaskakiwani są wszyscy: i publiczność, i jurorzy.

DOROTA SZWARCMAN

Najpierw parę niespodzianek dla polskiej publiczności, które w rzeczywistości niespodziankami nie są. Po pierwsze: poziom konkursu. O tym, że będzie bardzo wysoki, było wiadomo właściwie już od czasu kwietniowych eliminacji. Po drugie: absolutna dominacja pianistów z Azji (przede wszystkim z Chin, ale też Japonii i Korei Południowej). I to już też nic nowego – tak było już cztery lata temu, tyle że w tym roku już na starcie mniej było osób ze „starego świata".

Jedno i drugie jest efektem procesu rozwojowego widocznego już od dłuższego czasu. Co więcej, jedno z drugim się łączy. Rzecz w konfucjańskim etosie doskonalenia się, panującym (choć w różnym zakresie i odcieniach) w krajach azjatyckich, ale też w azjatyckiej diasporze w krajach Europy czy Ameryki Północnej, i w systemie nauczania. Dzieci często zaczynają uczyć się gry w wieku 4–5 lat, i to w wielkiej dyscyplinie. To sprawia, że są w stanie wcześnie opanować stronę techniczną gry do takiego stopnia, żeby w ogóle nie sprawiała problemu. My też znaliśmy przypadki cudownych dzieci, które wykazały talent odpowiednio wcześnie i posłano je na naukę muzyki jeszcze w wieku przedszkolnym. Weźmy choćby wielką Marthę Argerich, którą we wczesnym dzieciństwie jej pierwszy nauczyciel Vincenzo Scaramuzza na podstawie swojej nowatorskiej metody nauczył właściwie wszystkiego, jeśli chodzi o technikę, by później mogła już się zająć tylko muzyką, i przyniosło to, jak wiemy, oszałamiające efekty.

Można by domniemywać, że z artystami z Azji sprawa jest o tyle trudniejsza, że kultura europejska jest dla nich egzotyczna. Ale w rzeczywistości jest zupełnie inaczej: to my wciąż postrzegamy ich jako egzotycznych, a dla nich kultura europejska w ogóle taka nie jest, Chopina zaś przyjęto tam już od dawna za swojego. Liczne na azjatyckim gruncie konkursy chopinowskie ujawniają kolejne młode talenty. Nie wszystkie przebiją się

eprasa.pl 9ebcecf7a9

© KRZYSZTOF SZLĘZAK/NIFC, WOJCIECH GRZĘDZIŃSKI/NIFC (2)

Do III etapu zakwalifikowali się m.in. Piotr Alexewicz, nasz dawny nominowany do Paszportu POLITYKI, oraz William Yang

na cały świat, ale przecież i tamtejszy rynek jest ogromny.

Inna sprawa, czy na gruncie tej wspaniałej techniki młodzi pianiści budują coś więcej. I coraz częściej słyszymy, że tak: mają w swojej grze więcej przestrzeni, by znaleźć w niej miejsce na interpretację. Czasem, zwłaszcza w przypadku tych najmłodszych, bywa, że to są interpretacje wyuczone, zasugerowane przez pedagogów. Są jednak i tacy, którzy sami mają bogate wnętrze i coś do zaproponowania od siebie.

Niespodzianki dla jury

Mamy więc wszyscy niespodzianki, ale dla jury największym zaskoczeniem był nowy system ocen. Regulamin prac jurorów został całkowicie zmieniony. Cel jest oczywiście ten sam: „ocena sztuki interpretacyjnej każdego z uczestników" w sposób bezstronny, „zgodnie ze światowymi standardami oceny wykonań pianistycznych, a w szczególności unikatowymi cechami stylistycznymi dzieł Fryderyka Chopina". Ponadto jurorzy nie mogą wpływać na siebie nawzajem ani oceniać swoich studentów.

O ile jednak w poprzednim konkursie oceniali uczestników zarówno za ▶

REKLAMA

ZAMEK KRÓLEWSKI NA WAWELU
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Partnerzy i Patroni
TOTALIZATOR SPORTOWY
PLAT
Mecenas Główny Zamku Królewskiego na Wawelu
PGE
Mecenas Edukacji i Partner Strategiczny Zamku Królewskiego na Wawelu
Bank Polski
Partner Strategiczny Zamku Królewskiego na Wawelu
Kulturalny Kraków
Mecenas Zamku Królewskiego na Wawelu
Patroni medialni wystawy
Radio Kraków
Radio Kraków Kultura
RZECZPOSPOLITA
rp.pl
POLITYKA
DZIENNIK POLSKI
TVP3 KRAKÓW
TVP KULTURA
SPOTKANIA Z ZABYTKAMI
Kraków Culture
SZUM
MAD White

eprasa.pl 9ebcecf7a9

▶ pomocą punktacji, jak i odpowiedzi tak/nie, czyli: czy dany juror chce przepuścić danego pianistę do następnego etapu, czy też nie, to w tym roku ten drugi składnik odpadł. Pozostała tylko punktacja (25 – doskonały, 23–24 – wyjątkowy, 18–22 – bardzo dobry, 16–17 – dobry, 12–15 – średni, 6–11 – poniżej średniego, 1–5 – słaby). Dobrze, że to poprawiono, ponieważ poprzednie wymagania mogły doprowadzać – i nieraz doprowadzały – do absurdu: ktoś mógł otrzymać więcej punktów, a zarazem więcej głosów na „nie". A taka sprzeczność mogłaby się już kwalifikować do sądu.

Co więcej, jurorzy nie znają wzajemnie swojej punktacji i aż do finału nie dyskutują. Po zakończeniu I etapu oddawali swoje arkusze ocen sekretarzowi jury; po II etapie – już codziennie dwa razy po zakończeniu każdej z sesji, i tak będzie do końca. Punkty każdego uczestnika ze wszystkich etapów się sumują.

Jest jeszcze parę ciekawostek. Jurorzy otrzymują po każdym z etapów punktację w kolejności, bez nazwisk. Na tej podstawie, sumując, kwalifikują ich dalej – nie wiedząc jednak kogo. Lista uczestników kolejnego etapu może być więc dla nich dużym zaskoczeniem, co widać było w zachowaniu przewodniczącego jury Garricka Ohlssona po I etapie. Zapewne uświadomiono mu tę niestosowność (już dosyć było emocji po udzielonym radiowej Dwójce wywiadzie innego członka jury Krzysztofa Jabłońskiego, który wypowiadał się dość ostro o konkursowiczach, choć nie wymieniał nazwisk), ponieważ po II etapie zachował się już zupełnie inaczej: wygłosił jedno kurtuazyjne zdanie i oddał głos dyrektorowi konkursu, by ten odczytał listę zakwalifikowanych.

Na tych listach ogłaszanych po każdym etapie, na których nazwiska podawane są w porządku alfabetycznym, nie ma punktacji poszczególnych osób. Nie poznają jej też jurorzy, nie są więc świadomi, kto ma większe, a kto mniejsze szanse. Po III etapie mogą zostać ujawnione jurorom nazwiska od pozycji 9. do 12., żeby zadecydowali, kogo wpuścić do finału. I dopiero po zakończeniu finałów otrzymają listę nazwisk z punktacją – wtedy dopiero będą mogli podyskutować o kolejności nagród, ale też niewiele zmian będzie możliwych: jeśli ktoś chce przesunąć uczestnika bliżej lub dalej, to tylko o jedną pozycję w stosunku do sumy wynikającej z punktacji.

Jak świat konkursów światem konkursów, nigdy jeszcze nie ustrzeżono się przed podejrzeniami o nieuczciwość, o ustawianie wyników, o faworyzowanie. Tym razem z pomocą prawnika zrobiono naprawdę wiele, aby takich podejrzeń uniknąć.

Zapominamy jednak, że każdy, kto ocenia wydarzenie artystyczne, ma swój gust, swoje kryteria oceny, swoje odczucia. Dotyczy to i odbiorców, i jurorów. Z tego wynika, że decyzje konkretnego jury są decyzjami konkretnych kilkunastu osób, a innych mogłyby być zupełnie inne.

Klątwa pierwszego

Jakby się kto uparł, to i ustawianie wyników nawet przy takim systemie byłoby w jakiś sposób trochę na oślep, ale możliwe. Historia konkursów zna przypadki umawiania się: ja pomogę twojemu uczniowi, ty pomożesz mojemu, a razem obniżymy szanse komuś, kto nie jest twój ani mój. Obecnego jury raczej to nie dotyczy – zbyt wielu uczniów poszczególnych jurorów już odpadło – ale aktualne pozostają mechanizmy czysto ludzkie, które badali psycholodzy muzyki, w Polsce prof. Maria Manturzewska i prof. Małgorzata Chmurzyńska (pisałam o tym w artykule „Ustawianie fortepianów", POLITYKA 36), a których działanie mieliśmy już możność zauważyć na obecnym konkursie.

Był więc np. wymowny przykład zasugerowania się wcześniejszymi osiągnięciami danego pianisty, kiedy do II etapu został przepuszczony występujący pod flagą neutralną Rosjanin Philipp Lynov, mimo wielu rażących pomyłek wynikających z widocznej tremy. Ale z pewnością wielu jurorów pamiętało jego interesujące interpretacje muzyki Ravela i Prokofiewa z tegorocznego konkursu Vana Cliburna, gdzie dotarł aż do finału. Po II etapie to już nie zadziałało.

Sprawdziła się też, i to dwukrotnie, „klątwa pierwszego wykonawcy", czyli zasada, że artyści rozpoczynający przesłuchania mają mniejsze szanse. Trudno znaleźć inne powody odpadnięcia po I etapie pianisty chińskiego Ziye Tao, a po drugim – Chińczyka z Wielkiej Brytanii Jacky'ego Zhanga. Ewentualną przewiną tego ostatniego było przekroczenie regulaminu, czyli wydłużenie programu z 40–50 minut do godziny, ale przecież ten program został dopuszczony. A z całą pewnością ten pianista był lepszy od wielu z tych, których do trzeciego etapu zakwalifikowano.

Jakie kryteria

Trudno zgadnąć, czym kto z jurorów się kierował, oceniając uczestników. Ale też można się ogólnie zastanawiać nad gustem i nad tym, czy coś się w nim zmieniło.

Po II etapie można odnieść wrażenie, że jury w mniejszym stopniu doceniło tych młodych pianistów, którzy zwracali się w stronę uczuć, poezji. Tu najbardziej zwraca uwagę nieobecność w III etapie Chinki Yanyan Bao, snującej różne odcienie melancholii, Japonki Yumeki Nakagawy, która ukazała w Preludiach op. 28, jednych z najpiękniej wykonanych na całym konkursie (choć niestety nie bez usterek, które zapewne miały przeważający wpływ na ocenę), całą paletę emocji, oraz wspomnianego Jacky'ego Zhanga.

Być może w dzisiejszym świecie, kiedy wielkich emocji mamy aż nadto i są one niestety w większości negatywne, szuka się ucieczki od nich także w muzyce? Chłodna, niemal nieskazitelna gra przyjeżdżającego tu po raz drugi po 10 latach i dobrze tu znanego Erica Lu, a także przedziwne, jakby powierzchowne, nawiązujące techniką do wykonań dawnych mistrzów interpretacje Williama Yanga (który w tym roku wygrał Konkurs Chopinowski w Miami) znalazły uznanie jury, które zakwalifikowało ich do III etapu. Zachwyciła wszystkich jedna z najmłodszych uczestniczek, 17-letnia Tianyao Lyo. Chinka z fantastyczną techniką i dziewczęcą charyzmą wykonała młodzieńcze utwory Chopina, m.in. Wariacje op. 2, którymi swego czasu podbił Warszawę zwycięzca poprzedniego konkursu Bruce Liu. Jednak niewiele więcej jak do tej pory pokazała.

W III etapie znalazło się aż trzech polskich pianistów. Zwrócę tu uwagę na powracającego po czterech latach Piotra Alexewicza, który po swym poprzednim konkursowym występie (doszedł do półfinału) otrzymał od nas nominację do Paszportu POLITYKI. Przez ten czas rozpoczął studia w Zurychu u Konstantina Szczerbakowa, a w tym roku osiągnął parę sukcesów w Stanach Zjednoczonych: otrzymał II nagrodę na konkursie w Hilton Head, a także jako pierwszy Polak wziął udział w Konkursie Vana Cliburna, gdzie dotarł do półfinału (niektórzy uważali, że go skrzywdzono, nie przepuszczając do finału). Trzymamy kciuki.

DOROTA SZWARCMAN

eprasa.pl 9ebcecf7a9

Kronikarz katastrofy

JUSTYNA SOBOLEWSKA

László Krasznahorkai, węgierski pisarz mieszkający w Niemczech, otrzymał Nagrodę Nobla „za fascynującą i wizjonerską twórczość, która w obliczu apokaliptycznego terroru potwierdza siłę sztuki”.

„Nadal będę przeciwny politycznym działaniom i ideom Viktora Orbána. Pozostanę wolnym pisarzem” – odpowiedział laureat na platformie X, dziękując za gratulacje premierowi Węgier. Pisarz mieszkający od lat w Berlinie (w 2015 r. został laureatem Nagrody Bookera) wielokrotnie krytykował rząd w Budapeszcie. „W dzisiejszych Węgrzech nie ma już żadnej nadziei”, a „demokracja jest bardzo krucha” – mówił. Jego najnowsza książka „An Angel Passed Above Us” rozgrywa się w Ukrainie, przedstawia dwóch mężczyzn w ziemiance, z których jeden opowiada drugiemu bajkę o cudach globalizacji. Kontrast między tą bajką a rzeczywistością, w której żyją umierający mężczyźni, jest bardzo bolesny. Pisarza przeraża stosunek Węgier do wojny. „Na moich oczach toczy się brudna, podła wojna. Świat zaczyna się do tego przyzwyczajać. Ja nie potrafię się do tego przyzwyczaić” – mówił w „The Yale Review”. „Jak kraj może być neutralny, gdy Rosjanie najeżdżają sąsiada? I czyż nie zabijają Ukraińców od prawie trzech lat?”.

Jeszcze w grudniu Czarne zapowiada wydanie nowego zbioru opowiadań Krasznahorkaia „A świat trwa”. Trzy książki, które ukazały się w Polsce: „Szatańskie tango”, „Melancholia sprzeciwu” i „Wojna i wojna” – wszystkie w przekładzie Elżbiety Sobolewskiej – są niedostępne w sprzedaży, a ich ceny na platformach takich jak Allegro biją kolejne rekordy.

„László Krasznahorkai jest wielkim pisarzem epickim w tradycji środkowoeuropejskiej, sięgającej od Kafki po Thomasa Bernharda, charakteryzującej się absurdem i groteskową przesadą” – czytamy

© GYULA CZIMBAL/EPA/PAP

w uzasadnieniu literackiego Nobla. Ale Krasznahorkai to też wielki pesymista spod znaku Emila Ciorana. W rumuńskim filozofie szczególnie pociągała go melancholia połączona z sarkazmem.

Pisarz wspaniale pokazuje nieuchronny rozpad rzeczywistości, zwycięstwo ciemnych sił nad tym, co najbardziej kruche – choćby nad kulturą. Jego książki to konstrukcyjne majstersztyki. Taka jest „Melancholia sprzeciwu” (1989 r.), podobnie jak poprzednie „Szatańskie tango”. Opisał tam ludność z upadłego kołchozu, która czeka na wybawiciela, jak się okazuje – oszusta. To był jego debiut, po wydaniu tej książki w 1985 r. podróżnik i wagabunda zajął się zawodowo pisaniem.

W „Melancholii sprzeciwu” pojawia się motyw zbiorowej hipnozy: Krasznahorkai pokazuje siłę niszczycielskiego marszu, portretuje tych, którzy dochodzą do władzy, i tych, którzy należą do świata przegranych. Jego sympatia jest przy tych ostatnich. Opisane tu miasteczko przypomina komunistyczne Węgry, ale mogłoby istnieć gdziekolwiek. Wszędzie będzie czytelna ta opowieść o mechanizmach przemocy.

Już pierwsze sceny pokazują klasę pisarską autora i zapowiadają to, co zdarzy się później. Podmiejskim pociągiem wraca do domu Pflaumowa. Naprzeciwko niej siada pijak i gapi się na nią niedwuznacznie, a potem uderza inną kobietę. Ludzie udają, że tego nie widzą. Krasznahorkai świetnie odmalował strach i pogardę. Mieszczański świat koronek i konfitur okazuje się łatwy do zniszczenia, a Pflaumowa, nie wiedząc o tym, zostaje wyznaczona na ofiarę.

To nie ona jest jednak główną bohaterką powieści, ale jej syn Valuska – marzyciel, listonosz i astronom amator, pełen zachwytu dla piękna kosmosu. Tylko jeden człowiek rozumiał Valuskę – były dyrektor szkoły muzycznej Eszter, który jest tu wcieleniem tytułowej melancholii sprzeciwu. Ten intelektualista wycofuje się z życia i zamyka w domu, w którym wszystko powoli niszczeje. Wszystko, ale nie on sam – starannie ubrany, z przystrzyżonymi włosami i brodą. To jego bunt przeciw rozpadowi. Patrzy jak „ktoś, kto doskonale rozumie, że wszyscy są ulepieni z tej samej gliny, ze szlachetnej i nietrwałej materii, daremnej formy”. Eszter w rozmowach z Valuską zawsze pokazywał nieprzystawalność kosmicznej harmonii i ziemskiego chaosu: „Jesteśmy jedynie nędznym przedmiotem małej porażki w cudownym dziele stworzenia” – mawiał.

Krasznahorkai okazuje się kronikarzem nieuchronnej katastrofy. „Apokalipsa jest procesem, który trwa od bardzo dawna i będzie trwał jeszcze bardzo długo. Apokalipsa jest teraz” – mówił. Ale istnieje w jego pisarstwie rodzaj oporu, niemy protest. Pozostaje też sztuka, która jest „niezwykłą odpowiedzią ludzkości na poczucie zagubienia, które jest naszym przeznaczeniem. Piękno istnieje. Znajduje się poza granicą, na której musimy nieustannie się zatrzymywać; nie możemy pójść dalej, aby uchwycić lub dotknąć piękna – możemy tylko patrzeć na nie z tej granicy i uznać, że tak naprawdę coś tam jest w oddali. Piękno jest konstrukcją, złożonym tworem nadziei i wyższego porządku”. Jego zdaniem potrzebujemy sztuki i potrzebujemy melancholii, bo „melancholia pozwala nam być. Tylko być. Ze względu na samo bycie”. ■

eprasa.pl 9ebcecf7a9

Taktyka przetrwania

MARCIN PIĄTEK

Radosław Piesiewicz trzyma się mocno prezesowskiego stołka w Polskim Komitecie Olimpijskim. Działaczom sportowym brakuje odwagi, by choć spróbować go odwołać, a śledztwo w sprawie milionów, które skasował za fikcyjne usługi, toczy się w żółwim tempie.

Radosław Piesiewicz z żoną Agnieszką

© ANDRZEJ IWAŃCZUK/SPORT/REPORTER

Podczas niedawnych mistrzostw Europy w koszykówce, rozgrywanych w katowickim Spodku, Radosław Piesiewicz tryskał humorem. Rozpowiadał na lewo i prawo, że kwestia jego odwołania ze stanowiska prezesa Polskiego Komitetu Olimpijskiego to już przeszłość, że znów ma za sobą działaczy, a na dodatek odgrażał się, że za dwa lata, gdy PiS wróci do władzy, to on obejmie Ministerstwo Sportu. Wówczas, mając do dyspozycji kij i marchewkę w postaci państwowych pieniędzy na zawodowy sport, odegra się na tych, którzy jeszcze niedawno kopali pod nim dołki.

Prezes PKOl to funkcja wyłącznie tytularna i reprezentacyjna, ale Piesiewicz ma wyjątkowe parcie na szkło, uwielbia blichtr

eprasa.pl 9ebcecf7a9

i pławienie się w luksusie, czego dowiódł podczas igrzysk olimpijskich w Paryżu, kiedy na nieco ponad dwa tygodnie obsadził się w roli gospodarza Domu Polskiego, czyli wynajętego za niemal 13 mln zł (z pieniędzy PKOl) pałacyku w Lasku Bulońskim. Radosław i Agnieszka Piesiewiczowie, niczym udzielna para książęca, podejmowali prezydenta Dudę z pierwszą damą oraz innych gości, których prezes PKOl uznał za godnych zaszczycenia swoją osobą, miał wobec nich jakiś dług wdzięczności albo uznał, że mogą mu się kiedyś przydać. Mimo ministerialnych ambicji rezygnować z przewodzenia polskiemu olimpizmowi nie zamierza, w 2027 r. będzie się ubiegał o kolejną kadencję. A jako ewentualny minister sportu doprowadzi za pomocą unii personalnej do połączenia PKOl i resortu sportu.

Luksusowa para

Wczesną wiosną wydawało się, że pozbawienie Piesiewicza funkcji szefa polskiego olimpizmu wisi w powietrzu, i na dodatek będzie się musiał mierzyć z zarzutami prokuratorskimi. Kontrolerzy skarbowi prześwietlający jego działalność jako szefa wszystkich szefów w polskiej koszykówce ustalili, że Piesiewicz w ramach prowizji od umów sponsorskich ze spółkami Skarbu Państwa tylko w ciągu dwóch lat zainkasował 7,3 mln zł. W konfrontacji ze skarbówką sam się do tego przyznał, choć wcześniej publicznie wielokrotnie zaprzeczał, że miał osobisty interes w tym, że Orlen, Tauron, Krajowa Grupa Spożywcza i inne spółki Skarbu Państwa stały się sponsorami koszykówki.

Średnia krajowa to obecnie niespełna 8,7 tys. zł brutto miesięcznie. Aby uzbierać z niej 7,3 mln zł, trzeba by pracować bez przerwy 70 lat. Piesiewicz nie jest jednak stworzony do ciężkiej pracy i obłowił się taką kwotą tylko w latach 2022–24. Dzięki pośrednictwu od umów sponsorskich z państwowymi firmami, którym zielone światło do pompowania milionów w koszykówkę zapalił nadzorujący je wówczas minister Jacek Sasin (prywatnie bardzo bliski znajomy Piesiewicza). Spółki obdarowały federację, nadzorującą krajowe rozgrywki Polską Ligę Koszykówki oraz wskazane przez Piesiewicza kluby, m.in. Arkę Gdynia i Motor Lublin. Im więcej milionów trafiało do koszykówki, tym bardziej rosła prezesowska prowizja.

Pytanie, czy Piesiewicz musiał wykazać się jakimkolwiek wysiłkiem typowym dla pośrednika, skoro przepływ pieniędzy gwarantował Sasin, jest retoryczne. A mechanizm powtórzył jako pośrednik umów sponsorskich podpisywanych przez województwo lubelskie z koszykarską Ligą Mistrzów, na co z samorządowej kasy poszło ponad 14 mln. Odcinanie kuponów w ten sposób umożliwił mu inny bliski znajomy z PiS, marszałek województwa lubelskiego Jarosław Stawiarski. Piesiewicz kasował miliony z finezją i wdziękiem, z których dał się poznać kilka lat temu, gdy po niespodziewanym zwycięstwie koszykarzy z Chinami na mistrzostwach świata wparował do szatni ,wydzierając się „ch... im w d...!!!". Niebotyczne faktury były po prostu wystawiane na jednoosobową działalność gospodarczą prezesa, prowadzoną pod nazwą Radam.

Tych milionów było jednak małżeństwu Piesiewiczów mało. Hojnym darczyńcą dla prezesowskiej małżonki stał się bank Pekao SA. W czasach rządów PiS Agnieszka Piesiewicz została doradcą zarządu. Najwidoczniej nieocenione okazało się jej wcześniejsze doświadczenie zawodowe: handel artykułami biurowymi. W ciągu siedmiu miesięcy zarobiła ponad 1 mln zł. Obecny zarząd banku zlecił audyt, a jego rezultaty zostały opisane w liście prezesa Cezarego Stypułkowskiego do pracowników, który wyciekł niedawno do „Gazety Wyborczej". Agnieszka Piesiewicz została tam wymieniona jako jedna z osób, których kwalifikacje i przydatność jako doradców „można uznać co najmniej za wątpliwe", a poza tym „nie wykonały żadnej udokumentowanej pracy".

Zwrotu pieniędzy zarząd zamierza dochodzić na drodze sądowej. Biuro prasowe banku odmówiło odpowiedzi na pytania POLITYKI, czy bank, zanim złożył pozew, domagał się zwrotu środków od pani Piesiewicz i z jaką reakcją się to spotkało; czy zachował się jakikolwiek ślad po CV kandydatki i jakim doświadczeniem zawodowym się wykazała. – *Pani prezesowa, podobnie jak pan prezes, ma wielką słabość do luksusowych marek. Gdy pojawia się publicznie, odziana jest w nie od stóp do głów. Takie krzykliwe nowobogactwo* – mówi jedna z pracownic PKOl.

Śledztwo w sprawie zasadności milionowych wypłat dla Piesiewicza i narażenia tym samym PZKosz i PLK na straty prowadzi gdańska prokuratura. Zaczęła od mocnego komunikatu, z którego wynikało, że istnieje uzasadnione podejrzenie, iż pośrednictwo Piesiewicza było fikcyjne (nie musiał kiwnąć palcem, bo miliony ze spółek do koszykówki płynęły za przyzwoleniem Sasina). Piesiewicz odparował wówczas oświadczeniem, że dostarczył do prokuratury listę 87 nazwisk świadków, którzy mają potwierdzić, że w ściągnięcie państwowych sponsorów do koszykówki włożył wielki trud.

Śledztwo idzie powoli

Sprawa nie wydaje się skomplikowana, ale postępowanie toczy się w żółwim tempie. Jak poinformował POLITYKĘ rzecznik prasowy gdańskiej prokuratury, Mariusz Marciniak, wciąż trwają oględziny zabezpieczonego materiału dowodowego, czyli dokumentów papierowych i elektronicznych. Jeśli chodzi o świadków, w tym również z tzw. listy Piesiewicza, prokuratura nie ujawnia ilu już przesłuchała, a ilu jeszcze zamierza. Zarzutów nikomu nie przedstawiono, śledztwo wciąż toczy się „w sprawie" i trzeba je będzie wydłużyć o kolejne miesiące. Kiedy należy spodziewać się zakończenia? Prokurator Marciniak nie jest w stanie przewidzieć, ale w stosownym czasie poinformuje.

Nie udało się również uzyskać odpowiedzi na pytanie, czy śledztwo jest prowadzone w kierunku podejrzenia popełnienia przez Piesiewicza przestępstwa płatnej protekcji. Kodeksowe przesłanki są następujące: powoływanie się na wpływy m.in. w instytucji państwowej, pośrednictwo w załatwieniu sprawy, odniesienie korzyści majątkowej. Rzeczywistość: ubiegając się o stanowiska w koszykówce, Piesiewicz powoływał się na dobrą komitywę z ministrem Sasinem, był pośrednikiem umów sponsorskich, których beneficjentami stała się koszykarska centrala oraz kluby, skasował milionowe prowizje, a oprócz nich, po wyborze na prezesa PZKosz pobierał pensję rzędu kilkudziesięciu tysięcy złotych miesięcznie.

Komunikat o wszczęciu śledztwa, a następnie kwietniowy nalot funkcjonariuszy Centralnego Biura Antykorupcyjnego na siedzibę Polskiego Komitetu Olimpijskiego, Polskiego Związku Koszykówki oraz prywatne mieszkania sportowych działaczy (w tym oczywiście Piesiewicza) i pojawiające się w ślad za nim doniesienia, że poszukiwano nierzetelnych faktur VAT wystawionych na fikcyjne usługi, zasiały w środowisku sportowym przekonanie, że miarka się przebrała. Członkowie zarządu PKOl twierdzili, że abstrahując od podejrzeń o niezgodne z prawem ▶

eprasa.pl 9ebcecf7a9

▶ działania, Piesiewicz jest skompromitowany swoją chciwością oraz arogancją. I że trzeba go odwołać.

Od kilku tygodni front przeciw prezesowi organizował już mistrz olimpijski w chodzie sportowym Robert Korzeniowski. Ówczesny minister sportu Sławomir Nitras wszem i wobec powtarzał, że dni Piesiewicza są policzone. Nie potrafił jednak dobrać mu się do skóry. Wzywał do akcji sportowych działaczy, którzy jednak nie mieli wielkiego pola manewru. Posiedzenie zarządu, na którym mógłby zostać przegłosowany wniosek o zwołanie walnego zgromadzenia w PKOl, gdzie z kolei poddano by pod głosowanie wotum zaufania dla Piesiewicza, może zwołać wyłącznie sam prezes. A Piesiewicz, czując pismo nosem, zarządu nie zwoływał, czekał.

Punkt zwrotny

Wkrótce okazało się, na co. Punktem zwrotnym w jego sytuacji okazały się wybory prezydenckie. Zwycięstwo Karola Nawrockiego oraz rosnące przekonanie, że to wstęp do rekonkwisty PiS, tchnęło w Piesiewicza (zwanego tu i ówdzie Pisiewiczem) wiarę, że zapał kolegów działaczy, by strącić go ze stołka, ostygł. Postanowił rzucić im: sprawdzam. Na dzień po wyborach prezydenckich zwołał posiedzenie zarządu PKOl. Działacze, mimo wcześniejszych strzelistych deklaracji, pochowali się do mysiej dziury.

Nie znalazł się żaden odważny do złożenia wniosku, mającego na celu odwołanie Piesiewicza. Jeden z prezesów małego związku: – *Przekonanie, że szacowny PKOl nie powinien być firmowany przez osobę o wątpliwych, delikatnie mówiąc, kwalifikacjach moralnych, rozpłynęło się w powietrzu. Przykro mi to przyznać, ale zdecydowana większość koleżeństwa działaczy ma nastawienie do bólu koniunkturalne, by nie powiedzieć transakcyjne. Gdy tylko wyczuli, że PiS może wrócić, uznali, że nie ma co zadzierać z Piesiewiczem. Bo im się to nie opłaca. Panuje marazm, a impulsem do jakiegoś przełomu mogą być tylko działania prokuratury, czyli postawienie Piesiewiczowi zarzutów, co wcale nie jest takie pewne, bo tam też mogą sondować, skąd wieje polityczny wiatr.*

Piesiewicza i jego przybocznych nie pogrążyło nawet to, że podczas walnego zgromadzenia ujawnili w sprawozdaniu finansowym solidne manko PKOl za 2024 r.: 12 mln zł. Obecni na sali zaakceptowali sprawozdanie, przyjmując za dobrą monetę tłumaczenia, że strata to wina złego ministra Nitrasa, który kazał spółkom Skarbu Państwa wycofać się ze sponsorowania PKOl. Piesiewicz odgrażał się, że wykorzysta swoje rozległe kontakty biznesowe, by wypełnić tę lukę, ale załatwił dwóch mikrosponsorów: ukraińską sieć sklepów garmażeryjnych oraz polskiego producenta opakowań, którego właściciel w prezydenckiej kampanii wyborczej 2020 r. gościł w swoim zakładzie Andrzeja Dudę i wpłacił 60 tys. zł na kampanię Nawrockiego.

Chcąc jakoś załatać finansową dziurę, Piesiewicz musiał iść po prośbie do rządzonych przez PiS samorządów. Najwięcej – 4,3 mln – przelało do PKOl województwo lubelskie, gdzie rządzi niezawodny z punktu widzenia Piesiewicza marszałek Stawiarski. Piesiewicz odwdzięczył się, przenosząc w czerwcu do Lublina piknik olimpijski, który od zawsze odbywał się w Warszawie, nieopodal siedziby olimpijskiej centrali. Ale w finansach PKOl jest krucho – w dalszym ciągu nie uregulował zobowiązań wobec kilku olimpijskich federacji. Tylko Polski Związek Saneczkowy zdecydował się skierować pozew do sądu. Pozostali podpisali prolongaty i cierpliwie czekają; to również skutek tego, że od czerwca mamy w polityce nowy klimat. Pustki w kasie wpłynęły nawet na redukcję prezesowskiej pensji. W 2024 r. zarobił na rękę skromne 430 tys., w pierwszej połowie tego roku – żałosne 150 tys. zł.

Prezes obrotowy

Gdy jesienią 2023 r. PiS oddało władzę, Piesiewicz zaczął przedstawiać się jako człowiek środka, który, nie wiedzieć czemu, jest kojarzony z Sasinem, podczas gdy, jak zapewniał w wywiadach, w młodości działał w Unii Wolności, znał Bronisława Geremka, współpracował z Józefem Oleksym, no i generalnie „zna wiele osób". Twardy kurs, jaki obrał wobec niego Nitras (jadąc na oślep i nie mając w rękawie żadnych asów), utwierdził Piesiewicza w przekonaniu, że nie ma co podlizywać się obecnie rządzącym, trzeba się okopać, zaprzeczać wszystkim zarzutom i składać serwituty sprawdzonym sojusznikom.

Umizgiwał się więc do prezydenta Dudy, a po wyborze Nawrockiego pospieszył z wizytą do Pałacu Prezydenckiego, o czym natychmiast doniósł w swoich mediach społecznościowych. Był też na zaprzysiężeniu nowego prezydenta, w towarzystwie Stawiarskiego. Czuł się coraz mocniejszy i powtarzał w środowisku sportowym: czas Nitrasa minął, w przeciwieństwie do mojego.

Jeden z działaczy koszykarskich: – *Wrażenie, że Piesiewicz ma znajomych również po stronie obecnej władzy nie jest bezpodstawne. Rok temu mieliśmy wybory w koszykówce, na prezesa kandydował ponownie Grzegorz Bachański, który wciągnął Piesiewicza do kosza, działał z nim ręka w rękę, kasował i wciąż kasuje grubą kasę, też jest na celowniku prokuratury w związku z podejrzeniem o finansowe malwersacje, a przynajmniej niegospodarność. Kto go uwiarygodnił w oczach delegatów na zjazd? Sam Grzegorz Schetyna. Przykład drugi: przed igrzyskami w Paryżu tzw. regionem partnerskim PKOl zostało województwo lubuskie, gdzie rządzi Platforma. Już wtedy głośno było o chciwości Piesiewicza, o jego układach. Deal załatwił Grzegorz Potęga, były członek zarządu PZKosz, a przy okazji lokalny polityk PO i wicemarszałek województwa. Razem z innymi przedstawicielami zarządu województwa pojechał na igrzyska do Paryża, a pracę w Polskiej Lidze Koszykówki dostał jego syn.*

Grzegorz Potęga odmówił rozmowy. Odesłał do biura prasowego województwa lubuskiego, a biuro prasowe odpowiedziało że o pracę Kacpra Potęgi należy pytać w PLK. W środowisku sportowym mówi się również o tym, że Piesiewicz budując swoją aurę ustosunkowanego i nie do ruszenia, powołuje się na bliską znajomość z ministrem cyfryzacji Krzysztofem Gawkowskim z Lewicy. Ponoć znają się od czasów szkoły średniej. Minister, choć sport to kompletnie nie jego działka, wpadł do centrali PKOl na olimpijskie ślubowania i skorzystał z zaproszenia na igrzyska w Paryżu, a ze zdjęć zamieszczonych w mediach społecznościowych prezesa Piesiewicza wynika, że obaj świetnie się tam bawili.

Na pytania o naturę tej znajomości wysłane do biura prasowego Ministerstwa Cyfryzacji nadeszła następująca odpowiedź: „Krzysztof Gawkowski poznał Radosława Piesiewicza w 2023 r., gdy ten był już prezesem PKOl, na igrzyskach w Paryżu był prywatnie, ale na zaproszenie PKOl (sic!) i sam zapłacił za przelot oraz hotel, obu panów nie łączą żadne relacje towarzyskie ani prywatne". Tyle prawda ekranu. Z prawdy czasu prezes Piesiewicz korzysta do bólu.

MARCIN PIĄTEK

eprasa.pl 9ebcecf7a9

Kruchy mocarz

W latach niedawnych rządów PiS prof. Adam Strzembosz stał się symbolem sprzeciwu wobec niszczenia niezależności sądownictwa, rujnowania praworządności i upolitycznienia instytucji stających na jej straży.

EWA SIEDLECKA

W wieku 95 lat zmarł prof. Adam Strzembosz – harcerz z rozwiązanego w 1949 r. ZHP (ta identyfikacja była dla niego bardzo ważna), sędzia, naukowiec, współzałożyciel i działacz sędziowskiej Solidarności – tej sprzed stanu wojennego. Związany z Kościołem katolickim konserwatysta z silnym poczuciem sprawiedliwości i powinności bycia człowiekiem prawym, w staromodnym znaczeniu tego słowa.

Podczas obrad Okrągłego Stołu współtworzył koncepcję sądownictwa, przewodnicząc podstolikowi wymiaru sprawiedliwości. Wypracował m.in., popartą wtedy przez Jarosława Kaczyńskiego, koncepcję utworzenia stojącej na straży sędziowskiej niezawisłości Krajowej Rady Sądownictwa, której częścią są wskazani przez sędziów ich przedstawiciele. Pierwszy I prezes Sądu Najwyższego, który zreformował ten sąd po 1989 r.

Za rządów PiS charakterystyczną postać prof. Adama Strzembosza, kruchą, przygarbioną, poruszającą się niepewnie (był już prawie niewidomy), widać było na niemal każdej większej manifestacji opozycji. W deszczu, na mrozie, w upale – był obecny i mówił chociaż kilka ważnych słów. Pytany, dlaczego zadaje sobie ten trud, odpowiadał, że to okazja, by być przyzwoitym i przydać się do czegoś dobrego. I że nie każdy w jego wieku ma taką szansę. Z tego powodu nie odmawiał także mediom.

Człowiek, którego do swoich obozów chętnie zaliczały, w różnych momentach najnowszej historii, przeciwstawne siły polityczne, on sam zaś nie identyfikował się z żadnym.

Polityka wciągnęła go najpierw w czasach pierwszej Solidarności. Za działalność

© PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS

w niej w stanie wojennym został przez Radę Państwa usunięty z urzędu sędziowskiego i z działającego przy Ministerstwie Sprawiedliwości Instytutu Badania Prawa Sądowego, w którym był docentem. Podjął pracę w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim na Wydziale Prawa, działał w Duszpasterstwie Prawników i współpracował z demokratycznym podziemiem, pisząc do bezdebitowych wydawnictw artykuły z dziedziny prawa i wymiaru sprawiedliwości, m.in. artykuł „Społeczna analiza zachowań sędziów" dla pisma „Głos" wydawanego przez Antoniego Macierewicza.

Przez pierwsze pół roku rządu Tadeusza Mazowieckiego był wiceministrem sprawiedliwości. Potem – do 1998 r. – I prezesem Sądu Najwyższego. Był zwolennikiem weryfikacji sędziów, ale opowiadał się za tym, by zrobili to sami sędziowie, za co był mocno krytykowany przez prawicę. – A kto miałby tę weryfikację robić? Politycy? – pytał. Rozgoryczony przyznawał jednak, że środowisko nie potrafiło się samooczyścić.

Polityka pociągnęła go jeszcze raz, gdy jako urzędujący I prezes SN w marcu 1995 r. zapowiedział start w wyborach prezydenckich, w których o reelekcję ubiegał się Lech Wałęsa. Kierowało nim przekonanie, że potrzebny jest kandydat jednoczący rozproszone głosy prawicy. Miał poparcie m.in. Porozumienia Centrum braci Kaczyńskich. Ostatecznie wycofał się, popierając kandydaturę Hanny Gronkiewicz-Waltz.

Był zwolennikiem lustracji, za co krytykowali go liberałowie. Na koniec swojej kadencji I prezesa SN, wykonując uchwaloną w 1997 r. ustawę lustracyjną, na stanowisko rzecznika interesu publicznego, czyli lustratora, wybrał lustracyjnego jastrzębia, sędziego SN w stanie spoczynku Bogusława Nizieńskiego. Widząc trwającą przez lata polityczną grę teczkami SB, w 2014 r. w wywiadzie dla PAP mówił, że „trzeba pilnować, kto ma do nich [akt IPN] dostęp – czy są to ludzie, którzy potrafią te archiwa właściwie ocenić w odpowiednim kontekście. Dziś widzę takie niebezpieczeństwo".

Chociaż był zwolennikiem weryfikacji sędziów, sprzeciwiał się hasłom PiS o potrzebie „dekomunizacji" sądownictwa rozumianej jako postulat usunięcia sędziów, którzy należeli do PZPR czy skazywali, stosując dekret o stanie wojennym. Rozumiał dylemat sędziów: odejść z zawodu czy pozostać, robiąc tyle dla zachowania sprawiedliwości, ile się da. Mówił: „Rozmawiałem z Karolem Modzelewskim, którego sprawę rozpoznawał jeden z późniejszych sędziów SN. Ten sędzia jest w stanie spoczynku (...) powstaniec warszawski, który w powstaniu stracił rękę. Członek PZPR. Modzelewski szedł na salę sądową z zagrożeniem do dwunastu lat. Ostatecznie dostał trzy i pół roku [wyszedł na mocy częstych w PRL amnestii]. Mówi: wracaliśmy do celi jak skowronki".

Prof. Adama Strzembosza wyróżniała wyjątkowa skromność. Nie rytualna czy wynikająca z dobrego wychowania, ale autentyczna, pochodząca z życiowej mądrości i poczucia sprawiedliwości. Na pytanie o powód, dla którego został sędzią, odpowiedział: „nie zrobiłem tego z jakimś poczuciem misji, w nastroju pozytywistycznym. Uważałem, że to jest praca godna, społecznie wartościowa (...). Miałem przekonanie, że sędzia to jest osoba, która musi niezwykle szanować urząd, zachowywać się godnie i występować w obronie prawa".

Prof. Adam Strzembosz był kawalerem Orderu Orła Białego, został też odznaczony Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski.

Wszystkie cytaty pochodzą z wywiadu w książce „Sędziowie mówią. Zamach PiS na wymiar sprawiedliwości".

eprasa.pl 9ebcecf7a9

Mea pulpa

czyli kronika popkulturalna Kuby Wojewódzkiego

Obraz „Friz&Wersow. Miłość w czasach online” z oceną 2,2 wyprzedził „Smoleńsk” i wszedł do Top 3 najgorzej ocenianych polskich filmów w historii Filmwebu. To chyba największy sukces twórców „Smoleńska” od czasu premiery.

●

Szymon Hołownia będzie się ubiegał o stanowisko wysokiego komisarza ONZ do spraw uchodźców. To typowe w mediach. Ludzie, którzy odpadli z „Królowej przetrwania”, często idą do „Hotelu Paradise”.

●

Lider Bayer Full Sławomir Świerzyński ujawnił, że kiedyś dużo przeklinał, ale jak wszedł na kolanach do bazyliki w Rzymie, to Jezus przepędził z niego wszystkie wulgaryzmy. To tak nie działa. Kiedyś na kolanach prosiłem go, aby przestał śpiewać.

●

Julia Wieniawa wyznała w wywiadzie, że „bieda to stan umysłu”. Lawina populizmu zalała media. Jak mawiał Woody Allen: „Prawdziwych przyjaciół poznajesz w biedzie, ale są to zwykle biedni przyjaciele”.

●

Wirtualna Polska w ofensywie: „Luksus Ewy Chodakowskiej. Torebka za 93 tysiące, zegarek za 235 tysięcy i auto za 800 tysięcy”. Trzeba uważać na małe wydatki. Drobna dziura może zatopić wielki okręt.

●

TVP2 pokazała piłkarski Mecz Legend Polska–Niemcy. Komentatorem był Dariusz Szpakowski. Leon Kruczkowski napisał „Niemców” w 1949 r. To też był dramat.

Wirtualnemedia.pl opublikowały felieton Tomasza Wojasa na temat Tomasza Kammela. Słowa klucze to: przeźroczysty, nierząd, agencja towarzyska i białoruski wazelinomierz. Skromnie jak na CV.

●

Do gwiazd reklamujących PKO Bank Polski dołączyli Cezary Pazura i Michał Koterski. Przypomina mi się kolega, który tak oszczędzał na ogrzewaniu, że komary w jego domu przestały kąsać, a zaczęły kaszleć.

●

W jubileuszowym odcinku „M jak miłość” pojawił się głos Lucjana, czyli Witolda Pyrkosza, wskrzeszony dzięki AI. To epokowe zdarzenie pokazuje dobitnie, że lepiej byłoby wskrzesić jakiegoś dobrego scenarzystę.

© PAWEŁ DĄBROWSKI/AGENCJA SE/EAST NEWS

W „Halo tu Polsat” wyemitowano materiał pokazujący specjalistyczny kombinezon leczący spektrum autyzmu. Wystarczyło tylko przyłożyć ręce do telewizora i odliczać: adin, dwa, tri.

●

Ciekawe ruchy TVP1 wobec programu „Sekielski wieczorową porą”. Widowisko spada z piątku na środę, ale jak w środę będą mecze, to spada w ogóle. Wyrafinowane. Strategia à la Michał Probierz.

●

Gitarzysta Janek Benedek rozstaje się z zespołem T.Love. Szok i niedowierzanie. Dotychczas wydawali się nierozłączni. Jak Sejm i alkomat.

●

Znany i kontrowersyjny youtuber Budda został zatrzymany w stanie Tennessee za nieprzepisową jazdę. Dodatkowo urząd ds. imigracji oskarżył go o naruszenie warunków pobytu w USA. Słabo. W podobnej materii w Polsce osiągnął dużo więcej.

●

Krzysztof Hołowczyc ma nowe zęby – donosi plotek.pl. Na koniec tej wstrząsającej publikacji dołącza sondę: Co sądzisz o przemianie Hołowczyca? I naród głosuje. Tradycyjnie za tym, co było kiedyś.

●

Wojciech Fibak ujawnił, że znał kiedyś Donalda Trumpa, którego pamięta jako świetnego kumpla, kolegę i znakomitego sportowca. Ładna historia. Znam parę aktorek porno, które mogłyby w tym zagrać.

●

Były szef TV Republika Tomasz Terlikowski poprowadzi cotygodniowy program w TVN24 „Dwie strony”. Szok. Przypomina mi to rozmowę dwóch kolegów: „Urodził mi się syn”. „Jak żona?”. „Jeszcze nic nie wie”.

Była gwiazda TVP Karolina Pajączkowska, zwana aniołkiem Kurskiego, wystąpi w reality show TVN7 „Królowa przetrwania”. To się w PRL nazywało samokrytyka. W teologii katolickiej – czyściec.

eprasa.pl 9ebcecf7a9

FELIETON

Orliński

Droga do smoka

Upadek Szymona Hołowni zbiega się w czasie z pojawieniem się nowej inicjatywy, stowarzyszenia Naprzód!, założonego głównie przez byłych działaczy Zielonych – wśród nich Marka Kossakowskiego. Za rządów PiS telewizja zrobiła o nim propagandowy materiał, że oto na wszystkich demonstracjach opozycji pojawia się ten sam „tajemniczy brodacz", co miało dowodzić, że są oszukane i zmanipulowane. Chłopcom Pereiry i Wildsteina nie mieściło się w głowie, że ktoś może chodzić na wszystkie zadymy, chociaż dla ludzi znających Marka to oczywiste, że on tak ma od 45 lat.

Znam Marka z czasów „Gazety Wyborczej", podobnie zresztą jak Szymona. Życzę im obu jak najlepiej, nawet jeśli nie zamierzam na nich głosować. Zdumiewa mnie jednak to, że jeden nie wyciąga wniosków z porażki drugiego. Stowarzyszenie Naprzód! to kolejna już inicjatywa mająca „zasypywać podziały". Jak to ujął sam Marek Kossakowski, celem jest „odbudowa poczucia wspólnoty", do której zaproszeni są wszyscy, „niezależnie na kogo głosują w wyborach". Te hasła pozornie brzmią bardzo mądrze. Na Krakowskim Przedmieściu wystarczy rzucić zdechłym kotem, żeby trafić w intelektualistę nawołującego do „wychodzenia z bańki", „przełamywania duopolu" i „zakończenia wojny polsko-polskiej".

> Większość wyborców chce iść „w lewo" albo „w prawo". Tych, którzy chcą iść środkiem, jest za mało na drugą turę.

To takie piękne slogany. Gwarantują rzęsiste brawa i deszcz lajków na fejsie. Wystarczy powiedzieć, że „zgoda buduje" i już cała sala twoja. Kto by otwarcie przyznał, że jest za niezgodą? A jednak, jeśli co do czegoś się zgadzamy, jest to właśnie niezgoda. Jak dotąd nie powiodła się żadna inicjatywa na rzecz politycznego środka. Za pierwszą uznałbym świętej pamięci Unię Wolności, którą zakładano w myśl teorii, że „lewica i prawica są przestarzałe". U schyłku istnienia partia ta szła do wyborów pod hasłem „w lewo? w prawo? do przodu!". Poza jej ścisłym kierownictwem wszyscy już widzieli, że to droga donikąd – jakby kapitan „Titanica" na widok góry lodowej zawołał: „Całą parą naprzód!".

W obecnym stuleciu podobne próby podejmowano wielokrotnie. Często inicjował je ktoś taki jak Hołownia, „spoza polityki", „kogo wszyscy lubili", „kto dogada się z każdym". I za każdym razem kończyło się tak samo: chwilowy skok w sondażach, miraże drugiej tury, sny o potędze i spektakularna katastrofa. W przypadku Hołowni obserwowałem to z wyjątkowym smutkiem, bo poznałem go, zanim mu woda sodowa uderzyła do głowy. Trudno dziś uwierzyć, ale kiedyś był skromnym, pracowitym graczem zespołowym, wolnym od gwiazdorzenia. W polityce zachowywał się jednak jak ktoś przekonany, że już wygrał teleturniej, choć do finału daleko. Widać było, że całą karierę zaplanował z założeniem, że wygra wybory prezydenckie – i nie miał planu B, na wypadek gdyby to się nie udało.

Był chyba jedynym człowiekiem w Polsce, którego ta porażka zaskoczyła. Niczym kierownictwo Unii Wolności nie chciał dostrzec tego, co oczywiste – że większość wyborców chce iść „w lewo" albo „w prawo". Tych, którzy chcą iść środkiem, jest za mało na drugą turę, a nawet na przekroczenie progu.

Najwyraźniej chcemy być podzieleni. Nawet nie „my, Polacy", lecz „my, gatunek *Homo sapiens*". Walki frakcyjne widać we wszystkich republikach. Starożytni Rzymianie byli podzieleni na optymatów i popularów, średniowieczni Włosi – na gibelinów i gwelfów, XIX-wieczni Anglicy – na wigów i torysów. Sanacja w Polsce objęła władzę pod hasłem skończenia z partyjniactwem – i wyszedł z tego system czterech skłóconych stronnictw: Becka, Rydza, Sławka i Mościckiego.

Niektórzy mówią, że wojna jednoczy Polaków, ale to też nieprawda. W drugiej wojnie światowej byliśmy podzieleni na „sanację" i „całą resztę", w XIX-wiecznych powstaniach – na konserwatystów („białych") i demokratów („czerwonych"), w wojnie bolszewickiej – na endeków i piłsudczyków. A w czasach I Rzeczpospolitej to dopiero były podziały podczas wojen! Posłużyły za inspirację do niejednego arcydzieła, z „Trylogią" na czele. Nawet gdy zastąpimy republikę tyranią, nie zapanuje jedność. Hitler, Stalin i Mao zapewniali swoim rządom stabilność dzięki umiejętnemu skłócaniu najbliższych współpracowników. Podziały w dyktaturach są jeszcze gorsze, bo nie ma żadnych reguł – formalnie żadnych sporów, tylko czasem ktoś wypadnie przez okno.

Nie jestem miłośnikiem duopolu PiS-antyPiS, mnie też wiele w nim drażni, ale nie zamierzam go rozbijać, bo nie dostaniemy jakiejś mitycznej „wspólnoty", tylko inny duopol. Zapewne jeszcze gorszy, bo w tym stuleciu w polityce wszystko zmienia się na gorsze. Spójrzmy choćby na obecnego prezydenta – ja już tęsknię za Dudą. Był, jaki był, ale przynajmniej miał kindersztubę.

Ta mityczna droga, nie w lewo, nie w prawo, tylko „naprzód!", to droga zagłady. Na końcu jest smok pożerający śmiałków, którzy nią weszli. Zawołałbym do Marka Kossakowskiego, żeby z niej zawrócił, póki czas – ale znając go, wiem też, że on się żadnego smoka nie boi.

WOJCIECH ORLIŃSKI

eprasa.pl 9ebcecf7a9

FELIETON

Chutnik Plebanek

Ludzie we mgle

Kiedy umiera piękny człowiek, robi się cicho. Gdy Jane Goodall, badaczka szympansów i obrończyni praw zwierząt, odeszła we śnie, media społecznościowe zalały posty na jej temat. Ale w gazetach i na portalach informacyjnych wiadomość o jej śmierci znalazła się gdzieś między wywiadem o Putinie a kolejnym doniesieniem z salonów show-biznesu. Za życia poświęcano jej jeszcze mniej miejsca.

Goodall wytłumaczyłaby nam, dlaczego tak się dzieje. Bo zwierzę zwane człowiekiem żwawiej reaguje na bodźce zagrażające jego życiu bądź dające szybki dopływ dopaminy (emocje i ekscytacja). Cienki lukier ludzkiej refleksji nie jest w stanie unieść rzeczywistości, w której rządzi dobro i przyzwoitość. Podobno podświadomie szukamy sensacji, wiadomości o zabójstwach, gwałtach i oszustwach. Czy ciepła kołderka dobroci może wywołać stan podobny do haju? No właśnie.

Zamiast stawiać na jasną stronę człowieczeństwa, edukować, dawać dobre przykłady, media zarabiają – a politycy zdobywają popularność – na naszym atawistycznym strachu. W sinusoidalnym biegu historii świat właśnie pikuje w dół drabiny humanistycznych wartości. Ludobójstwo nazywa się politycznym rozwiązaniem. Nie kończy się kaźń zwierząt w rzeźniach czy na tzw. fermach futrzarskich. O myśliwych zabójcach, jak ten, który w Polsce strzelił do łosia, skazując zwierzę na noc konania, pisze się tylko, że są bezkarni. I nic z tego nie wynika.

> Być może łatwiej być złym człowiekiem. Ale ci dobrzy, jak Jane Goodall, nie przestają fascynować.

A jednak kiedy już chce się opuścić bezradnie ręce, nadchodzą wieści, które przywracają wiarę w to, że bezkarność ma swój kres. Oto kolekcjoner trofeów, amerykański miliarder, padł ofiarą bawoła, na którego się zasadzał. Ludzkie sądy zabójcy zwierząt nie ukarały (dlaczego?), ale zrobiło to zwierzę zwane „czarną śmiercią".

Kolejna wiadomość: były brazylijski dyktator Jair Bolsonaro, za którego rządów dokonano drakońskich wycinek lasów amazońskich, wreszcie siedzi. Skazany na 27 lat i trzy miesiące więzienia, odpokutuje pewnie dożywotnio, bo ma już siedemdziesiątkę. Dziwne jest tylko to, że uznano go winnym „spiskowania w celu przeprowadzenia wojskowego zamachu stanu", a nie pozbawiania planety tlenu.

Za kratki pójdzie też pierwszy w historii były francuski prezydent Nicolas Sarkozy – za „udział w zorganizowanej grupie przestępczej". Siedemdziesięciolatkowi zasądzono pięć lat więzienia – 20 lat po dokonaniu przestępstwa. Sprawa dzieli Francję, oburzeni wyrokiem argumentują, że skazanie eksprezydenta podważy wiarę w państwowe instytucje, co w dzisiejszych czasach może okazać się niebezpieczne. Pewnie, lepiej ją podtrzymywać, chowając głowę w piasek i chroniąc sprawców czynów niezgodnych z prawem tylko dlatego, że wspięli się na szczyt politycznej drabiny. Niech żyje hipokryzja!

I znów, nawet pisząc ten tekst, skupiamy się na paskudnych ludzkich czynach. Tymczasem odeszła Jane Goodall, która poświęciła życie jego ochronie. Przez niemal całe swoje życie badała zwierzęta, opiekowała się nimi oraz uczyła, jak budować porozumienie międzygatunkowe. Brakuje dotkliwie i jej, i codziennego kontaktu z mądrością takich ludzi jak ona czy Dian Fossey. Ta amerykańska prymatolożka ochraniała goryle w Kongu i Rwandzie, co kosztowało ją w końcu życie. Fossey znaleziono martwą w domu w 1985 r. Trzy lata później Michael Apted wyreżyserował film „Goryle we mgle" na podstawie jej biografii, z niezapomnianą rolą Sigourney Weaver.

Dobrzy ludzie i ich moralny kompas to skarby ponadnarodowe. Richard Attenborough czy Simona Kossak to osoby, o których dzieci powinny się uczyć w szkołach. Nam też dobrze by zrobiło codzienne dokarmianie się pozytywnymi informacjami. Brzmi utopijnie? Nie, to psychologia. Profesor Ewa Trzebińska zachęca: „Po pierwsze, dostrzegać przyjemne sytuacje. Po drugie, samemu je stwarzać. Po trzecie, gromadzić je, a nawet wyolbrzymiać. Skoro biologia wbudowała nam w głowy mechanizm, który wyolbrzymia zagrożenia, to dla równowagi musimy nauczyć się wyolbrzymiać radości. To się nazywa kapitalizacją pozytywnych emocji".

I nie, nie chodzi o nienaturalne pobudzenie czy sztuczne wywoływanie uśmiechu. On jest przecież prawdziwy – zobaczcie, proszę, filmy z Jane Goodall, kiedy rozmawia ze zwierzętami. A przynajmniej tak to wygląda, ponieważ ich emocje są dla nas widoczne i zrozumiałe, krzepiące i wzruszające.

Zbyt wiele miejsca oddaje się ludziom, którzy wykreślili granice i zarysowali wąsko pojęte narodowości, a ignoruje się wkład tych, którzy dbają o bogactwo ponadnarodowe, o świat zwierzęcy, do którego należymy, a który skazujemy na zagładę. Być może łatwiej być złym człowiekiem. Ale ci dobrzy, choć marginalizowani, nie przestają fascynować. A gdyby tak zmienić wektor ludzkich aspiracji – z parcia na bogactwo i prostacko pojętą władzę – na bycie dobrym i przyzwoitym? Przecież można. Dowodem na to jest życie i działalność Jane Goodall, której zawdzięczamy więcej, niż nam się wydaje.

SYLWIA CHUTNIK, GRAŻYNA PLEBANEK

eprasa.pl 9ebcecf7a9

FELIETON

Sulej

Koniec świata już tu jest

Epoka nas ostatnio nie rozpieszcza. Duch dziejów działa w stylu gore. A my nie mamy siły, czasu, miejsca w głowie, przestrzeni w sercu, pary w rękach, żeby unieść rozmiar makabry co rusz objawiającej się w wiadomościach. Epoka jednak ma swoje wymagania. Chce, żebyśmy mieli opinie, wrzucali hasztagi, zajmowali stanowisko, reagowali natychmiast i bez ustanku, najlepiej zdecydowanie, i to z wieloma emotikonami, wykrzyknikami, prosto, wyraźnie, wiecowo. Algorytm słyszy wiecowe nawoływania najlepiej, łapie i podrzuca dalej, turla niczym śniegowe kule w nadziei na lawinę.

Epoka lubi, żeby było gęsto od obwieszczeń, najlepiej jak najbardziej radykalnych, niezbyt skomplikowanych i wyrwanych z kontekstu. Takie wyrwane zdania świetnie się nasadza w gęstwinach dyskursu, gdzie wykrzaczają się sensy. Kiedy patrzę na niektóre wymiany myśli w tzw. facebookowych inbach, mam wrażenie, że uczestniczę w partii szachów z „Alicji w Krainie Czarów", kiedy fakty są bez znaczenia, bzdury podszywają się pod argumenty, na okoliczności łagodzące miejsca brak. – Najpierw wyrok, potem uzasadnienie! – woła wściekła Królowa Kier, nie mogąc się doczekać dekapitacji. Autorytarna władczyni nie jest zbyt mądra, ale głośno krzyczy, a to budzi strach. Im głośniej, tym więcej racji – taka jest niecierpliwa logika inby. Facebookowej, ale także – niestety, ostatnio coraz częściej – zupełnie realnej.

> Karierę robią ci, którzy sprawiają wrażenie, że mają koniec świata pod kontrolą. Za nimi pójdą ci, którzy najbardziej się boją.

Minęły czasy, kiedy można było wygodnie mówić o internetowych awatarach, które są jedynie niegroźnym gabinetem krzywych luster. Żyjemy w narastającym lęku i bezradności, która może objawić się stekiem wyzwisk na czyimś profilu, ale coraz częściej też wylewa się toksyną w pociągach, tramwajach, na ulicach i w szkołach czy biurach. Chcemy, żeby się działo, domagamy się wymiany razów, poczucia sprawczości. Niech ktoś się za nami wstawi, niech ktoś się przeciwstawi, byleby tylko nie tłumić już w sobie tego okropnego uczucia, że jest dookoła strasznie i nic się na to nie może poradzić.

Oburzenie, wzmożenie, emocjonalnie chwytliwe refreny w wiadomościach, poezja nagłówków, która zatrzymuje nas z nosem w telefonach albo z transparentem na demonstracjach. Mechanizm wiecowy przyciąga – skoro krzyczę i ludzie lajkują moje zdanie, to znaczy, że mam rację. Skoro krzyczę i inni krzyczą ze mną, to znaczy, że mamy moc. Czy ma znaczenie, skąd pochodzi moja wiedza? Czy to, co głoszę, to opinia czy fakty? Cytuję czy interpretuję? Kłamię czy mówię prawdę? Co ja właściwie wiem? Lepiej nie zadawać tego pytania, bo od razu rozstępuje się wtedy grunt i wsysa nas koniec świata – świata, który sobie wymyśliliśmy. Ale uwaga, łamiąca wiadomość: koniec świata już tu jest, nie ma powrotu do dawnych narracji.

Nie wiemy, dokąd idziemy, co znaczą słowa, jesteśmy w trybie moralnej paniki. Osoby, które usiłują rozmawiać inaczej niż w trybie rywalizacji na rewolucyjną czystość, które starają się przybrać inny ton niż alarmowy, są postrzegane jako tchórze, krętacze, wykształciuchy z wysokich wież, ludzie słabi, interesowni, bierni. Przy czym – co chciałabym podkreślić – poszukiwacze rewolucyjnej czystości opinii są aktywni zarówno po lewej, jak i prawej stronie i – tak jak rewolucja to lubi – obie strony oddalają się od siebie, coraz bardziej naciągając wątłą nić naszego zdrowia społecznego i psychicznego.

Najgorzej jednak mają osoby, które publicznie żadnych radykalnych opinii nie wyrażają – to po prostu zdrajcy, złole naszych czasów. Szczególnie jeśli tak zachowują się ci, którzy mają znaczącą platformę odbiorców. Złote milczenie jest potępiane. Nie ma znaczenia, co może się za tą ciszą kryć. Mogą to być najlepsze intencje i mądrość życiowa, wiedza – nieważne. Karierę robią ci, którzy sprawiają wrażenie, że mają koniec świata pod kontrolą. Za nimi pójdą ci, którzy najbardziej się boją. Nie chcą słyszeć, że może być inaczej, bo poczucie bezpieczeństwa jest bezcenne. Nie będzie więc tu żadnych polemik, to już było, teraz nie ma już czasu. Antysemita, rusofob, onuca, hamasowiec, żydolub, syjonista, imperialista, komunista – i tak to idzie. Taka epoka.

Może tak być teraz, po prostu musi, nie będzie to czas filozofowania, będziemy się dyscyplinować, formować garnizony. Koniec świata to nie jest łatwa sprawa. Bądźmy na tyle uczciwi, żeby przyznać przed sobą, że daleko nam dziś do wolnomyślicieli dociekających sensu czasów, badających ludzką naturę, studiujących rytm historii, uzdrawiających traumy.

Idziemy na konflikt w pełnym rozpędzie. Jedni wobec drugich pogrążamy się w chaosie, przerażeni, że wielkie opowieści liberalnych demokracji okazały się zawodne, kłamliwe, sztuczne. Kiedy się boisz, łapiesz się kogokolwiek, kto wydaje ci się silniejszy. Prawy, lewy, głupi, mądry, okrutny, chciwy, szalony – to nie ma znaczenia. Jeśli taki charyzmatyczny lider pojawia się w chaosie i cierpieniu i obiecuje świat nowy, lepszy, czysty, jasny i sprawiedliwy – kto za nim nie pójdzie?

KAROLINA SULEJ

eprasa.pl 9ebcecf7a9

Hołownia i czwarta droga

Wszyscy trzymają kciuki, żeby marszałek Szymon Hołownia dostał pracę w ONZ. Kibicowanie Hołowni zjednoczyło rozmaite środowiska; politycy, którzy do tej pory w niczym się ze sobą nie zgadzali, zgadzają się co do tego, że praca na wysokim stanowisku w ONZ Hołowni jako Polakowi się należy.

Za tym, żeby Hołownia na to stanowisko kandydował, opowiada się 17,6 proc. ankietowanych Polaków. W zestawieniu z poparciem uzyskanym przez niego w wyborach prezydenckich to wynik imponujący. Hołownię solidarnie popierają: rządząca koalicja, opozycja i prezydent RP. Do negocjacji w sprawie pracy dla Hołowni włączył się prezes Kaczyński, osobiście spotykając się z Hołownią w mieszkaniu europosła Bielana.

Za nową pracą dla marszałka jest MSZ i wielu ministrów rządu Tuska. Wprawdzie wśród 58 priorytetów ogłoszonych niedawno przez ten rząd sprawa pracy dla Hołowni się nie znalazła, ale ministrowie zapewniają, że Hołowni kibicują.

Skupienie tylu środowisk wokół swojego nowego projektu to być może największy polityczny sukces Hołowni. Mimo to ocenia się, że zdobyć pracę w ONZ będzie mu trudniej, niż astronaucie Sławoszowi polecieć w kosmos i szczęśliwie wrócić na Ziemię. Niedawno Hołownia powrócił na ziemię po nieudanej misji zostania prezydentem, ale nie był to powrót szczęśliwy. Lądowanie było twarde, ziemska atmosfera – przygnębiająca i pozbawiona tlenu. W dodatku nikt nie czekał z kwiatami.

Gdy Hołownia jest przez polityków od prawa do lewa chwalony za to, że szuka pracy, poseł KO Franciszek Sterczewski jest krytykowany za to, że zamiast pracować, udał się na wypoczynkową antyizraelską misję w ramach flotylli płynącej na pomoc Strefie Gazy.

„To nie była misja. To były wakacje" – oburzali się w telewizji ministrowie Siemoniak i Grabiec, partyjni koledzy Sterczewskiego. Fakt, że Sterczewski sobie żegluje, a może również się opala, kojarzy im się jednoznacznie. Tragedia w Strefie Gazy, powiadają, wymaga powagi, a nie działań Sterczewskiego, które tej tragedii odbierają wymiar tragedii.

Zgadzam się, że może gdyby Sterczewski potraktował sprawę poważniej i razem z jachtem zatonął, zaginął bez wieści na morzu albo w izraelskim więzieniu, dałoby się jego zachowanie zaakceptować. Niestety, fakty są takie, że nic mu się nie stało i po powrocie udziela jednego wywiadu po drugim, co mocno go kompromituje. Dlatego nie dziwię się karze 800 zł, którą nałożyła na Sterczewskiego jego partia. Miejmy nadzieję, że odechce mu się lansowania i opalania, i tak jak Szymon Hołownia zacznie wreszcie myśleć o pracy.

GALERIA POLITYKI

ISKRA, ZNANY JAKO AUTOR „SMUTNYCH HISTORII SPISANYCH NA KACU I TANIM PAPIERZE"

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA
tel. 22 451-61-33, 451-61-34
POCZTA ELEKTRONICZNA polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY
Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00

CZŁONKOWIE ZARZĄDU
Mariusz Janicki (*Wiceprezes, Pierwszy Zastępca Redaktora Naczelnego*), Bartek Chaciński (*Zastępca Redaktora Naczelnego*), Katarzyna Białek (*Dyrektor Zarządzający*)

Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO TYGODNIKA POLITYKA
Witold Pawłowski

SEKRETARZ REDAKCJI
Artur Podgórski *tel. 22 451-60-22, 22 451-61-84*

BIURO REKLAMY
tel. 22 451-61-36, e-mail: reklama@polityka.pl
Izabela Kowalczyk-Dudek *(dyr.),*

ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH USTAWY PRAWO PRASOWE

PION WYDAWCZY
Piotr Zmelonek (dyrektor) *22 451-61-85*
PION CYFROWY
Joanna Chmielecka (dyrektor) *67 210-86-30*
ADMINISTRACJA
Jadwiga Kucharczyk (dyrektor)

PRENUMERATA PAPIEROWA
www.sklep.polityka.pl
Infolinia: *tel. 67 210 86 30,*
e-mail: infolinia@polityka.pl
tel. 22 451-61-00, 451-61-15

PRENUMERATA CYFROWA
www.polityka.pl/cyfrowa
Infolinia: *tel. 22 336-79-16,*
e-mail: cyfrowa@polityka.pl

SERWIS INTERNETOWY
www.polityka.pl
REDAKTOR NACZELNA
Aleksandra Żelazińska

PORTAL POPULARNONAUKOWY
projektpulsar.pl
REDAKTOR NACZELNY
Karol Jałochowski

Konto: POLITYKA, Spółka z o.o. SKA
BNP Paribas Bank Polska S.A.
18 1750 0009 0000 0000 1004 2763
SWIFT: RCBWPLPW

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki: Justyna Sadowska,
tel. 22 451-61-50,
e-mail: przedruki@polityka.pl

DRUK P/mint leipa passion process technology

eprasa.pl 9ebcecf7a9

Zdarzyło się

Zaglądamy do archiwum POLITYKI

30 lat POLITYKI w kolorze

Już trzy dekady – a konkretnie od 14 października 1995 r. – nasz tygodnik ukazuje się w kolorowej, magazynowej formie. Przejście z kultowej dla wielu „płachty" na nowocześniejszy i bardziej współczesny format tygodnika opinii było zarówno dla nas, jak i dla naszych Czytelników prawdziwą rewolucją.

W odmienionej, stustronicowej POLITYCE Czytelników powitał redaktor naczelny **Jerzy Baczyński:**

„To dla nas bardzo ważna i bardzo emocjonująca chwila. (...) Powtarzaliśmy sobie często, że to tylko zmiana zewnętrzna, bo przecież treść, sposób pisania, autorzy, rubryki – wszystko pozostaje, jak było. Prawda, ale z drugiej strony – po to zdecydowaliśmy się na tę zmianę, aby dać Państwu gazetę bardziej atrakcyjną, wygodniejszą do czytania, estetyczną i nowoczesną".

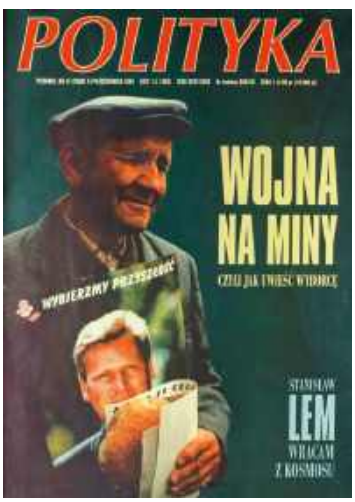

Numer rozpoczynał „Raport" – artykuł **Mariusza Janickiego** i **Mirosława Pęczaka** „Wojna na miny, czyli polityk jako towar", w którym autorzy opisywali trwającą prezydencką kampanię wyborczą:

„Specjaliści od reklamy i marketingu twierdzą, że nie ma różnicy między reklamowaniem towarów a promocją polityka. W jednym i drugim przypadku trzeba najpierw ustalić, jak prezentuje się reklamowany towar (kandydat na prezydenta) na tle innych, oraz wybrać i uwypuklić te cechy towaru, które pozwolą mu wygrać z konkurencją. (...) Jacek Kuroń już w momencie, gdy zdecydował się wystartować w wyborach, założył garnitur. Szef jego sztabu Michał Boni wyjaśnia: »Chodzi nam o to, żeby Jacka nie traktowano wyłącznie jako równego gościa i człowieka o gołębim sercu. Słyszałem wielokrotnie, jak mówiono: panie, Kuroń za dobry jest do polityki, zniszczą go. Dlatego chcemy, aby Jacek, nic nie tracąc z dawnego image'u, jawił się jako zdecydowany mąż stanu«. (...) Nieco inną strategię wybrał sztab Aleksandra Kwaśniewskiego: kandydat jest – według sztabowców – tak dobry, że wystarczy mu nie przeszkadzać".

W tym pamiętnym numerze nie mogło rzecz jasna zabraknąć pamiętnej rozmowy – a skoro była to dla nas kosmiczna zmiana, tak i rozmówca był nie z tej Ziemi. Tak oto **Krzysztof Mroziewicz** (w wywiadzie „Wracam z kosmosu") zagadnął **Stanisława Lema**:

„A jeśli ktoś tam jednak istnieje? I jeśli tak, to czy wyobraża pan sobie na przykład religie pozaziemskie?

– Na starsze lata stałem się sceptykiem, jeśli idzie o istnienie cywilizacji kosmicznej, tym bardziej że możliwe jest powstawanie niekoniecznie białkowych form życia. Nie ma żadnej potrzeby dziwnej preharmonii, która sprawiałaby, że wszystko, co staje się życiem, musi wydawać takie pędy, które kończą się jakąś formą rozumu. Zresztą jeśli chodzi o ten rozum, to my bardzo szwankujemy i na ogół nie ma się czym chwalić. A czy inne formy życia odczuwałyby potrzebę metafizyczną – to sprawa otwarta. Na Ziemi jest wiele rozmaitych odmian i jedyną odmianę, którą ja wymyśliłem, da się opisać tak: Bóg istnieje w taki sposób, że najpierw jest, potem go nie ma, potem znowu jest i znowu go nie ma. Takie drganie. Sinusoida. I nie ma niczego wspólnego z człekokształtnością. (...) Po śmierci dzieje się z nami to samo, co się działo przed naszym urodzeniem. To znaczy nie było nas i nie będzie. Jak długo jestem, to nie ma śmierci, a jak jest śmierć, to nie ma mnie. Religie są protezami, które mają nam ułatwiać oswojenie z myślą o przykrej perspektywie niebytu".

W ostatnim wydaniu POLITYKI przed zmianą makiety redaktor naczelny zapowiadał, że wprowadzimy trochę nowych rubryk, ale z umiarem, tak by utrzymać równowagę między ciągłością a zmianą. W nowej odsłonie nie zabrakło więc rubryk dobrze znanych Czytelnikom, jak: „Opinie", „Coś z życia" czy „Polityka i obyczaje", ale pojawiły się też nowe, m.in. „Dział kadr", „Na afiszu" i „Niskie loty". A do tego ilustrowany reportaż zamykający całość („Na własne oczy").

Od tego czasu kilkakrotnie – choć zawsze z rozwagą i umiarem, bacząc na przywiązanie naszych Czytelników i ich opinie – odświeżaliśmy makietę POLITYKI, unowocześniając poszczególne rubryki i ich oprawę. Niezmiennie towarzyszyła nam w tym drukarnia, której podwaliny stworzył Tadeusz Winkowski (obecnie drukarnia nazywa się P/mint) – za co serdecznie dziękujemy „towarzyszom sztuki drukarskiej". Przez te trzy dekady weszliśmy też w świat cyfrowy, tworząc serwis internetowy, cyfryzując numery naszego tygodnika i wydań specjalnych, wreszcie – uruchamiając profile POLITYKI w mediach społecznościowych. Wszystko po to, żeby móc Państwu zawsze towarzyszyć w najwygodniejszej formie i w najlepszym wydaniu.

eprasa.pl 9ebcecf7a9

Ktoś tu kręci

Dla jednych koszmar młodości, dla innych ciekawostka, dla ostatnich odgapiony od idola boski skręt. Kontrowersyjna trwała ondulacja znów jest w modzie – i damskiej, i męskiej.

Jest coś ironicznego w tym, że powrót pełnej objętości i obfitości fryzury następuje w sezonie czapkowym. No, ale co zrobić, obowiązki wobec własnego wizerunku za nic mają kalendarz. Kto wie, może fale i loki lepiej chronią przed przenikliwym zimnem, chociaż – jak wiemy choćby z filmu „Legalna blondynka" – z wilgocią się nie lubią. Przypomnijmy, że bohaterka tej komedii wygrała pierwszą ważną sprawę w sądzie, bo dowiodła, że nie można zaraz po zrobieniu trwałej ondulacji brać prysznica – para i woda zniszczą wysiłki nawet najtęższego z fryzjerów.

Tak, o tym właśnie zabiegu mowa – święcił on triumfy w latach 80., przez wielu pamiętanych także dzięki niebieskim cieniom do powiek, szerokim ramionom, krzykliwym krojom i kolorom oraz hasłu „świadoma brzydota" jako wyznacznikowi stylu. W telegraficznym skrócie: trwała ondulacja polega na nałożeniu na włosy specjalnego płynu, następnie wałków o odpowiednim rozmiarze, a po upływie czasu utrwaleniu efektu kolejną substancją.

Ola Salwa
– absolwentka psychologii, dziennikarka z 20-letnim stażem. Pisze o filmie, modzie i zjawiskach społecznych, konsultuje scenariusze, jest członkinią Europejskiej Akademii Filmowej.

Były różne odsłony trwałej. Był fryz gigantyczny u Dolly Parton czy Melanie Griffith, grającej tytułową „Pracującą dziewczynę". Były dzikie loki Julii Roberts, Cher, Jennifer Grey, ale także – Jona Bon Joviego czy piłkarza Kevina Keegana. Nie wszystkie były wynikiem godzin spędzonych na fotelu u fryzjera, niektóre były dziełem natury, ale kto by w to wnikał, skoro skutecznie nakręcały modę i ruch w salonach. Dawały poczucie mocy – u zawodowo aktywnych kobiet dorzucały nawet kilka centymetrów wzrostu, co było równie strategicznym zabiegiem jak noszenie marynarek z poduchami i wąskich spódnic, upodabniających sylwetkę do tej tradycyjnie męskiej (czyli: szerokie ramiona, wąskie biodra).

Dziś perminfluencerów (od ang. *perm* – trwała ondulacja) też nie brakuje – i to pod każdą szerokością geograficzną. Wśród tych, których zdjęcia najczęściej pojawiają się, gdy fryzjer jest proszony o zrobienie trwałej, są: **Zendaya**, Julia Garner („Ozark"), ale i **Paul Mescal** czy Jeremy Allen White. Swoje w kwestii skrętu dołożyli też wykonawcy K-Popu, którzy od lat noszą się zgodnie z tym trendem, a wręcz antycypowali go. Co ciekawe, w tamtej części świata ondulacja kojarzyła się także negatywnie, ale nie z powodów estetycznych. Przez pewien okres była to fryzura członków japońskiej yakuzy – a konkretnie jej specyficzna odmiana zwana *punch perm*, czyli coś między afro a tzw. pompadourem (na cześć słynnej francuskiej metresy i polityczki), czyli uczesaniem „dużo do góry, mało po bokach".

Trwałą można zrobić na wiele sposobów. Obok *punch perm* funkcjonują *bubble perm*, czyli gęsty skręt z daleka przypominający bąbelki nanizane na nitkę, *spiral perm*, czyli sprężynkowa, *beach wave*, a więc taka, jaką miewają surferzy, jest i *pig tail perm*, odwołująca się do kształtu prosiaczkowego ogonka.

Fryzjerzy zastrzegają, że dzisiejsza ondulacja jest bezpieczna dla większości rodzajów włosów, nie ma nic wspólnego z zapachem amoniaku i jest łatwa w utrzymaniu. Kto w poprzednim tysiącleciu miał włosy spalone lub pokruszone od źle wykonanej trwałej – albo przypominał nieszczęśliwego pudla – doceni tę informację. Pocieszy z pewnością też wiadomość, że w czasach swojej pierwszej świetności ondulacja wymagała wielogodzinnego siedzenia z gorącymi wałkami na głowie, które były przywiązane do czegoś w rodzaju stelaża zwisającego z sufitu. Poddawana tej procedurze osoba wyglądała jak skrzyżowanie Frankensteina, ofiary średniowiecznych tortur i horroru „Hellraiser". A w kolejnych dekadach płyn stosowany do trwałej składał się m.in. z... krowiego moczu. Pierwsze trwałe wykonywano już w XIX w., zaś samo słowo „ondulacja" pochodzi z francuskiego i oznacza – uwaga, będzie zaskoczenie – „fale" lub „skręt". Aż chce się powiedzieć, że jak fala trwałej przypłynęła, tak odpłynie, ale na razie przeżywa wzmożenie. ■

© FRAZER HARRISON/AMA/GATTY IMAGES, STEPHANE CARDINALE/CORBIS/GETTY IMAGES, ARCHIWUM PRYWATNE, AHUTTERSTOCK (2), WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

eprasa.pl 9ebcecf7a9

WIRAL

Kebab albo Chopin?

Konkurs Chopinowski roznieca poczucie narodowej dumy, ale i pomaga pielęgnować kulturalny snobizm. Lepiej śledzić igrzyska pianistów niż urągające inteligencji reality show. W teorii. Zrządzeniem losu akurat w tych dniach wyszło na jaw, że przeciętnie pół miliona Polek i Polaków ogląda regularnie „Ukrytą prawdę", serial paradokumentalny z udziałem aktorów amatorów. I wywiązała się dyskusja. „To takie formaty obniżyły poziom debaty publicznej do tak drastycznego. Obniżyły oczekiwania co do rozrywki", alarmuje w social mediach Maciej Kawecki, prawnik influencer. „Kiedyś miliony oglądały »Sondę«. Co dziś z nami się podziało?" – pyta.

Ryba psuje się od głowy – Karol Nawrocki w tych samych dniach udał się na kebab z uczniami. „Kupując kebaba, osiedlasz Araba" – orzekł Sławomir Mentzen i zaprosił do swojego pubu.

Przytomnie na tym tle wypowiedział się w sieci Paweł Lęcki, polonista, również influencer. „Muszę się do czegoś przyznać – pisze – lubię kebab i nie słucham Konkursu Chopinowskiego. Bardzo za to wszystko przepraszam. Nie lubię za to przemocy symbolicznej". Czyli pomstowania na upadek ideałów, zawstydzania i poczucia wyższości. A przecież kiedyś była „Sonda", dziś są podkasty naukowe; wolno zjeść **kebab**, można schabowego, a od **Chopina** woleć – jak oznajmia jedna z internautek – Prońko i Demarczyk. Albo cenić jedno i drugie. Zasada jest prosta: jeśli nam nie zgrzyta, to się nie wyklucza.

„Poznałem najprawdopodobniej tysiące młodych ludzi – pisze Lęcki. – Część lubiła literaturę, a część nie. Pięknieli również wtedy, gdy udało mi się ich przekonać, że mogą bardzo dobrze napisać o piosence hiphopowej jako o tekście literackim. Nie, nie przekonam ich wszystkich do Teatru Telewizji, bo sam pięknieję najbardziej wtedy, gdy przynoszę do domu nowy komiks i najpierw wącham zapach farby drukarskiej". A Konkurs Chopinowski? „Bardzo dobry jest. Fryderyk Chopin wielkim kompozytorem był" – mówił Janusz Gajos w skeczu z lat 90., odżywającym przy okazji każdej edycji imprezy z myślą o tych, którzy nie śledzą, a chcą się orientować. Rzecze Gajos: „To trzeba mieć żelazową wolę, żeby tyle tych kawałków wykombinować, prawda?".

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

SŁOWO

Niedobytki prezydenta

Z rozmowy prezydenta **Karola Nawrockiego** z Bogdanem Rymanowskim dowiedzieliśmy się w końcu, po co temu pierwszemu woreczek nikotynowy. A kwestia była paląca, bo dotyczyła aplikowania sobie tegoż podczas wystąpień publicznych. Otóż, jak wyznał prezydent, woreczek „jest uzupełnieniem niedobytków nikotyny". To neologizm, który ma szanse na dłużej zagościć w polszczyźnie – opisuje bowiem stosunek do trucizny terminem bliskim temu, jakim opisujemy stosunek do substancji odżywczych. Uzupełniamy w końcu „niedobory magnezu" lub „niedobory wapnia". Niektórzy muszą uzupełnić nikotynę i tylko drobne przejęzyczenie pozwoliło odróżnić ten rodzaj suplementacji od całej reszty. Inaczej byłoby trochę jak w gagu z komiksów o Tytusie, który trafił do rozmiłowanej w paleniu Nikotyńskiej Republiki Tabackiej: „Zamknij okno, bo dym ucieka". Zarazem nowy wyraz – poprzez skojarzenia z rzeczownikiem „niedobitki" – przypomina, że mamy do czynienia z człowiekiem, któremu naturalnie przychodzą skojarzenia z walką.

Internauci nie dowierzali: „To na pewno nie AI...?", „O, rany! Mam niedobytki w wierze". A przy okazji rozmowy Karol Nawrocki wyjaśnił różnicę (zawartość tytoniu) między woreczkiem nikotynowym (zwanym też *white snus*) a popularnym snusem, który jest w Polsce nielegalny. Choć to wokół tego drugiego rosła dotąd popkulturowa mitologia, np. w tekstach rapowych. „Prawie wstałem, Anioł Pański/ Daj mi snusa, chwilę wanny" – relacjonuje Jan-rapowanie w utworze „Śniadanie w hotelu" z płyty „Hotel Maffija 2".

Funkcjonuje też związany z tym zwrot „przyku... wić w dziąsło" (zaaplikować sobie snusa). Jeśli się głębiej w tę mitologię snusa wczytać, wychodzi na to, że jego stosowanie może powodować ubytki (niedobytki?) w uzębieniu. Pozbawiony tytoniu woreczek nikotynowy barwi szkliwo w nieco mniejszym stopniu, ale jakieś ślady wizerunkowe pozostawia. Pewną niedogodnością, a może nawet niedobytkiem tej sytuacji jest fakt, że twarzą woreczków stała się głowa państwa.

BARTEK CHACIŃSKI

MÓWIĄ RYMY
Jakby lato wyglądało tak, jak śpiewał Kid Rock,
Jakby łeb ci miał wyparować, ale miałeś pinlock
PRO8L3M, „Nie bój się bać", 2025 r.
pinlock – wkładka do kasku motocyklowego ograniczająca parowanie

eprasa.pl 9ebcecf7a9

Staruszki z Korfu

Krótka opowieść o tym, jak wybrałam się na poszukiwanie najbardziej wiekowego drzewa.

Chropowaty pień porośnięty jest mchem. Zielone kępki rozpleniły się na korze, wokół charakterystycznych dla starych drzew oliwnych dziur. Niektóre otwory są tak duże, że spokojnie zmieściłby się w nich spory kot. „Kiedy Krzysztof Kolumb odkrył Amerykę, to drzewo już tu rosło i miało ponad 150 lat" – głosi napis na tabliczce przymocowanej do kory. Nieopodal rośnie rozłożysta Mitera – matka oliwnych drzew na greckiej wyspie Korfu – otoczona kręgiem z kamieni. Ponoć liczy sobie 1100 lat (chociaż słyszę też głosy, że 1500). To oznacza, że drzewo rosło tu już podczas chrztu Polski.

Czy właśnie znalazłam **najstarsze drzewo oliwne na Korfu**? Być może. Bo w sumie jest jeszcze jedna kandydatka do tego tytułu. Po drugiej stronie wyspy dumnie strzela w niebo Evdokia, drzewo, które według badań naukowców z Drezna może mieć 1200 lat.

Ani Mitera, ani Evdokia nie są jednak najstarszymi drzewami oliwnymi w Grecji. Według internetowej wyszukiwarki ten tytuł jak na razie należy do drzewa we wsi Ano Vouves na Krecie. Niektórzy twierdzą, że tamtejsza oliwka może mieć nawet 4000 lat, co oznaczałoby, że pamięta czasy Aleksandra Wielkiego. Obok prastarego drzewa otwarto nieduże muzeum, które wprowadza turystów w tajniki uprawy oliwek w regionie.

Jednak inne miejscowości w Grecji również chwalą się wiekowymi drzewami. Gerontoelia z wyspy Naxos podobno ma ponad 5000 lat, więc jest starsza niż staruszka z Krety. W Atenach natomiast do niedawna rosła Oliwka Platona, podobno dokładnie tam, gdzie dawniej mieściła się jego słynna akademia, co oznacza, że drzewo mogłoby mieć dziś prawie 2500 lat. Niestety, w latach 70. wjechał w nie autobus, a niedawno resztę pnia skradziono na opał. A to tylko historie z Grecji.

Do miana najstarszego drzewa oliwnego na świecie pretenduje też Al-Badawi w Izraelu (może mieć nawet 4000 lat). Albo Oliveira do Mouchão z Portugalii (ponad 3300 lat). A także liczne drzewa w Czarnogórze, Chorwacji, Hiszpanii czy we Włoszech. Niektóre obrosły w ciekawe legendy. W Libanie w wiosce Bechealeh rośnie grupa szesnastu Sióstr Noego. Na tabliczce ministerstwa turystyki widnieje informacja, że drzewa mają 4000 lat. Jednak według mieszkańców – raczej 6000. Wierzą, że to właśnie z tych oliwek pochodziła gałązka, którą gołębica przyniosła na arkę Noego po potopie.

Jednak kiedy w 2018 r. naukowcy postanowili zbadać wiek Sióstr Noego, okazało się, że większość z nich najprawdopodobniej ma „zaledwie" 500 lat, a tylko jedno – dwa razy tyle. Zespół naukowców jednogłośnie orzekł, że jest to najstarsze drzewo na świecie. A co z innymi? Czy matka oliwek, do której przytulałam policzek na Korfu, wcale nie miała ponad 1000 lat?

Prawdopodobnie nie. Problem polega na tym, że wiek kandydatek do miana najbardziej wiekowej oliwki w większości przypadków nie został określony przez naukowców, wynika raczej z szacunków lokalnych mieszkańców. Bo określić wiek tak starych drzew jest niezwykle trudno. Zwykle robi się to, oceniając słoje, jednak w oliwkach często nie są one regularne. Dodatkowo czasem drzewa mają po kilka pni albo jeden, ale za to pusty w środku. Najpewniejszą metodą – choć niedającą stuprocentowej pewności – jest badanie izotopów węgla w drewnie. Z wielu badań wynika, że drzewa oliwne żyją 500–700 lat, raczej nie więcej. Dłużej mogą przetrwać ich korzenie, które wypuszczą nowe pędy, nawet jeżeli samo drzewo zostało spalone czy ścięte.

Oliwka to jeden z pierwszych gatunków drzew udomowionych przez człowieka. W basenie Morza Śródziemnego już 6000 lat przed naszą erą używano oliwy do zasilania lamp, jedzenia, smarowania ciała i włosów. W starożytnej Grecji te drzewa były święte, symbolizowały mądrość, dobrobyt i wiedzę. Francuski pisarz Georges Duhamel napisał: „Śródziemnomorze kończy się tam, gdzie nie rośnie już żadna oliwka". To wszystko czuję, kiedy głaszczę chropowatą korę matki oliwek na Korfu. W sumie czy to takie istotne, czy drzewo jest najstarsze na świecie, a nawet na tej wyspie? Ważne, że dla mieszkańców jest powodem do dumy z własnego dziedzictwa. ■

Urszula Jabłońska – reporterka, autorka książek: „Człowiek w przystępnej cenie. Reportaże z Tajlandii" oraz „Światy wzniesiemy nowe".

© DOROTA KAMIŃSKA/WWW.SALATKAPOGRECKU.PL, ARCHIWUM PRYWATNE, SHUTTERSTOCK, RAFAŁ MASŁOW

eprasa.pl 9ebcecf7a9

Madera kojarzy się z rajskimi wakacjami, Cristiano Ronaldo, Ryszardem Petru. Ale i z winem, które niegdyś uchodziło za najbardziej prestiżowe.

Stąd do wieczności

WINO

Oklaski po lądowaniu były tym razem wyjątkowo gromkie. Lotnisko na Maderze należy bowiem do najtrudniejszych na świecie. Mimo to 50 samolotów dziennie bezpiecznie przywozi turystów na rajską wyspę. Wśród nich jest coraz więcej Polaków. Przyciąga nas stabilna przez cały rok pogoda, bujna tropikalna roślinność, górskie krajobrazy, świetnie utrzymane plaże, wysoki poziom usług i europejska swojskość. 2 mln turystów rocznie też tak sądzi – w ubiegłym roku Madera po raz dziesiąty została obwołana „najlepszą wyspą na świecie".

Oprócz turystyki siłą Madery jest rolnictwo – uprawy bananów, trzciny cukrowej (rum!), marakui, ananasów, papai... No i winorośl. Choć jest tu dla niej zbyt deszczowo, od kolonizacji wyspy przez portugalskich żeglarzy w XV w. produkcja wina miała strategiczne znaczenie, bo Madera przez stulecia służyła jako port przeładunkowy dla statków płynących do obu Ameryk, zachodniej i południowej Afryki, Indii, Moluków. W XVII i XVIII w. nie było sławniejszego i bardziej prestiżowego wina, a w transporcie do odległych kolonii pomagał proces produkcji: madera to wino wzmacniane spirytusem, żeby uchronić je przed zepsuciem, mocno kwasowe dzięki pogodowym warunkom i do tego wyraźnie słodkie. Słońce, wilgoć, czas nie szkodzą mu, a wręcz pomagają w rozwoju niezwykle bogatego bukietu i smaku.

Dawniej najlepszymi maderami były te, które opłynęły w beczkach świat i wróciły na wyspę. Dzisiaj ten proces naśladuje się, podgrzewając wino w specjalnych zbiornikach lub leżakując w gorących magazynach, pod blaszanymi dachami. W ten sposób „szczepi" się wino przeciw starzeniu. W czasie niedawnej podróży na wyspę miałem szczęście próbować butelki z 1863 r., która była wciąż w dobrej formie, a na rynku jest jeszcze rocznik 1795. Smakować wino z czasów powstania styczniowego albo III rozbioru Polski – bezcenne.

Ta długowieczność zdeterminowała legendę Madery, choć dziś winiarstwo na wyspie jest cieniem dawnej chwały. Uprawy skurczyły się do ledwie 370 ha – bezustannie podgryzane przez turystykę i deweloperkę, a także suto dotowane przez Unię Europejską banany. Działa już tylko siedmiu producentów, a wino sprzedają głównie turystom na wyspie. Ci zaś najbardziej lubią tanie półsłodkie. We wszystkich odwiedzonych wytwórniach spotykałem grupy w szortach i koszulkach polo, które wpadły na degustację paru win pomiędzy odwiedzinami w ogrodach botanicznych i muzeum Cristiano Ronaldo. U Henriques & Henriques grupę naszych rodaków oprowadzał pan Ryszard – jeden z wielu polskich operatorów działających na Maderze. Objaśniał tajniki produkcji, tłumaczył różnice pomiędzy winem 3-, 5- i 10-letnim.

Bo choć te młodsze z racji ceny (5–9 euro) cieszą się największym powodzeniem, to zabawa na Maderze zaczyna się właśnie od 10 lat leżakowania w beczkach. W tej kategorii spotkamy szlachetne, historyczne odmiany **sercial**, verdelho, **boal** i malvasia (młodsze wina robione są z pośledniejszego szczepu tinta negra), gładszy, głębszy smak, prawdziwy charakter. Najlepszy stosunek jakości do ceny to wina 15-letnie, potem robi się znacznie drożej, choć trudno się oprzeć pokusie zakupu wina z własnego rocznika – tym bardziej że można je sączyć przez wiele kolejnych lat: butelkę madery bez utraty jakości można trzymać w zasadzie bezterminowo.

Wojciech Bońkowski
– od 2023 r. pierwszy polski Master of Wine. Chief Wine Officer w Studi Media, wydawcy pisma o winie „Ferment".

Wino z Madery to jednak nie tylko wielka tradycja, turystyczna atrakcja i urodzinowy gadżet. To jedyny w swoim rodzaju smak, o znacznie szerszych zastosowaniach. Młodszych można używać w koktajlach zamiast wermutu czy sherry, starsze są świetne do sushi, curry albo owczych serów... Kto raz wejdzie w świat madery, pozostanie jej wiernym fanem na lata. ■

Barbeito Rainwater Medium Dry 5 Years Old, 55 zł (wina-mp.pl)
Blandy's Malmsey Harvest 2016, 165 zł (sklep-domwhisky.pl)
Henriques & Henriques Sercial 15 Years Old, 259 zł (festus.pl)
Barbeito Malvasia 40 Years Old Vinho do Reitor, 1550 zł (wina-mp.pl)
D'Oliveiras Boal 1922, 1050 euro (na miejscu lub przez internet)

eprasa.pl 9ebcecf7a9

24/7, czyli zapraszamy na stale aktualizowane strony **polityka.pl**, na nasze blogi i podkasty

Nowy podkast!

Miło nam ogłosić, że rozpoczynamy nowy cykl podkastowy „Polskie demo" – wspólny projekt POLITYKI i Fundacji im. Stefana Batorego. Będziemy mówić o Polsce z naszych marzeń, ale i koszmarów. Zapraszają Michał Tomasik (POLITYKA), Anna Materska-Sosnowska i Krzysztof Izdebski (Fundacja Batorego) z gośćmi: ekspertami i politykami. Premiera co piątek. Pierwszy odcinek wyjątkowo 15 października, w drugą rocznicę wyborów 2023 r.

Nobel? Poważnie?

Donald Trump miał chrapkę na Pokojową Nagrodę Nobla, ale czy w ogóle miał szansę? „Jesteśmy świadkami żenującego, jeśli nie po prostu obrzydliwego widowiska przy okazji wprowadzania w życie pierwszego etapu amerykańskiego planu zakończenia wojny w Gazie", pisze na polityka.pl Tomasz Zalewski i przypomina, jak na tle Trumpa wypadali jego uhonorowani Noblami poprzednicy.

Płynie olbrzym z Chin

294-metrowy kontenerowiec „Istanbul Bridge" wiezie na pokładzie tysiąc kontenerów, a w nich przedmioty, którymi Europejczycy obdarują się w najbliższe święta Bożego Narodzenia. To więcej niż handel – to geopolityka. **Nowych szlaków szukają nie tylko Chiny, ale i Rosja, która również pcha się na północ, korzystając (dosłownie) z ocieplenia klimatu. O przemożnych skutkach tych rejsów pisze więcej Jędrzej Winiecki.**

Dlaczego nocą chce się pić

W podkaście psychologicznym POLITYKI gości tym razem Marek Sekielski, dziennikarz, producent filmowy, autor cyklu „Sekielski o nałogach". I o nałogach z nim rozmawiamy. Dlaczego osobom uzależnionym właśnie nocą chce się pić? Czy „prohibicja", o której tyle się ostatnio mówi, to właściwe słowo? Czym kuszą firmy alkoholowe? I wreszcie: dlaczego alkoholik kłamie, kiedy mówi „dzień dobry"?

Z wizytą w pracowniach Warszawy

W najbliższy weekend odbędzie się po raz pierwszy Festiwal Pracowni Historycznych – oddolna inicjatywa opiekunów Warszawskich Historycznych Pracowni Artystycznych. Fundacja Rajmunda Ziemskiego we współpracy z m. st. Warszawa zaprasza do miejsc, w których powstawała najważniejsza sztuka XX w. W programie zwiedzanie kilkunastu pracowni, wykłady i debata, którą Piotr Sarzyński z POLITYKI poprowadzi w 70. rocznicę wystawy „Przeciw wojnie – przeciw faszyzmowi" (Arsenał 1955). Zapisy na debatę: fundacja@ziemski.art

© LESZEK ZYCH, SHUTTERSTOCK (2), ANNA AMAROWICZ, MP

GALERIA POLITYKI

JAN KOZA

eprasa.pl 9ebcecf7a9

CMS
I WRACASZ DO GRY

www.cms-online.pl
www.probawysilkowa.pl
www.rezonans-magnetyczny.waw.pl
www.tomografiakomputerowa.waw.pl
www.fizjoterapia.cms.waw.pl

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ

Klinika ortopedyczna

Szpital
operacje ortopedyczne

Poradnia Medycyny Sportowej
dla dzieci, młodzieży i dorosłych:
- Badania wstępne, okresowe i kontrolne
- Orzeczenia sportowo-lekarskie
- Pracownia prób wysiłkowych i wydolnościowych

Poradnia Leczenia Bólu
Zabiegi interwencyjne:
- blokady / neurolizy współczulne
- blokady / neurolizy nerwów obwodowych
- termolezja

Poradnia Podologiczna
Konsultacje i zabiegi podologiczne

Dietetyka
- Dietetyka kliniczna
- Dietetyka sportowa
- Porady dla dzieci i dorosłych

Rehabilitacja
- Rehabilitacja ortopedyczna:
  - stawów rzepkowo-udowych
  - stawów barkowych
  - kręgosłupa
  - stawów kolanowych
  - kontuzji sportowych
  - po zwichnięciach stawów
  - urazów mięśni
  - więzadeł
  - po złamaniach
- Fizykoterapia
- Masaż leczniczy
- Diagnostyka funkcjonalna
- Rehabilitacja w uroginekologii
- Terapia przeciwobrzękowa

Rezonans Magnetyczny 3T
Dwa aparaty przystosowane do badań sportowców w zakresie ortopedii, neurologii i kardiologii

Tomografia Komputerowa
Pełny zakres badań

Diagnostyka
RTG, USG, EEG, EMG

CMS i Wracasz do gry!

Centrum Medycyny Sportowej to ośrodek leczniczo-rehabilitacyjny, specjalizujący się w leczeniu urazów ortopedycznych. CMS wykorzystuje najnowocześniejsze technologie w diagnozie, leczeniu i rehabilitacji.

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ - WARSZAWA ul. Wawelska 5

tel. 22 592 93 05 do 10

www.cms.waw.pl

eprasa.pl 9ebcecf7a9

Nowy Rok z Albatros Travel

Nowy Rok w Rzymie

Powitaj Nowy Rok w wiecznym mieście – Rzymie. Poznaj jego największe atrakcje i daj się uwieść niepowtarzalnemu urokowi tego wspaniałego miasta.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot z Warszawy do Rzymu. **Dz. 2** Zwiedzanie Rzymu pieszo z przewodnikiem. Ołtarz Pokoju, Schody Hiszpańskie, Fontanna Barcaccia i Fontanna di Trevi oraz Panteon, czas wolny i kolacja w hotelu. **Dz. 3** Wycieczka do Castelli Romani, w programie wizyta w Castel Gandolfo i Frascati z lekkim obiadem (dodatkowo płatna). Wieczorem kolacja Sylwestrowa. **Dz. 4** Dzień wolny w Rzymie. Możliwość odwiedzenia Bazyliki św. Piotra lub podziwianie noworocznych skoków do Tybru z Ponte Cavour. **Dz. 5** Spacer po Watykanie z przewodnikiem. Wylot z Rzymu do Warszawy.

5 dni | Wylot z Warszawy
29/12 2025

5.698,-

Dzień dobry Wietnam!

Poznaj tętniące życiem miasto Ho Chi Minh (dawny Sajgon), tunele Cu Chi, Deltę rzeki Mekong, a następnie przez 5 dni odpoczywaj na plaży w Mui Ne.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Ho Chi Minh. **Dz. 2** Przylot do Ho Chi Minh. Powitalna kolacja. **Dz. 3** Ho Chi Minh, tunele Cu Chi, zwiedzanie miasta. **Dz. 4** Ho Chi Minh. Dzień wolny. **Dz. 5** Ho Chi Minh City i Vinh Long w delcie rzeki Mekong. **Dz. 6** Vinh Long. Wizyta na lokalnym targu i warsztaty kulinarne oraz wycieczka łodzią do wioski garncarzy. **Dz. 7** Delta rzeki Mekong. Wyprawa łodzią po sieci kanałów. **Dz. 8** Z Vinh Long do Mui Ne. **Dz. 9-12** Mui Ne. Indywidualny wypoczynek na plaży. **Dz. 13** Przejazd autokarem z Mui Ne do Ho Chi Minh. Wylot z Ho Chi Minh do Warszawy. **Dz. 14** Przylot do Warszawy.

14 dni | Wyloty z Warszawy
29/12 2025, 02/02 2026

od 9.998,-

Muzyczny Sylwester w Lizbonie

Przywitaj Nowy Rok w urokliwej Lizbonie, spacerując wąskimi uliczkami i podziwiając wspaniałe zabytki wpisane na listę UNESCO przy dźwiękach muzyki fado.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Lizbony. **Dz. 2** Zwiedzanie Lizbony autokarem. Dzielnice Belém, Alfama, Baixa. Po południu czas wolny. **Dz. 3** Wycieczka do Sintry (dodatkowo płatna) lub czas wolny w Lizbonie. Wieczorem kolacja sylwestrowa. **Dz. 4** Spacer po Lizbonie z polskim pilotem. Wieczorem opcjonalnie koncert noworoczny (dodatkowo płatny). **Dz. 5** Przelot do Warszawy.

5 dni | Wylot z Warszawy
29/12 2025

4.998,-

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **PL39**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty resjowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl 9ebcecf7a9